1500

Szopka jubileuszowa

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 52 (1500) ROK XXIX 27 GRUDNIA 1986 ROKU CENA 30 ZŁ

Spokojnych i pogodnych świąt Czytelnikom i Przyjaciołom życzy zespół „Odgłosów"

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1500

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Z takiej okazji, jaką jest wydanie 1500 numeru pisma, dokonuje się skomplikowanych obliczeń. Ile to, na przykład, papieru zużyliśmy i gdyby ułożyć z tego papieru pas i opasać nim kulę ziemską, to ile razy ten pas papieru tę kulę opasywałby. Mogę tylko przypomnieć, że przed laty „Odgłosy" miały nieco mniejszy format i mniejszą objętość, bo 12 stron, później 12 i 14 przemiennie, później znów tylko 12, a obecnie 16 stron. Zmienialiśmy też — przez te 1500 numerów — szatę graficzną. Piąty rok już szaty graficznej nie zmieniamy, próbujemy jedynie ją udoskonalić, co różnie jest oceniane.

W ogóle nasza szata graficzna przyjęta w kwietniu 1982 roku wzbudziła różne reakcje. Mieliśmy zdecydowanych zwolenników i zdecydowanych przeciwników. Wychodziliśmy jednak z założenia, że w powodzi różnych pism „Odgłosy" muszą się wyróżniać i dziś można spokojnie ocenić nasze założenie jako trafne. Pismo zdobyło sobie rynek, sprzedawało się przez trzy kwartały 1986 r. w średnim nakładzie około 40 tysięcy egzemplarzy. A świąteczny i jubileuszowy numer ukazuje się już po raz trzeci w dziejach „Odgłosów" w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy. Mamy wszyscy nadzieję, że znajdzie uznanie Czytelników i rozejdzie się prawie bez zwrotów. Staraliśmy się zresztą o to, dobierając — tak się nam przynajmniej wydaje — interesujący zestaw materiałów.

Mógłbym — odwracając się w przeszłość — przypomnieć wszelkie pobożne życzenia, plotki i zamysły, aby likwidować to pismo, które wrosło już w kulturalną panoramę Łodzi, aby je reformować, zmieniać i Bóg wie co jeszcze robić, jakby niektórym jego „przyjaciołom" nie na rękę był fakt, że już za trochę więcej niż rok minie 30 lat od momentu, kiedy po raz pierwszy w kioskach RUCHU ukazały się „Odgłosy". Ale było to zupełnie inne pismo. I tak być powinno. Przypomnę jedynie — bo w redakcji nigdy o tym nie zapominamy — że pismem kierowali: Wiesław Jażdżyński, Wacław Biliński, Jan Koprowski i Jerzy Wawrzak. W piśmie pracowało, współpracowało, pisało sporadycznie wielu znakomitych dziennikarzy, pisarzy, ludzi nauki. Myślę, że z okazji 1500 numeru warto im podziękować, gdy to również i poprzez ich pracę zdobyło ono sobie prawdziwych przyjaciół, jak też serdecznych wrogów. Cieszy nas to bardzo, gdyż tylko coś, co jest nijakie, mdłe i bez wyrazu przyjmowane jest z obojętnością. Zresztą publikowana od kilku lat co tydzień kolumna: „Listy — polemiki — opinie" — a od czasu do czasu nawet dwie kolumny — dowodzi, że pismo trafia do Czytelnika i zyskuje jego uznanie bądź budzi w nim sprzeciw i chęć polemiki.

Spójrzmy jednak w przyszłość.

Rysuje się ona niewyraźnie. Zespół nasz zdaje sobie sprawę z obowiązków, jakie na nim ciążą. Jesteśmy jedynym tygodnikiem wychodzącym w Łodzi i naszym obowiązkiem jest udostępnianie łamów wszystkim, którzy mieliby coś interesującego do powiedzenia. Powinniśmy też dawać świadectwo różnym przejawom życia kulturalnego. Z drugiej jednak strony — pismo powinno być sprzedawane i to z roku na rok więcej, powinno zdobywać sobie nie tylko łódzki rynek czytelniczy. Musimy zatem oferować Czytelnikowi to, czego on od nas oczekuje. Ale i wpływać dodatnio na kształtowanie jego gustów. Trudne to zadanie, gdyż Czytelnik stał się wymagający.

Minęły już czasy, gdy kupowano po wiele gazet i tygodników jednocześnie. W kioskach odkładają się już pisma, które niegdyś sprzedawano spod lady. Nakłady niektórych pism centralnie wydawanych są niższe od wielu regionalnych tygodników, a zwroty niepomiernie wyższe. Wiele pism ma coraz większe kłopoty ze sprzedażą. Nie jest moim zadaniem oceniać te pisma. Ale chciałbym wyrazić przekonanie, że jeśli pismo nie będzie odpowiadało na czytelnicze zapotrzebowanie, będzie miało duże kłopoty. Rosną ceny, kurczą się rodzinne budżety i wydawanie pieniędzy na gazety musi mieć twarde uzasadnienie, że te gazety dają kupującym to, na co oni oczekują. Rynek czytelniczy robi się trudnym rynkiem.

W naszym przekonaniu Czytelnik chce być przede wszystkim szybko i wyczerpująco informowany: chce szybko i dokładnie wiedzieć, co się i gdzie wydarzyło. Nie chce być ani pouczany, ani epatowany wymądrzaniem się piszących. Oczekuje konkretów i naszym obowiązkiem jest mu tych konkretów dostarczyć. I zadanie to chcemy jak najdokładniej i jak najlepiej spełniać w najbliższych tygodniach, miesiącach i latach.

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3892. B-2.

Foto: Witold Werner

Wybuch

1.

Szpital imienia Barlickiego, sala intensywnej terapii. Tu wstęp ma tylko personel medyczny. Wewnątrz cała aparatura służąca do ratowania kruchego, ludzkiego życia. Dzień i noc czuwa tu ktoś, by nie uleciało ono niepotrzebnie, bez walki.

Jedno z łóżek oddzielone jest od pozostałych szklaną ścianą. Obandażowany tors do połowy przykryty kołdrą; sine, nieruchome palce kurczowo zaciskają się na metalowej krawędzi łóżka. Po sczerniałej, opuchniętej, okolonej spaloną brodą twarzy, toczą się wielkie krople łez, żłobiąc ślady w grubej warstwie maści.

— Dlaczego właśnie mnie musiało to spotkać? Zaczynałem życie na nowo... To mieszkanie dostałem w październiku, ale wprowadziłem się dopiero w pierwszych dniach grudnia. Tak się cieszyłem, że spędzę tu Święta i Sylwestra...

Niewiele pamiętam z tamtego dnia. Obudził mnie huk. Poczułem ból: to paliła mi się broda, włosy, podkoszulka. Pamiętam, że krzyczałem: „Ratunku, na pomoc!"... Chyba wybiegłem na korytarz, ale nie bardzo pamiętam, co było dalej...

Zaczynałem życie na nowo... Nie zdążyłem jeszcze nawet ubezpieczyć mieszkania... Teraz straciłem wszystko...

2.

Był wczesny, niedzielny ranek. Kilka minut po godzinie 7 rano, mieszkańców posesji przy ulicy Franciszkańskiej 58 obudził potężny huk. Zewnętrzna ściana, na całej długości dwóch mieszkań, runęła z wysokości czwartego piętra, przysypując ceglanym gruzem samochody stojące przed budynkiem. Ścianka działowa, oddzielająca od siebie mieszkania nr 61 i 62 przestała istnieć. W tej samej chwili zawalił się drewniany strop i więźba dachowa. Tylko naturalnej sprężystości drewna mieszkańcy ostatniej kondygnacji zawdzięczają, że nie znaleźli grobu w stercie gruzu, desek i mebli.

3.

— Mąż szedł do pracy na szóstą. Wstałam rano, zrobiłam mu śniadanie i położyłam się z powrotem do łóżka. Nie spałam. W pewnej chwili usłyszałam huk i zobaczyłam, jak ściana dzieląca nasze mieszkanie od mieszkania pana Łukaszewskiego uniosła się w górę i rozpadła na kawałki. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam: dusił mnie gaz i pył. Nie mogłam się ruszyć, bo cała przysypana byłam gruzem. W pewnej chwili usłyszałam krzyk ojca: „Mama nie żyje!". Jakimś nadludzkim wysiłkiem odwaliłam z siebie to, co mnie przysypało. I w tym momencie zobaczyłam sąsiada: wyglądał strasznie. Miał spaloną brodę, włosy, ubranie, całe ciało pokrywały bąble. Krzyknęłam na niego: „co pan narobił?" Ale on tylko w kółko powtarzał: „Co tu się stało? Ja nic nie wiem! Jak ja wyglądam? Czy ja mam jeszcze twarz?"

Zbiegli się sąsiedzi, tak, jak wyskoczyli z łóżek: w pidżamach, nocnych koszulach, szlafrokach. Wspólnie zaczęliśmy odgarniać gruz i wydobyliśmy moją mamę. Na szczęście żyła. Po chwili przyjechała straż, milicja i pogotowie.

4.

Dr Janusz Wasiak ze szpitala Barlickiego:

— W niedzielę, 7 grudnia, w godzinach rannych, przywieziono pacjenta z rozległymi, sięgającymi 35—40 proc. powierzchni ciała poparzeniami II i III stopnia, pochodzącymi od działania na ciało bezpośredniego płomienia. To bardzo poważne poparzenia. W chwili obecnej stan pacjenta jest nadal ciężki. Co prawda pierwszy szok spowodowany wypadkiem już minął, ale dalszy postęp w leczeniu uzależniony jest od odporności jego organizmu i od tego, jak będą się goić rany. Jedno jest pewne: blizny po poparzeniach pozostaną już na całe życie. My ze swej strony robimy wszystko, co leży w naszej mocy.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że na wieść o wypadku, koledzy poszkodowanego, kierowcy z PKS, zgłosili się do naszego szpitala i honorowo oddali kilka litrów krwi.

5.

W kilka dni później, mieszkańcy domu przy ulicy Franciszkańskiej 58, relacjonowali całe wydarzenie z pewnego dystansu. Ale mimo to pozostał w nich żal i gorycz, że pozostawiono ich na pastwę losu, że nie zajęto się nimi tak, jak wymagała tego powaga sytuacji.

— Gdy już wszyscy mieszkańcy znaleźli się poza budynkiem, przyjechali przedstawiciele PGM, Urzędu Miasta, Urzędu Dzielnicowego i Bóg wie kogo jeszcze. Ale nikt nie pomyślał o tym, aby nam zorganizować choć po szklance gorącej herbaty. Woda w całym budynku była zakręcona, podobnie gaz i energia elektryczna. Nie mieliśmy się ani gdzie umyć, ani ogrzać, ani też przygotować sobie coś do jedzenia. Nasz los był nadal niepewny. Pytaliśmy, czy do czasu znalezienia nam jakiegoś schronienia, nie moglibyśmy przenieść się np. do szkolnej świetlicy, ale odmówiono nam tego. Natomiast pani, reprezentująca Urząd Miasta, na pytanie: „Gdzie dziś będziemy nocować?" odpowiedziała, że niewiele ją to obchodzi i możemy sobie rozłożyć koce ot, choćby na trawniku.

— Cały dzień koczowaliśmy przed budynkiem. Ci, którzy mieli w Łodzi rodzinę, poszli do niej na noc. Ale było też kilka rodzin, które tę noc spędziły pod gołym niebem, przed magazynami PGM! Wśród tych osób były także dzieci! Dopiero następnego dnia wieczorem, zakwaterowano nas w hotelach robotniczych na Łagiewnickiej i Rysowniczej.

— Nikt nie dał nam samochodów, abyśmy mogli gdzieś przewieźć nasz dobytek. Zrobiono nam „łaskę", że będzie się honorować rachunki, wystawione przez właścicieli taksówek bagażowych! Podobno są kłopoty z paliwem...

— W tych dniach otrzymałam klucze do swego mieszkania. W chwili odbierania decyzji powiedziano mi, że miałam szczęście, bo inaczej jeszcze kilka lat czekałabym na swoje „M". Co to za szczęście?! Chociaż dostałam mieszkanie, ale i tak nie mam co w nie wstawić! Mam cztery puste ściany! Wszystko zostało tam, pod gruzami. Zbierałam nowe talerze, nową bieliznę — z myślą o nowym mieszkaniu — i co z tego? Teraz i tak nie mam nic...

— Podobno mają tylko zabezpieczyć prowizorycznie dach, a nas, mieszkańców niższych kondygnacji mają wprowadzić do naszych mieszkań. Za nic w świecie tam nie wrócę! Ja się po prostu boję! Panicznie się boję, że ten cały budynek w pewnym momencie się zawali albo wyleci w powietrze! Tym bardziej, że nie był to pierwszy wybuch gazu w tym domu. W tym roku u sąsiadki wybuchł bojler, a w Wigilię dwa lata temu, u mnie w mieszkaniu eksplodowała kuchenka gazowa. Ja chcę wychować swe dzieci a nie chodzić po cmentarzach!!!

— Tymi, którzy nam naprawdę pomogli, byli pracownicy z brygady rozbiórkowej z Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego „Zachód": Wiesław Zommer, Zbigniew Kapusta, Zygmunt Jurek, Marian Wilczek oraz ich kierownik — Czesław Gulaj. To przez ich ręce przeszedł cały gruz, cały pył znajdujący się w naszych mieszkaniach. Dosłownie przesiewając go przez palce, wydobywali nasze pieniądze, dokumenty, obrączki. Nie mamy w tej chwili ani gdzie, ani za co zaprosić ich nawet na herbatę, więc choć tą drogą chcielibyśmy im podziękować za ich poświęcenie. Aha, i jeszcze milicjantom, którzy dzień i noc czuwali przy naszym dobytku, chroniąc go przed złodziejami. Dziękujemy!

6.

Co było przyczyną wybuchu? Z całą pewnością gaz. Czy bezpośrednim powodem eksplozji była wada instalacji czy też ludzka niefrasobliwość i nieostrożne obchodzenie się z gazem — wykaże śledztwo. W chwili obecnej do publicznej wiadomości nic więcej podać nie wolno.

WITOLD WERNER

NA WŁASNY RACHUNEK

Wolne nakrycie

Wśród tradycjonalistów (do których sam się chętnie zaliczam) znajdują się nie tylko ludzie o poglądach konserwatywnych (na co chyba nie trzeba dowodu), ale i postępowych, a nawet rewolucyjnych (na dowód można by przytoczyć przykłady przywiązania do Wigilii Bożego Narodzenia u wielu polskich radykałów o materialistycznym światopoglądzie). Jeśli się nie mylę, coraz więcej ludzi wiąże Wigilię tylko z ustrojoną choinką, z dzieleniem się opłatkiem, z wspólnie śpiewanymi kolędami przy suto zastawionym stole o siedmiu czy dwunastu bezmięsnych potrawach. Wielu myśli także o prezentach pod choinkę, o pasterce w gwiezdną noc, niektórzy też pewnie o sianie pod obrusem. I chyba nie ma w tym większych różnic pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi.

Obawiam się jednak, że w toku nieustannie następującej przemiany obyczajów zatracono najgłębszy, humanistyczny sens wigilijnej tradycji, tak bliskiej naszym przodkom, którą symbolizowało dodatkowe nakrycie, oczekujące na zbłąkanego gościa lub na kogoś, kto już opuścił nas nieodwołalnie i nigdy z nami przy wspólnym stole nie zasiądzie. To zapewne trudne polskie losy, losy nieraz zesłańcze i tułacze (często niepotrzebnie), sprawiły jednak, iż tak silnie zakorzenił się u nas ten wzruszający zwyczaj.

Pamiętam jak opowiadano sobie, że właśnie kiedyś, w sam wigilijny wieczór, ktoś od dawna opłakiwany, zagubiony gdzieś w świecie, stanął niespodziewanie w drzwiach. Ale bywało pewnie i tak, że wracał ktoś za późno — nie za bardzo już wyczekiwany bo i jego miejsce było już zajęte. Co działo się dalej? Jakie rozgrywały się ludzkie tragedie (a może tylko pertraktacje rodzinne i przetargi)? Tego już wigilijne opowieści, polskie domowe sagi nie zawierały, bo to już nie było romantyczno-poetyckie, a w zwykłej prozie życia (można powiedzieć, że w bezwzględnym demaskatorstwie prozy powieściowej) jakoś nie znajdowaliśmy upodobania.

Siadamy tedy do bogatego (jak na osławioną biedę) stołu, a białe, jasne światło elektryczne, spycha w kąt kolorowe światełka choinki, i dobrze, bo trzeba widzieć, co na talerzu. Wychylamy czym prędzej „jednego" pod śledzika i co najmniej tyle dalszych, ile jest dań, podochoceni opowiadamy sobie nie najnowsze kawały albo też utyskujemy na nasz szary dzień powszedni, roztaczamy śmiałe wizje światowej polityki i tylko wolne nakrycie (jeśli w ogóle jest) nie przyciąga naszej uwagi, nie pobudza wyobraźni, nie przywraca naszej pamięci wyblakłych rysów nieobecnego.

A jeśli zrządzeniem czystego przypadku, ktoś samotny przechodzi właśnie naprzeciw naszych oświetlonych okien, a gwar głosów przywiódł go pod nasze drzwi, to czy posadzimy go, nieznajomego, na wolnym miejscu?

A jeśli odpędzicie go od stołu jako intruza i okaże się (mówię to jako niedowiarek), że to sam Pan Jezus w przebraniu wybrał się szukać prawdziwych chrześcijan. Oj, głupio będzie, gdy ich nie znajdzie w tak nabożnym kraju?

JERZY KWIECIŃSKI

Noworoczny numer „Odgłosów" będzie w kioskach już 31 grudnia

Polecamy naszym Czytelnikom między innymi:

— reportaż **Marka Koprowskiego** o ludziach, którzy znaleźli swoje miejsce w Bieszczadach i wolą żyć z dala od dobrodziejstw cywilizacji;

— dalszy ciąg eseju **Edmunda Lewandowskiego** na temat dzieciństwa Jezusa ukazanego w ewangeliach apokryficznych Jakuba i Tomasza;

— rozmowę przeprowadzoną przez **Jerzego Kwiecińskiego** z popularnym aktorem Ludwikiem Benoit;

— reportaż **Pawła Tomaszewskiego** o człowieku, który po śmierci żony postanowił sam wychowywać małe dzieci i od razu zderzył się z ludzką nieżyczliwością oraz bezsensem przepisów;

— rozmowy **Bohdana Gadomskiego** z gwiazdami polskiego filmu, teatru i sceny muzycznej: Bożeną Rogalską, Barbarą Połomską, Urszulą Modrzyńską, Teresą May-Czyżowską i Małgorzatą Wilk;

— kolejny reportaż **Romana Kubiaka** z okolic Czernobyla, gdzie automatyczne pojazdy i ludzie w połyskujących skafandrach usuwają skutki awarii jądrowej;

— opowieść **Ketty Kelley** o życiu Franka Sinatry, który do szaleństwa zakochany był w Avie Gardner, lecz nie wiedział, że jego małżeństwo wisi na włosku.

EDMUND LEWANDOWSKI

Narodziny i dzieciństwo Jezusa

Część I

Jezus z Nazaretu (Jeszua-ha-nocri) prawdopodobnie urodził się pod koniec panowania „króla Żydów" Heroda Wielkiego, zmarłego na przełomie marca i kwietnia 4 roku przed naszą erą. Niestety dokładnej daty narodzin nie można ustalić, gdyż brak jest odpowiednich źródeł pozakościelnych, a pisma ewangeliczne są nieprecyzyjne. Autorzy chrześcijańscy przyjmują dziś — jako najbardziej prawdopodobną — następującą chronologię życia Jezusa Chrystusa: narodzenie — 7 lub 6 rok p.n.e., początek działalności publicznej — 28 r. naszej ery, ukrzyżowanie — 7 kwietnia 30 roku.

Przez pierwsze wieki chrześcijaństwa nie przywiązywano wagi do tego, w jakich dokładnie latach żył i działał Jezus. Zadowalano się orientacyjnymi danymi na podstawie nazwisk osób panujących. W tamtej epoce czas i kalendarz miały znaczenie drugorzędne, ludzie żyli bardziej w przyrodzie i przestrzeni niż w historii. Toteż dopiero w 525 roku ówczesny papież Jan I (523—526) polecił, aby ustalić konkretny rok narodzin Chrystusa. Wykonał to mnich scytyjski Dionizy Mały. Obliczył mianowicie, że Herod Wielki zmarł w 754 roku od założenia Rzymu, co uznano za początek ery chrześcijańskiej. Ale później okazało się, że mnich Dionizy pomylił się w swoich rachubach o 4 lata. W rzeczywistości bowiem Herod umarł w 750 r. ab urbe condita. Jezus zatem musiał urodzić się co najmniej cztery lata przed początkiem naszej ery. Powinno się więc cofnąć nasz kalendarz, lecz nie podjęto takiej decyzji ze względu na wielkie zamieszanie, jakie by spowodowała.

ŻYDZI NIECHĘTNIE TOLEROWALI KRÓLA

Heroda Wielkiego. Uważali go za „pół-Żyda", ponieważ pochodził z Idumei, kraju niedawno zjudaizowanego, sąsiadującego od południa z Palestyną. A poza tym Herod blisko współpracował z Rzymianami i popierał obcą kulturę hellenistyczną. Był to władca zdolny i energiczny, lecz równocześnie bardzo ambitny i zazdrośny o swą władzę. W nieprzyjaznym otoczeniu stał się chorobliwie podejrzliwy. W 7 roku p.n.e. kazał stracić dwóch własnych synów z pierwszego małżeństwa — Aleksandra i Aristobulosa, a w 4 roku kolejnego syna — Antypatra. Echem tych wydarzeń jest chyba ewangeliczny przekaz o rzezi dzieci w Betlejem i okolicach.

Według św. Łukasza Jezus przyszedł na świat podczas spisu ludności, który zarządził sam cesarz August. Z pewnej inskrypcji wiadomo, że uprawnienia do przeprowadzenia spisu w Palestynie otrzymał w okresie 10—8 roku p.n.e. Kwiryniusz, późniejszy legat Syrii, o którym wspomina ewangelista. W rzeczywistości akcja mogła się przeciągnąć o rok dłużej niż planowano, czyli w 7 roku przed naszą erą. Ale nie ma, niestety, wystarczających dowodów potwierdzających odbycie wówczas takiego spisu. Wiarygodne dane dotyczą tylko spisu przeprowadzonego w Judei na przełomie 6 i 7 roku naszej ery.

Jeśli nie można ustalić dokładnego roku narodzin Jezusa, to skąd w takim razie znany jest dzień Bożego Narodzenia — 25 grudnia. Otóż ustanowiono święto w 354 roku za panowania papieża Liberiusza (352—366). A uczyniono tak, ponieważ w owym dniu ludność cesarstwa powszechnie i uroczyście obchodziła Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca (Dies Natalis Solis Invicti). Jeden z myślicieli zanotował:

„Podaję, że powodem, dla którego przeniesiono wspomnianą przez Ojców uroczystość na grudzień, jest fakt następujący. Poganie w tym dniu obchodzili uroczyście święto narodzenia słońca. Weszło w zwyczaj, że do tych obrzędów zapraszano i dopuszczano także chrześcijan. Postanowiono tedy w tym dniu obchodzić święto narodzin Prawdy...".

Przyjmując więc tradycyjną datę święta, zmieniono przedmiot kultu.

SŁOŃCE STAŁO SIĘ W III WIEKU

głównym bóstwem opiekuńczym rozległego imperium rzymskiego. Było to zresztą jedyne bóstwo, którego kult występował u niemal wszystkich ludów wielonarodowościowego cesarstwa. W roku 218 obwołano cesarzem czternastoletniego chłopca — rzekomego syna Karakalli — będącego dotąd arcykapłanem boga słońca El Gabala w syryjskim mieście Emesa (dzisiejsze Homs) nad Orontosem. Wszedł on do historii jako Heliogabal, a zasłynął (oprócz wielkiej rozpusty) z upowszechniania kultu solarnego. W III wieku ogromną popularnością cieszył się ponadto, dość skutecznie konkurujący z chrześcijaństwem, kult boga światłości i słońca — Mitry. Dzień narodzin tego bóstwa obchodzono 25 grudnia.

W dniu 25 grudnia oddawano cześć Słońcu nie tylko jednak w pogańskim Rzymie, lecz także u Persów, Celtów, Słowian i innych. Dlaczego? Otóż po prostu w tym czasie przypada łatwy do zaobserwowania moment zimowego przesilenia słonecznego — zwycięstwa dnia nad nocą, słońca nad ciemnością. Po okresie, kiedy dni stawały się coraz krótsze, następuje przełom i dnia zaczyna przybywać.

Cesarz Aurelian uznał w 274 roku uroczystość Dies Natalis Solis Invicti świętem państwowym, a osiemdziesiąt lat później Kościół ustanowił w tym dniu Święto Bożego Narodzenia. Przyjęto zatem, że Jezus — tak jak Mitra i Słońce — narodził się 25 grudnia. Ale nie wszyscy chrześcijanie od razu zastosowali się do nowego obyczaju. W Aleksandrii zaakceptowano go dopiero w 430 roku, a w Jerozolimie w połowie V wieku.

Niektórzy wierni czcili przez jakiś czas 25 grudnia jako święto narodzin jednocześnie Słońca i Jezusa. Wskazuje na to list pasterski papieża Leona I Wielkiego (440—461), w którym czytamy:

„Są wśród nas tacy, którzy uważają, że uroczystości należy obchodzić nie tyle z powodu narodzin Chrystusa, co z powodu wschodu nowego słońca...".

A dalej papież ubolewał, że *„zanim oni wstępują do bazyliki świętego apostoła Piotra, stają na schodach, odwracają się i schylają pokornie głowę w kierunku słonecznego dysku".*

Z kolei pewien biskup zaprezentował taką oto interesującą postawę:

„Jest rzeczą dobrą, że lud nazywa dzień urodzin Pana naszego dniem Sol novus. Nie usiłujemy bynajmniej tego zmienić, gdyż wraz z narodzinami Zbawiciela następuje odnowa zbawienia dla całego rodzaju ludzkiego, ale również jasności słońca. Jeżeli podczas męczeństwa Chrystusa słońce się zaciemniło, musi ono z konieczności zaświecić jaśniej w dniu jego narodzin".

Ta metoda postępowania okazała się bardzo skuteczna. Dlatego papież Grzegorz I Wielki (590—604) zalecał jej stosowanie w przypadku wszystkich świąt pogańskich. A dziś już mało kto wie, jakie uroczystości obchodzili nasi dalecy przodkowie zanim ustanowiono to czy inne święto chrześcijańskie.

SKĄD WIEMY O JEZUSIE?

Niektórzy badacze (m.in. J. M. Robertson, A. Drews, P. L. Couchoud) doszli do zaskakującego wniosku, że Jezus w rzeczywistości nigdy nie istniał. Wysunięto hipotezę, że jest to postać wymyślona i następnie wpisana w konkretne realia historyczno-geograficzne. Inni jednak uznali to za *„niebywały obłęd naukowy"* (D. Mereżkowski) i dziś już chyba nikt nie kwestionuje historyczności Jezusa.

Na jakiej podstawie zrodziły się wątpliwości co do faktycznego istnienia Jezusa Chrystusa? Zadecydowało o tym kilka przyczyn.

I. W zasadzie nie ma wiarygodnych dowodów pozaewangelicznych. Prawie wszystkie dane o Jezusie pochodzą ze źródeł kościelnych. Natomiast wzmianki pozachrześcijańskie są niezwykle skromne i nie w pełni zadowalające. Wystarczy podać, że najstarsze wiadomości pochodzą z II wieku i — jak przyznaje ksiądz Marek Starowieyski — łatwo mieszczą się na jednej stronie maszynopisu.

Słynny dziejopisarz rzymski Tacyt (56—120) podaje w XV księdze „Roczników", że cesarz Neron w celu oddalenia od siebie podejrzenia o podpalenie Rzymu podstawił *„winowajców i dotknął wyszukanymi kaźniami tych, których znienawidzono dla ich sromot, a których gmin nazywał chrześcijanami. Początek tej nazwie dał Chrystus, który za panowania Tyberiusza skazany został na śmierć przez prokuratora Poncjusza Piłata, a przytłumiony na razie zgubny zabobon wybuchnął, nie tylko w Judei, gdzie się to zło wylęgło, lecz także w stolicy, dokąd wszystko co potworne i sromotne zewsząd napływa i licznych znajduje zwolenników. Schwytano więc naprzód tych, którzy tę wiarę publicznie wyznawali, potem na podstawie ich zeznań ogromne mnóstwo innych, i udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu".* Następnie dowiadujemy się, że Neron rozkazał, żeby w jego parku dawać chrześcijan na pożarcie psom, przybijać do krzyży i palić. *„Stąd* — pisze dalej Tacyt — *chociaż ci ludzie byli winni i zasługiwali na najwyższe kary, budziła się ku nim litość jako że nie dla pożytku państwa, lecz dla zadośćuczynienia okrucieństwu jednego człowieka byli traceni".*

Inny autor rzymski Pliniusz Młodszy (61—113) donosił cesarzowi Trajanowi, że chrześcijaństwo to *„tylko niegodziwy i nieumiarkowany przesąd"* oraz dodał, że *„zaraza tego przesądu"* opanowała oprócz miast również osady i wioski Bitynii i Pontu. Z kolei historyk Swetoniusz (70—140) w dziele „Żywoty cezarów" napisał, że cesarz Klaudiusz — *„Żydów wypędził z Rzymu za to, że bezustannie wichrzyli, podżegani przez jakiegoś Chrestosa".* A w innym miejscu, pisząc o polityce społecznej Nerona, stwierdza: *„Ukarano torturami chrześcijan, wyznawców nowego i zbrodniczego zabobonu".*

Przez wiele wieków za najważniejszy dowód istnienia Jezusa uchodziło tzw. świadectwo Józefa Flawiusza (37—100), historyka żydowskiego, uczestnika powstania antyrzymskiego, który później osiadł i tworzył w stolicy cesarstwa. W jego księdze pt. „Starożytności żydowskie" znajduje się bardzo kontrowersyjny fragment:

„W tym czasie żył Jezus, człowiek mądry, jeżeli w ogóle można go nazwać człowiekiem. Czynił bowiem rzeczy niezwykłe i był nauczycielem ludzi, którzy z radością przyjmowali prawdę. Poszło za nim wielu Żydów, jako też pogan. On to był Chrystusem. A gdy wskutek doniesienia najznakomitszych u nas mężów Piłat zasądził go na śmierć krzyżową, jego dawni wyznawcy nie przestali go miłować. Albowiem trzeciego dnia ukazał się znów, jako żywy, jak to o nim oraz wiele innych zdumiewających rzeczy przepowiadali boscy prorocy. I odtąd też po dzień dzisiejszy, istnieje społeczność chrześcijan, którzy od niego otrzymali tę nazwę".

Autentyczność tego tekstu poddano po raz pierwszy w wątpliwość już w XVI wieku. Dlaczego? Otóż jest mało prawdopodobne, żeby wyznawca judaizmu w ten sposób pisał o Jezusie; a jeśli już — to czemu poświęcił mu tak mało miejsca? Poza tym cytowany fragment niezbyt pasuje do danego kontekstu (18, III, 2—4) dzieła Flawiusza. Po prostu, wygląda na niepotrzebną dygresję. Można więc przypuszczać, że stanowi późniejszą interpolację (wstawkę) chrześcijańską. Jakiś gorliwy kopista chyba dopisał ów ustęp lub przekształcił relację historyka żydowskiego. Być może stało się to na przełomie III i IV wieku, ponieważ wcześniej nie powoływano się na „świadectwo" Flawiusza.

Ksiądz prof. Eugeniusz Dąbrowski uważał, że „testimonium Flavianum" ma zbyt wyraźnie chrześcijański charakter, aby można było w całości uznać je za autentyczne. Pisał on, że przynajmniej częściowo jest to interpolacja chrześcijańska.

W tej samej książce Flawiusza znajdujemy drugą wzmiankę o Jezusie, która prawdopodobnie również została zniekształcona. Historyk podaje, że arcykapłan Annasz (junior) postawił przed sądem m. in. *„Jakuba, brata Jezusa, zwanego Chrystusem* i skazał go na ukamienowanie.

II. Spośród kilkudziesięciu różnych ewangelii Kościół dość arbitralnie wybrał tylko cztery (Mateusza, Marka, Łukasza, Jana) i uznał za kanoniczne. Pozostałe zaś potraktowano jako apokryfy. Warto wiedzieć, że m. in.

ODRZUCONO EWANGELIE:

Piotra, Nikodema, Tomasza, Bartłomieja, Filipa, Jakuba, Barnaby, Andrzeja, Walentyna, Tacjana, Pawła, Macieja, Apellesa, Bazylidesa, Marcjona, Cerynta, Lucjusza i Seleuka, Judasza, Egipcjan, Hebrajczyków, Syryjczyków, Ebionitów, Nazarejczyków. Powstaje w związku z tym pytanie, na jakiej podstawie przyjmuje się, że właśnie wybrane 4 ewangelie są prawdziwe, napisane pod natchnieniem Ducha Świętego, a inne niewiarygodne?

Wyraz „apokryf" etymologicznie oznacza rzecz sekretną, tajemną, ukrytą. Apokryficznych ksiąg Starego i Nowego Testamentu nie wolno czytać w kościołach, choć niektóre z nich relacje fukcjonują w ikonografii, liturgii i doktrynie kościelnej. Przyjmuje się, że teksty odrzucone zawierają błędną naukę oraz nieprawdopodobną treść i pochodzą nie od tych autorów, którym są przypisywane. W szczególności tzw. Protoewangelia Jakuba wywarła duży wpływ na chrześcijańską kulturę europejską. Autor jej podaje się za Jakuba, brata Jezusa, który miał być pierwszym biskupem Jerozolimy.

III. Nie wiemy z całą pewnością, kto naprawdę napisał ewangelie kanoniczne i apokryficzne. W starożytności i średniowieczu powszechnym zwyczajem było podszywanie się autorów pod znane i szanowane postacie. W owych czasach fałszerstwa zdarzały się często, gdyż nie istniało prawo autorskie w dzisiejszym pojęciu. Rzadko zresztą podpisywano własne utwory. I raczej nie karano za plagiaty.

Jezus, jak wiadomo, sam nie spisywał tego, co głosił. Natomiast żaden z ewangelistów najprawdopodobniej nie był naocznym świadkiem jego działalności. Ewangelie Mateusza i Jana przypisywane są wprawdzie apostołom o tych imionach, lecz wielu badaczy kwestionuje ich autorstwo.

Trzy pierwsze ewangelie nazywane są synoptycznymi (od greckiego „synopsis" — wspólne, jednoczesne spojrzenie), ponieważ opisują przeważnie te same wydarzenia. Zupełnie inna zaś jest ewangelia Jana, która w około 90 proc. przedstawia fakty nie znane Mateuszowi, Markowi i Łukaszowi. Jan znał chyba jakąś odmienną tradycję?

Ale nawet między ewangeliami synoptycznymi istnieją poważne różnice. Wilfrid J. Harrington pisze: *„Związek wzajemny między synoptykami jest dziwnym połączeniem zgodności i niezgodności (często określanym jako concordia discors). Przenika ono Ewangelie w taki sposób, że istnieją rozbieżności w ważnych kwestiach, a doskonała zgodność w zwykłych szczegółach."*

Autorzy wydanego niedawno „Słownika teologicznego" tłumaczą różnice tym, że każdy z ewangelistów posługiwał się własnymi źródłami bądź po swojemu interpretował fakty i słowa Jezusa. Ewangeliści nie pisali kroniki, lecz utwory o charakterze beletrystycznym.

„Jako pisarze natchnieni — czytamy — *dokonywali tej pracy pod natchnieniem Ducha Świętego".*

Wyjaśnienie takie nie może jednak zadowalać naukowców.

IV. Spośród czterech uznanych przez Kościół ewangelii najwcześniej powstało opracowanie Marka. Według redaktorów rzymskokatolickiej Biblii Tysiąclecia — *„chyba między 60 a 70 rokiem".* W. J. Harrington podaje, że około 65 roku lub najpóźniej tuż po 70 roku. A Marcel Simon stwierdza: *„Żadna z Ewangelii nie wydaje się pochodzić sprzed roku 70, może z wyjątkiem Ewangelii Marka".*

Jakkolwiek było, od momentu śmierci Jezusa do powstania chronologicznie pierwszej ewangelii upłynęło ponad 30 lat, czyli przeminęło jedno pokolenie. Czy z takiego dystansu udało się wiernie odtworzyć nauki Jezusa i przebieg jego działalności? Trudno powiedzieć, ale jest to mało prawdopodobne.

Dlaczego więc od razu nie przystąpiono do spisywania ewangelii? Otóż spodziewano się, że Jezus niebawem wróci i stworzy obiecane królestwo Boże. Mówił przecież:

„Gdy was prześladować będą w tym mieście, uciekajcie do innego. Zaprawdę powiadam wam: Nie zdążycie obejść miast Izraela, nim przyjdzie Syn Człowieczy" (Mt 10, 23).

A w innym miejscu obiecywał:

„Zaprawdę powiadam wam: Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zaznają śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego przychodzącego w królestwie swoim" (Mt 16, 28).

W przypisach do Biblii Tysiąclecia wyjaśnia się, że Jezus miał na myśli duchowe przyjście oraz ukaranie Żydów poprzez zburzenie ich stolicy i świątyni w 70 roku. Być może — lecz na pewno jego uczniowie oczekiwali czegoś innego. I dlatego nie widzieli sensu spisywania kazań Jezusowych. Niektórzy nie chcieli nawet pracować, ponieważ wierzyli, że wkrótce zapanuje raj na ziemi.

Nadzieje te załamały się po straszliwej klęsce Żydów w pierwszym powstaniu antyrzymskim. I wtedy dopiero — po 70 roku

ZACZĘTO PISAĆ ROZMAITE EWANGELIE.

Mateusza powstała około 85 roku, Łukasza ok. 80 r., a Jana pod koniec stulecia — ok. 95 roku. (Przypomnijmy tu, że Jezusa ukrzyżowano w 30 roku lub najpóźniej w 33). Jeśli autorem ostatniej ewangelii byłby rzeczywiście Jan Apostoł (tak sądzi m. in. Witold Tyloch) — to ile musiał mieć wówczas lat? Czy w tak sędziwym wieku można wszystko dobrze pamiętać i spisać? Nie wiadomo.

V. Nie zachowały się żadne oryginalne ewangelie ani inne teksty Pisma Świętego. Najwcześniej napisany utwór Nowego Testamentu (pierwszy list św. Pawła do Tesaloniczan) powstał na przełomie 50 i 51 roku. Ostatnim zaś pismem nowotestamentowym jest — powstały około 120 roku — tzw. drugi list św. Piotra (apostoł zmarł już w 64 lub 67 roku). Nie dysponujemy jednak oryginałami. Zachowały się tylko wielokrotne kopie i kompilacje.

Jednakowy kanon Nowego Testamentu przyjął się wszędzie pod koniec II lub na początku III wieku. Natomiast najstarsze pełne zbiory rękopiśmienne (Kodeks Watykański i Kodeks Synaicki) pochodzą z IV stulecia. Nie ulega dziś wątpliwości, że uznane przez Kościół chrześcijański księgi były przez kopistów przerabiane i w jakimś stopniu odbiegają od nie znanych oryginałów.

„Z ogromnej ilości dokumentów przekazujących tekst Nowego Testamentu — czytamy w Podręcznej Encyklopedii Biblijnej pod redakcją ks. Eugeniusza Dąbrowskiego — *zebrano około 200 tysięcy wariantów. W porównaniu z około 150 tysiącami wyrazów, stanowiących pełny tekst Nowego Testamentu jest to liczba wprost zaskakująca. Bliższe jednak poznanie tych wariantów nie tylko nie podważa autorytetu tekstu rezultatywnego, ale wręcz przeciwnie, potęguje jeszcze nasze doń zaufanie. Okazuje się bowiem, że rozmaitość lekcji dotyczy zasadniczo niektórych tylko słów, czy powiedzeń, podczas gdy znakomita większość tekstu (siedem ósmych) podawana jest we wszystkich dokumentach w sposób jednobrzmiący... Warianty odnoszące się do pozostałej ósmej części — to przeważnie odmienne formy gramatyczne albo składniowe, synonimy, przestawienia wyrazów lub inne nic nie znaczące odchylenia. Wariantów dotyczących sensu jest około 200, a w tym poważniejszych — zaledwie około 15... Żaden z nich jednak ani nie pomija, ani nie dodaje jakiejś dogmatycznej prawdy, słowem nie narusza w niczym depozytu Objawienia. W związku z tym należy stwierdzić, że tekst Nowego Testamentu przechował się do naszych czasów nie tylko nieskażony co do istoty (quoad substantiam), ale i w olbrzymiej większości pewny".*

Jednakże wielu uczonych nie ma tej pewności i wiary — tym bardziej, że niepewne jest nawet autorstwo utworów nowotestamentowych. Prawie wszyscy dziś uczeni zgadzają się, że listy: Pawła do Hebrajczyków, Jakuba i drugi Piotra nie wyszły spod pióra apostołów o tych imionach. Ponadto dość powszechnie kwestionuje się autentyczność Ewangelii Jana, Apokalipsy oraz listów św. Pawła do Efezjan, Kolosan, Tymoteusza i Tytusa.

VI. Biografia ewangeliczna Jezusa dostosowana jest do rozmaitych proroctw Starego Testamentu. Chodzi o to, żeby udowodnić, że Jezus rzeczywiście był od dawna zapowiadanym Mesjaszem. Ale zabiegi te nie wypadają zbyt przekonywająco. Na przykład, Żydzi oczekiwali, że Mesjasz będzie pochodził z rodu Dawida, ponieważ w Pierwszej Księdze Kronik Bóg obiecywał królowi:

„Kiedy wypełnią się twoje dni i będziesz musiał odejść do twoich przodków, wzbudzę twojego potomka po tobie, którym będzie jeden z twoich synów, i utwierdzę jego królowanie. On zbuduje mi dom, a Ja utwierdzę tron jego na wieki" (1 Krn 17, 11—12).

Stąd też na wstępie Ewangelii Mateusza usiłuje się wykazać właściwe pochodzenie Jezusa. Lecz jest to *„dowód"*, iż Józef, mąż Maryi, był z rodu Dawidowego. A przecież Józef nie miał być ojcem Jezusa...

Inaczej problem ten rozwiązano w apokryficznej Protoewangelii Jakuba, gdzie stwierdza się, że Maryja była dziewicą *„z pokolenia Dawida i bez skazy przed Bogiem"* (ProtEwJk X, 1).

Ponadto ewangeliści podają, że Jezus przyszedł na świat w Betlejem, gdzie Józef — co jest rzeczą niezrozumiałą — musiał udać się z małżonką w związku z odbywającym się spisem ludności. W ten sposób miało sprawdzić się następujące proroctwo z Księgi Micheasza:

„A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie władał w Izraelu, a pochodzenie jego od początku, od dni wieczności" (Mi 5, 1).

Mateusz twierdzi, że Józef osiadł z rodziną w Nazarecie dlatego, żeby spełniły się słowa proroków, iż nazwany będzie Nazarejczykiem. Bibliści mają jednak kłopoty z ustaleniem, jakie proroctwo ewangelista miał na myśli. Wskazują oni na dwa fragmenty Księgi Izajasza:

„A wyrośnie różdżka z pnia Jessego, wypuści się odrośl z jego korzenia" (Iz 11, 1) oraz *„On wyrósł przed nami jak młode drzewo i jakby korzeń z wyschniętej ziemi"* (Iz 53, 2).

Prawodpodobny dowód ma polegać na tym, że w pierwszym zdaniu użyto wyrazu „neser" (odrośl) — zbliżonego do „Naserat".

Chcą mieć klub, w którym byłoby lepiej niż w domu

Obraz w soczewce

JOLANTA WROŃSKA

Transparentu nosił z sobą nie będę. W ankiecie personalnej też się nie przyznam. — Maciek stawia sprawę jasno. Bo to jest tak: Piłeś jak inni — byłeś swój. Przyszedłeś wlany do roboty to ci jeszcze dali klina i pomogli się ułożyć do snu w jakimś kątku. Najwyżej brygadzista ochrzanił cię na perłowo i obciął premię. Wszystko. Mieściłeś się w normie — wiadomo — każdy pije, a jak nie pije, znaczy donosi. A teraz? Jest okazja, ktoś odbija pół litra, a ty na to, że dziękujesz, pił nie będziesz, boś uzależniony. Alkoholik na leczeniu. Ani się obejrzysz, jak kumple będą cię omijać, brygadzista da ci najgorszą robotę, pańcie w kadrach poszepczą ci za plecami. Leżysz bracie. Alkoholik na leczeniu, to jest najgorszy syf. Tak ludzie myślą.

— *Nie wstydziłeś się uchlewać na umór i leżeć w rynsztoku? Nie wstydziłeś się wtedy, a wstydzisz się teraz?* — Impetyczny Mietek tka palcem w Maćka. To dla kogo właściwie ty to robisz? Przestałeś pić dla nich, czy dla siebie?

— *Ja wam powiem* — Stanisław, najstarszy wiekiem i stażem picia, ponad dwadzieścia lat w zanurzeniu, ich „dziekan korpusu". — *Sam musisz wiedzieć, kiedy powiedzieć trzeba, a kiedy nie musisz się obnosić. Mądry zrozumie, a głupi i tak nie pojmie i szkoda na niego fatygi. A z ludźmi też jest różnie. Moi kumple, z którymi chlałem przez całe lata najpierw się stukali w czoło, zakładali się kiedy pęknę i popłynę. Teraz szanują mnie. Pytają, jak ja to zrobiłem. Największe lumpy z całych Bałut ściskają mi grabulę.*

Boląca sprawa. Ujawnić się czy nie. Powiedzieć głośno, z podniesionym czołem: jestem alkoholikiem. Jestem uzależniony, nie wolno mi pić. Nie! N i e c h c ę pić. Każdy z nich musi sam z sobą się pozbierać. Tu nikt nikomu nie będzie prawił drętwych kazań o słabej woli, moralnym zeszmaceniu, nikt nikogo do niczego nie będzie naginał. Sam musisz rozstrzygać. Nie tylko to, czy się przyznać do alkoholizmu. To jest najmniejsza ze ścian, na które się natykasz.

Najpierw musisz dojść do krańca wszystkiego. To jest moment przerażającego, lodowatego strachu. Albo zginiesz, albo przestaniesz. I wtedy rodzi się to: *„chcę"*. U każdego inaczej. Piotr, lekarz z zawieszonym prawem wykonywania zawodu za pijaństwo i nieprawdopodobne numery wyprawiane po pijaku, doszedł do swojej krawędzi nagle. To było jak mgnienie w otchłani fortralu zapitego litrem czystej. Dość. Od zaraz dość.

Stanisław ma w życiorysie wszystkie możliwe płyny ze śladową choćby zawartością alkoholu i chlanie dotąd, aż zaczynały mu się podobać najpaskudniejsze bywalczynie melin i bram. Rodzinę diabli wzięli, syn na jego widok ucieka z krzykiem. Jego: *„chcę"* przyszło zeszłej jesieni. Poszedł w pola, przed siebie. Musiał być sam. I wtedy nagle coś pękło. On, praktykujący katolik odklepujący dotąd obrządek modlitwy, bez zrozumienia, pogadał sobie z Panem Bogiem. Jak nigdy dotąd. Boleśnie wyszarpywał z siebie flaki. Do dna. Na dnie był potworny strach. I wtedy trafił do poradni, a potem do grupy.

Oni wszyscy tu mają za sobą życiorysy ze ścieku. Lata odmierzane pijackimi ciągami, *„wszywką"* esperalu, anticolem zapijanym wódą. Ludzie ze śmietnika przysięgający żonom poprawę, dzieciom miłość i opiekę, sobie, że już będą kontrolować picie. Tylko z okazji. Najwyżej dwa kieliszki. Trzeba zobaczyć dno piekieł, żeby wreszcie pojąć najprostszą prawdę. Jesteś nieodwołalnie i dożywotnio uzależniony od alkoholu. Nie panujesz nad piciem i nigdy już nie będziesz silniejszy od wódki. Musisz skapitulować. Bezwarunkowo. To jest właśnie ta

PIERWSZA ŚCIANA

o którą musisz uderzyć. Jeśli chcesz żyć, nie wolno ci wypić kropli alkoholu. Nigdy więcej. Jesteś bezradny i sam sobie nie poradzisz. Strasznie ciężko coś takiego przychodzi. Całe twoje życie było mocowaniem się z wódką. Nie, nie tak. Całe życie uciekałeś w wódkę, bo nie umiałeś znieść życia na trzeźwo. Za bardzo bolało. Więc potrzebowałeś tłumika. Każdą sytuację, każde wydarzenie amortyzowałeś alkoholem. Nagle wychodzisz z odwyku, odtruty, *„suchy"* i nie wytrzymujesz szoku trzeźwości.

Wtedy potrzebna jest grupa. Takich samych jak ty. Nikt nie każe ci się legitymować, nie musisz się z niczego tłumaczyć, nikt cię nie straszy i nie potępia. Pierwszy raz w życiu czujesz, że ktoś cię zrozumie. Ktoś, kto przeżył to samo i też nie radzi sobie z sobą, z rodziną, z całym światem.

Na początku było ich dwunastu. Pacjenci poradni odwykowej dla alkoholików w Łodzi przy ulicy Marcelego Nowotki. I Krzysztof — psycholog terapeuta prowadzący zajęcia grupowe. Wtedy tylko fachowiec „od odwyku", teraz przyjaciel, wspólnik i powiernik.

Najpierw dociera do ciebie, że alkoholizm to jest choroba, a nie brak silnej woli. Potem przyswajasz już, że alkoholizm to choroba kłamstwa. Nie — pijesz, bo masz powody, żeby pić. Pijesz, żeby nie ponosić odpowiedzialności za swoje życie. I ze zdumieniem dowiadujesz się, że istnieje życie bez alkoholu. Wybór należy do ciebie, nikt za ciebie go nie dokona. Albo abstynencja do końca życia, albo zarzygana śmierć w rynsztoku. Nie ma *„byłych"* alkoholików, są tylko alkoholicy niepijący. Gdzieś tak po trzech miesiącach trzeźwości odzywa się w tobie kozak. Już się odtrułeś, trochę wzmocniłeś. Więc już możesz spróbować picia kontrolowanego. Dwa kieliszki na imieninach szwagra. Wypiłeś i płyniesz. Dokładnie tak, jak zawsze płynąłeś. W tym okresie leczenia wpadka ma walor dobroczynny. Przekonujesz się na własnej skórze, że uzależniony jesteś na zawsze. Wtedy albo uciekasz z grupy i chlasz dalej, albo przeskakujesz o jeden stopień wyżej. Teraz musisz się nauczyć żyć bez alkoholu. Czymś wypełnić pustkę dotąd tłumioną zamroczeniem.

Piotr pamięta, jak po trzech miesiącach psychoterapii grupowej wszyscy, niemal jednocześnie poczuli, że to za mało, że jeszcze nie czują się dostatecznie bezpiecznie. Namówili więc Krzysztofa, by poprowadził ich dalej. Bo bez grupy nie dadzą sobie rady. Nie potrafią rozmawiać po ludzku z własną żoną, czują straszną przepaść nieufności i lęku dzielącą ich od własnych dzieci. Nie potrafią zupełnie poruszać się na trzeźwo we własnym życiu. Od ubiegłorocznego listopada, odkąd powstała łódzka grupka trzeźwych alkoholików z ulicy Nowotki, przeszli już kawałek drogi. Stanisław i Piotr będą niedługo obchodzić pierwszą rocznicę abstynencji. I Mirek, małomówny chłopak w drucianych okularach, i Zośka, studentka, od pół roku ucząca się od początku odczuwania bezpieczeństwa, bliskości z innymi, wyrozumiałości.

Stare chłopy, wypraktykowane pijaki, wycwanione lumpy teraz zachłannie i z odrobiną niedowierzania uczą się takich rzeczy jak czułość okazana gestem czy słowem, jak ciepła rozmowa z własnym dzieckiem wciąż jeszcze wietrzącym pułapkę w ojcowskiej trzeźwości. Na grupie mają poligon ćwiczebny i ostro trenują uczciwość, otwartość, bezwzględną wobec siebie i innych. Jeszcze się przewracają na zadawnionych nawykach dorobiania sobie ideologii do wszystkiego, jeszcze w bólach i mordędze grzebią we własnych wnętrzach. Już rozumieją, że jedynym skutecznym lekarstwem na alkoholizm jest całkowita przebudowa psychiczna. Im będzie głębsza i uczciwsza, tym mocniej osłoni przed musem picia odzywającym się w każdej dolegliwej emocjonalnie sytuacji.

PRZECIEŻ TO JEST GENIALNIE PROSTE

Piotr zatacza dłonią krąg ogarniając wszystkich siedzących. — *Póki piłeś — byłeś rozpaczliwie sam. Coraz bardziej lękałeś się tej samotności i jeszcze bardziej zapijałeś własny strach i w koło Wojtek. A teraz nie jesteś już sam. Pomagasz sobie — pomagając innym. Pomagając innym — sam sobie pomagasz. Genialne, prawda? I na tym właśnie polega „tajemnica" skuteczności samopomocy wspólnoty alkoholików. Od pięćdziesięciu lat już wiadomo, że najlepszymi na świecie specjalistami od otrzeźwiania alkoholików są trzeźwi alkoholicy. Idea Anonimowych Alkoholików czy klubów abstynenta jest ta sama — samopomoc. I jak dotąd nie ma żadnej konkurencji. W Stanach od dziesięcioleci przyjęto za prawdziwe twierdzenie, że jeszcze nigdy nikogo nie udało się otrzeźwić skutecznie przymusem, strachem czy potępieniem moralnym.*

— *A u nas* — wchodzi mu w słowo Mirek — *zrobiono największą głupotę ustawami z 1952 i 56 roku nakazując przymusowe leczenie alkoholików. Pokażcie mi choć jednego, który dzięki tym ustawom przestał pić. Na zawsze. Trzeba było trzydziestu lat do 1982 roku, żeby wyrzucić na śmietnik przymusowe leczenie. Ile klubów abstynenckich, ile wspólnot AA przez to nie mogło powstać, bo obowiązywało zarządzenie.*

Spokojny Mirek aż usiedzieć nie może z tych „nerw". Straszny szlag cię trafia, kiedy widzisz ilu ludziom nie można pomóc tylko dlatego, że komuś gdzieś brakuje wyobraźni.

— *Chcemy, uważasz* — wykłada Mirek filozofię ich wszystkich — *założyć klub. Żeby mieli gdzie przyjść ci, którzy chcą przestać pić. I ci, którzy jeszcze nie chcą, ale może jak zobaczą, to spróbują. I gdzie my ich mamy przygarnąć?*

Ten klub to ich marzenie. Chcieliby teraz, zaraz robić, tworzyć, organizować, podać adres do gazet. Hołubią w sobie wizję przytulnego wnętrza z fotelami, z zielonymi roślinkami, ze swojskim ciepełkiem. Można by kupić minikomputer, choćby jeden, może jeszcze magnetowid i ściągać dobre filmy i może nawet saunę? Żeby było bezpiecznie, przyjemnie, spokojnie. Jak w domu. Nie, lepiej niż w domu, bo w domu to różnie jest, a czasem nie ma go człowiek wcale. A gdzieś musi być u siebie, szczególnie kiedy taki jeszcze zielony na tej nowej drodze życia. Żeby nie był sam, żeby zawsze tu spotkał przyjaciół, którzy pomogą w złą godzinę, kiedy czujesz, że tylko wsparcie takich samych jak ty ustrzeże cię przed pójściem w zanurzenie.

Oni wszyscy ogarnięci są przemożną potrzebą, nawet koniecznością stworzenia tego klubu. Pcha ich niecierpliwe, palące pragnienie odrobienia strat poniesionych latami przez alkohol. Tak, jak kiedyś gnał ich mus picia, tak teraz łapczywie chcą żyć. A ten klub to nie tylko miejsce, konkretny lokal i adres Nawet nie przede wszystkim. Klub to sposób na życie. Droga, na którą dopiero co weszli, a która stała się najważniejszą sprawą. Krzysztof terapeuta to rozumie. Na tym właśnie *„leczniczym"* działaniu zasadza się ważność idei klubu. On wie, że bez tego, rok ciężkiej pracy w grupie każdego z chłopaków może pójść na marne. Stara się tylko powściągać nagle rozbuchany apetyt na życie. Oni przecież są dopiero na starcie. Uczą się codziennie odporności, dojrzałego wglądu w siebie. Jeszcze nie są tak silni, jak im się zdaje. Porażka może załamać.

Więc Krzysztof moderuje rozgorączkowanego Piotra, i Zenka, który prze do przodu jak czołg. Zenek ma zasadniczą zawodową i dobry fach. Jak wytrzeźwiał, to policzył, ile forsy puścił w życiu *„przelewem"*. I teraz chce to natychmiast odrobić. Zadośćuczynić żonie lata udręki, obsypać syna prezentami. Dla Zenka liczy się *„utrzaskać jak najwięcej kapuchy"*, czyli forsy Ekwiwalent za niegdysiejsze śmierdzące łachy na grzbiecie i zbieranie flaszek po śmietnikach na jedno piwo.

Krzysztof boi się dla chłopaków płycizny nowego życia. Stara się w nich budzić wartości stanowiące budulec nie na teraz, tylko na całe życie.

Zaczęli gdzieś tak wiosną tego roku, od wciągnięcia w pracę grupy własnych rodzin. Przede wszystkim żon. Żon tak samo mozolnie uczących się życia z trzeźwym człowiekiem. Zorganizowali sobie letni obóz terapeutyczny. Uzależnieni, ich żony, dzieci, nawet psy i koty. Wszystko, co składa się na dom. Przez dwa tygodnie we wsi Soczewka pod Płockiem trenowali do upadłego sztukę ujawniania swych uczuć, słuchania siebie wzajemnie, patrzenia sobie w oczy. Różnie im szło. Każdy musiał w sobie burzyć stare fortece uprzedzeń, lęków, zachowań, latami gromadzonej goryczy. Ale dzisiaj mogą sobie powiedzieć, że udało się nie dopuścić do rozpadu kilku par.

Właśnie wtedy w Soczewce zawiązał się klub uzależnionych abstynentów i ich rodzin „SOCZEWKA". Dobra nazwa. Jakby symbol. W soczewce możesz obejrzeć całe swoje dotychczasowe życie, a z drugiej strony — obraz którego nigdy dotąd nie widziałeś. Trzeźwe życie bez cierpienia i kłamstwa.

Na miłość boską, czy naprawdę trzeba wyważać dawno już otwarte dzrwi? Piotr się denerwuje na samo wspomnienie pielgrzymki, z jaką poszli po rozmaitych łódzkich instytucjach i urzędach. Szukali wsparcia dla swej idei klubu, walczyli o jakiś lokal. Nie musi być przecież żaden pałac. Może być ruina, którą sami sobie z radością wyremontują. Tylko niech już mają jakiś swój adres. Przecież nie żądają luksusowej siedziby dla stowarzyszenia hodowców pterodaktyli. Ten klub może stać się kołem ratunkowym dla wielu alkoholików. Od czasu narodzin idei Anonimowych Alkoholików nikt jeszcze na świecie nie wymyślił skuteczniejszej metody otrzeźwiania skutecznie i na zawsze nieszczęśników chorych na alkoholizm.

Tymczasem, zdaniem Piotra i reszty, zaraz za gromkimi hasłami o potrzebie otrzeźwiania narodu i walce z patologią społeczną, zaczyna się

TRAGICZNY UGÓR

w dodatku pełen fałszu, pozoranctwa i katastrofalnego braku wyobraźni. Zagadnienie przypomina odwróconą do góry nogami piramidę. Na górze bardzo dużo, na dole mało albo zgoła nic.

Cała struktura organizacyjna służby zdrowia dotycząca leczenia odwykowego nadal ma oblicze bardziej przypominające czasy przymusu, choć przez trzydzieści lat nigdy nie owocowała skutecznością. Pozór, fasada i nieskrywana niechęć do zajmowania się żmudną i niewdzięczną robotą *„w odwyku"*. Tak wyglądają fakty. W szpitalach psychiatrycznych, w poradniach i oddziałach odwykowych najwyżej odtruwa się pacjentów. Anticol, *„wszywka"* z esperalu i tyle. Najwyżej jeszcze drętwa mowa o szkodliwości picia wódki. Personel medyczny nie lubi alkoholików bo... jest wobec problemu całkowicie bezradny. Jednocześnie szereg zarządzeń wykonawczych, finansowych i organizacyjnych skutecznie blokuje promocję idei samopomocy uzależnionych abstynentów. Nie wspominając o śmiesznych płacach psychiatrów i psychologów, którzy chcą pracować z alkoholikami. Sztywne przepisy pasują jak pięść do nosa do samorodnej, niekonwencjonalnej, nie dającej się zmieścić w żadnych „normatywach" formuły działań terapeutycznych. Jak wycenić przesiadywanie do późnej nocy po domach alkoholików, rozmowy z rodzinami, pilnowanie alkoholika, który miał wpadkę i popłynął? To nie jest posada w godzinach urzędowych. Tu się pracuje całym sobą, całym swoim czasem, o świcie i w nocy.

Abstynenci z „Soczewki" próbowali dojść, co też się dzieje z uchwalanym przez Sejm każdego roku Funduszem Przeciwalkoholowym. Jego wysokość wnioskuje Rada do spraw Przeciwdziałania Alkoholizmowi przy Radzie Ministrów. Suma przeznaczona na Fundusz trafia do dysponenta czyli Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Stąd wędruje — w jakich proporcjach tego nie zdołali dociec — do wojewódzkich Wydziałów Zdrowia. I tu się skończyły informacje, a zaczęły się domysły. Próby dotarcia kto decyduje i na jakiej podstawie o wojewódzkim preliminarzu wydatków z funduszu przeciwalkoholowego utknęły gdzieś między urzędnikami. Ile mają do powiedzenia fachowcy „odwykowi", a ile administracja? Kto trzyma kasę i dlaczego?

—*Jest — uważasz — tak:* Mirek rozkłada palce do wyliczanki: — *Na Łódź i województwo przypada kilkadziesiąt milionów złotych z funduszu przeciwalkoholowego. Gdzie trafiają te pieniądze? Żebym to ja wiedział. Bo na pewno nie widać ich w płacach tych wszystkich szaleńców, którym się chce pracować przy alkoholikach. Nasz Krzysztof jest dowodem. Pracuje właściwie stale, że niedługo żona wypisze go z rodziny, a co on z tego ma? Dalej — czy zamiast drukowania kretyńskich plakatów, apelujących do sumienia pijaków, wydrukowano milion broszurek o zasadach, na jakich opiera się wspólnota Anonimowych Alkoholików, albo kluby abstynentów, co zresztą na jedno wychodzi? Czy w szpitalach i poradniach odwykowych odtruty alkoholik może się dowiedzieć o takich działaniach samopomocowych? Nie dowie się on, bo przynajmniej w Łodzi nie działa ani jeden klub wewnątrz „odwykówek". Lekarze o tym albo sami nie wiedzą, albo nie informują pacjentów. Przynajmniej większość służby medycznej.*

Czy za pieniądze z funduszu można by urządzić klub dla abstynentów? A pewnie, nawet niejeden. W Warszawie chłopaki osiem lat bili się o klub AA. Całe osiedle porządnych obywateli mieli przeciw sobie. Porządny obywatel owszem też chla, na komunii swojego dziecka, na bankiecie, i w ogóle nie wyobraża sobie, jak mogłoby nie być gorzały. Ale ten sam obywatel jest głuchy na wszelkie tłumaczenia, że klub AA to nie jest pijacka melina, tylko dokładnie na odwrót. Chłopaki w końcu wygrali. W Warszawie mają swój

KLUB NA GOPLAŃSKIEJ.

Od półtora roku mają takie coś, o czym my w Łodzi długo jeszcze będziemy marzyć. Oni tam są czymś takim jak — nie śmiej się — bańka czystego powietrza, trzeźwego powietrza w naszej kochanej zawianej Polsce. I wciąż jeszcze ich tam na osiedlu nie kochają. A może właśnie dlatego? Bo są absolutnie trzeźwi. Ani kropli alkoholu. Prezes klubu z Goplańskiej jest absolutnym abstynentem od siedmiu lat. No? Czy normalny obywatel zalewający się w trupa w dzień wypłaty może znieść takie coś? Przecież to jest zagrożenie. Taki chodzący dowód na bezsilność wszystkich urzędowych programów działań, planów koordynacji, finansowania i rozwoju kleconych gdzieś w gabinetach.

— *Może właśnie dlatego* — zamyśla się Stanisław — *nam tu w Łodzi tak ciężko wywalczyć taki klub? To nie jest miasto szczególnie chłonne na takie tam „nowinkarstwo". Śmieszne, nowinkarstwo z pięćdziesiątką na karku. Zresztą, jakby tak rozebrać rzecz do ostatniej śrubki, wychodzi, że właściwie nie można spodziewać się po urzędnikach, że pochwalą nas za pomysł stworzenia klubu. Skąd do diabła mają oni mieć to „nowoczesne" myślenie, jeśli wyszli z tego samego społeczeństwa?*

A społeczeństwo, jak mówi Krzysztof, ma miłosny stosunek do wódki. Te zdrobniałe wódeczki, wineczka, piweńka... Przepychanie wszystkiego przez bufet, przepijanie interesów, imienin pana majstra, oblewanie pogrzebu i chrzcin. Człowiek, który nie pije jest podejrzany. Ani przy takim się urżnąć, ani od serca zaśpiewać o góralu. Trefny. I takie myślenie jest od góry do dołu. Jak do amerykańskiego Senatu zostaje wybrany człowiek zaczynający przemówienie od deklaracji, że jest anonimowym alkoholikiem, trzeźwym od iluś lat, to on dostaje brawa, za uczciwość i taaaki kredyt zaufania. Bo jak potrafił wyjść z dna, to znaczy, że paru rzeczy po drodze się nauczył i jest coś wart. Wyobraźcie sobie u nas posła, radnego, urzędnika z magistratu, już nie mówię wyżej, który powiada że on jest uzależniony abstynent he, he! Jak Zenek się rozwodził, to sędzina pytała o nazwisko, wykształcenie, zawód i takie tam. A potem — czy karany? czy leczony? Na jednym poziomie wartościowania. Póki pijesz jawnie, czy po cichu, toś w porządku. Przyznasz się, żeś na odwyku, w dodatku bez kagańca, czyli *„wszywki"* — jesteś przekreślony.

— *No i* — rozmarza się Piotr — *wchodzi takich dwóch, trzech do urzędu i oni proszą o lokal dla klubu uzależnionych abstynentów. I co robią urzędnicy? Urzędnicy czym prędzej spławiają. Fuj, takie coś w ich rewirze...*

Szczytem szczęścia byłoby znalezienie człowieka na odpowiednio wysokim stanowisku, żeby umiał i chciał przepchnąć sprawę rozumiejąc w czym rzecz. Najlepiej bez opierania o bufet. A jeszcze lepiej, gdyby taki człowiek sam był AA, albo przynajmniej nie miał miłosnego stosunku do wódki. No przecież musi się choć jeden taki znaleźć w milionowej aglomeracji zagrożonej alkoholizmem. Przestałaby być Łódź czarną dziurą bez jednej tratwy ratunkowej.

No to, jak będzie? Moment przygaszania mija. Klub będzie. Jak nie drzwiami to oknem, ale załatwią, wydrą z tej koszmarnej machiny urzędniczej jakiś lokal. I będzie klub, że proszę siadać. Namówią kogo trzeba. Pierwszego sekretarza i wszystkie gazety, pójdą po fabrykach i po szkołach. I będzie Bo jest potrzebny jak świeże powietrze. Bo jest skuteczny na alkoholizm. Bo daje szanse zbudowania sobie mądrego, trzeźwego życia. Bo ma sens.

■

Gdy medycyna próbuje naprawić, co zepsuła natura

Inni...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Siedzimy we trzech w małym pokoiku, którego białe drzwi zdobi tabliczka „Biblioteka". Chcemy mieć trochę ciszy i czasu. Czasu na rozmowę, której wszyscy się nieco lękamy. Oni — nie chcą wpaść w tryby machiny goniącej li tylko za sensacją, a której synonimem, dziś ja jestem. Mnie — oprócz obawy o precyzyjne ukazanie niełatwego, a przy tym wciąż mało znanego tematu, trapi pytanie: czy będą autentyczni, czy zechcą szczerze i otwarcie mówić o sobie? Zgodzili się na rozmowę, ale to przecież jeszcze nic nie znaczy...

Krzysztof jest brunetem, średniego wzrostu, o uważnym, by nie rzec przenikliwym spojrzeniu. Ostrożnie waży słowa, jakby oczami wyobraźni widział już konsekwencje każdego z nich. Długo też zastanawia się, czy uchylić rąbka swej tajemnicy, „odkryć się" przed dziennikarzem.

Kuba jest bardziej żywiołowy; blondyn, z fantazyjnie rozwichrzoną czupryną strzela szczegółami ze swego życia otwarcie i bez żenady. Sprawia wrażenie faceta, który postanowił wiele lat temu dopiąć swego i przed żadną przeszkodą się nie cofnie.

Imiona moich rozmówców są autentyczne, obaj zgodzili się zresztą na ich podanie. Nazwiska i resztę szczegółów personalnych zostawmy już sobie do „własnej wiadomości", nie o pisanie życiorysów wszak chodzi. Zgodzili się opowiedzieć mi o walce, jaką toczyli całymi latami z niektórymi przedstawicielami społeczeństwa starającego się czasem dowieść, iż zbyt szybko wyrwaliśmy się z mroków średniowiecza, zgodzili się jeszcze raz wspomnieć tor przeszkód, który musieli pokonać, by stać się mężczyznami. Tak, nie popełniłem błędu, jeszcze trzy lata temu obaj byli kobietami. Wynikało to tak z wszelkich dokumentów jak i z budowy ciała...

— Jak trudno urzeczywistnić samego siebie, to tylko my wiemy naprawdę... — Krzysztof zaczyna ostrożnie, mam wrażenie, że nieprzyjemne są nawet wspomnienia z dzieciństwa. Staram się nie przerywać, nie namawiać do opisów sytuacji, zdarzeń. Niech sam odtworzy ten „film", te lata, gdy był Anną...

— Nie jestem w stanie sprecyzować dziś dokładnie, ile miałem wówczas lat, ale wydaje mi się, że pięć, może sześć, gdy zaczęło — to pamiętam — drażnić mnie moje imię, zabawki, sposób w jaki się do mnie zwracano. Pamiętam też, że kilkakrotnie podarłem na sobie sukienkę.. Ja czułem się chłopakiem! Widzę wciąż te drwiące uśmieszki naszych znajomych, rodziny, także coraz częstszych — lekarzy. I ciągle ten sam lub podobny tekst: — To jej z wiekiem minie!... Ale nie minęło... Mama wynajdywała wciąż nowych lekarzy — psychologów, psychiatrów, endokrynologów, seksuologów. Wynik wizyt był wciąż ten sam i ta sama opinia. Miałem 19 lat, gdy zdecydowałem się ostatecznie: będę walczyć, muszę zmienić ten idiotyczny stan rzeczy! Zgodziłem się nawet na ścisłą obserwację, w jednej z klinik psychiatrycznych. Ale to była gehenna: umieścili mnie na jednej sali z piętnastoma kobietami. Wypisałem się po kilkunastu dniach na własne żądanie...

Mama znalazła wreszcie endokrynologa, który podjął się leczenia hormonalnego. Interesowałem się medycyną, „połykałem" każdą książkę medyczną, w której — wydawało mi się — znajdę odpowiedź na podstawowe dla mnie pytanie: Dlaczego???? I byłem zdecydowany na chirurgiczną korektę błędów popełnionych przez Naturę. Po wielu miesiącach prób, rozmów, stukania do rozmaitych drzwi wiedziałem od czego trzeba zacząć: od metrykalnej zmiany płci. Znalazłem adwokata, zebrałem potrzebne papierki i zaświadczenia; ciężko mi było, mama już wówczas poważnie chorowała. No, ale w sądzie poszło dość szybko, skończyło się na jednej sprawie, a wyrok, w którym w majestacie prawa mówi się o zmianie płci w akcie urodzenia i zmianie imienia — jest podstawą do zmiany dokumentów!

— Dlaczego właśnie Krzysztof? — odważyłem się przerwać monolog, bo odniosłem wrażenie, że on mi uwierzył. Że ja mu wierzę, i tak to później opiszę.

— Krzysztofem nazwała mnie pierwsza dziewczyna. I tak już zostało. A uprzedzając pańskie ewentualne pytanie, mogę bez fałszywej, a tu chyba zbędnej, skromności powiedzieć, że było ich kilkanaście. I żadnej nie oszukiwałem, każda wiedziała o moich, nazwijmy to, przypadłościach... Wyrok miałem w garści, ale Los wciąż mnie doświadczał: umiera mama, a ja, dwa dni później, sam w ciężkim stanie trafiam do szpitala. Czekała mnie operacja woreczka żółciowego, ale lekarz, porządny chłop — zwolnił chorego na pogrzeb. Po tej smutnej ceremonii popędziłem natychmiast do stosownego urzędu, by zdobyć nowy dowód osobisty. Ale kogóż obchodziła moja krańcowo inna sytuacja?! Miałem czekać sześć miesięcy!... I wie pan co zrobiłem? Poszedłem prosto do Komitetu Centralnego. Szybko okazało się, że mogę jednak dostać nowy dowód w pięć godzin. I do szpitala wróciłem już jako Krzysztof...

— Droga do Kliniki Chirurgii Plastycznej stała otworem..

— Nic bardziej błędnego, nawet mi o niej słowem nie wspomniano. W Ministerstwie Zdrowia tłumaczono mi wręcz, że nikt w Polsce takich operacji nie przeprowadza, a poza tym oni mają ważniejsze sprawy, chore serca choćby... Latami tłukłem głową o mur obojętności, znieczulicy, głupoty także. Kilkanaście miesięcy zwodzono mnie enigmatycznymi obietnicami operacji w jednej z klinik urologicznych, a w Instytucie Ginekologii i Położnictwa jeden z szefów tej placówki powiedział mi wprost: — „Nie zmusi mnie pan do przeprowadzenia tego zabiegu, a w ogóle to i tak nigdy żadna nie będzie pana chciała..." Ale nie rezygnowałem, podobnie, jak nie rezygnuję z medycyny, na którą dwukrotnie zdawałem, choć bez pomyślnych rezultatów. Na razie.

W listopadzie 1983 roku byłem w Łodzi, bo skierowano mnie na serię badań do Instytutu Endokrynologii. Tam dowiedziałem się o możliwości leczenia w Klinice Chirurgii Plastycznej w Łodzi. Zjawiłem się tam miesiąc później, a w styczniu roku następnego zostaliśmy obaj wyznaczeni do operacji.

Daruję panu szczegóły „techniczne", na pewno lepiej opiszą to panu chirurdzy. Mnie zależałoby, aby pan wyraźnie napisał, że jesteśmy normalnymi ludźmi, to nie jest żadna psychoza czy zboczenie seksualne. Wszyscy czujemy się, po prostu jesteśmy mężczyznami, jedynie urodziliśmy się z wrodzoną wadą układu moczowo-płciowego. I jest rzeczą naturalną, że chcemy te sprawy uregulować...

— No, to wie pan już prawie wszystko? — śmieje się Kuba, który od paru minut kręci się — widzę — niecierpliwie, czekając na swoją „kolejkę".

— Czy i pan ma podobnie smutne wspomnienia z dzieciństwa i napotykał wyłącznie na upokarzające uśmieszki i komentarze?

— Niemal wyłącznie... — uśmiech znika raptownie; znów mam uczucie, że z wyraźnymi oporami sięga pamięcią wstecz, jakby tylko te ostatnie lata zasługiwały na sympatyczną opowieść, lata, gdy znaleźli się pod opieką „plastyków" w Łodzi. Mówi szybko, nerwowo, jednym gestem, pogardliwym uśmiechem kwitując małych ludzi i ich jeszcze mniejsze postawy.

— Wie pan, ja się nawet zastanawiałem kiedyś, czy rzeczywiście nie jestem „stuknięty"?! Bo w dziecięcych latach było identycznie jak u Krzyśka, podobne traktowanie, podobne uwagi rodziny i lekarzy. Ale w okresie dojrzewania moje marzenia, dążenia bardziej się wykrystalizowały. Im bardziej mnie ciągnęło do dziewczyn, tym z większym przerażeniem na siebie spoglądałem. Rychło też okazało się, że mogę się z powodzeniem zakochać, ale w dziewczynie wyłącznie!!! Na pierwszym roku studiów, mniejsza o to jakich, zadurzyłem się w koleżance. No i cóż, wkrótce zamieszkaliśmy razem, zaczęliśmy snuć całkiem poważne plany na przyszłość. Oczywiście, aby uniknąć wytykania palcem i „palenia czarownic" — mieszkaliśmy jako dwie dziewczyny...

— Unikał pan wizyt u lekarzy?

— Wręcz przeciwnie! Tylko oni mnie wciąż traktowali jako kobitkę z zaburzeniami hormonalnymi! Śmiali się: — „Dziewczyno, co ty za głupoty pleciesz! Toż to okres dojrzewania jeszcze, niestabilność psychiczna, ale wszystko minie!" I chcieli mnie leczyć jako babę! Przez półtora roku faszerowali mnie żeńskimi hormonami i— nic, żadnych efektów, ani fizycznych, ani psychicznych. Gdzie szukać ratunku? Kto mi pomoże? Któregoś dnia łapię za telefon zaufania. I pierwszy mały krok: sugerują wizytę w poradni seksuologicznej przy Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa, a lekarze — ścisłą obserwację psychiatryczną. Decyduję się i na to. Zarywam wakacje, po kilku tygodniach mam pierwszy wynik w ręku; wiem kim jestem! To się fachowo zwie transseksualizm.

— Nadal nie wie pan o istnieniu łódzkiej kliniki?...

— Oczywiście że nie. Dzięki przypadkowo usłyszanej audycji w radiu o takich jak ja, nawiasem mówiąc bzdurnej od początku do końca, „łapię" kontakt z Zakładem Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich. Około roku zaliczam różne badania, przechodzę testy, w międzyczasie załatwiam pomyślnie sprawę sądowego sprostowania aktu urodzenia i — jak na złość — odchodzi dziewczyna...

— W momencie, gdy sprawy wreszcie ruszyły, nabrały tempa?

— No właśnie, ale cóż — bywa. A ja mam już kilka bardzo ważnych papierów, a przede wszystkim wiem kim jestem i jak mam na imię! Lekarze w Warszawie wreszcie nieśmiało wspominają o łódzkich próbach, mija jeszcze kilka miesięcy, wreszcie uzgadniam z panią docent terminy i chyba na wiosnę 1984 roku mam pierwszy zabieg. Dziś mam już — nazwijmy to „półmetek" — za sobą i uważam, że „jestem dobrze zrobiony", tak „góra" jak i „dół". Wiem że to jeszcze nie koniec, ale na przykład niespodzianką na plus było zaproponowanie nam protez. Ale wszystkim nam zależy i niech pan napisze, że strasznie w tym miejscu liczymy na łódzki zespół, na zrealizowaniu etapu urologicznego. Mimo miesięcy w łóżku, mimo blizn — bardzo nam zależy...

— To też osobny problem — wtrąca uważnie przysłuchujący się naszej rozmowie Krzysztof. *— W Warszawie lekarze, którzy nie mają większego pojęcia o technicznej stronie zabiegów obiecują takim jak my chorym przysłowiowe złote góry, efekty godne telewizyjnej Tary i Edenu. Prawda wygląda znacznie mniej sympatycznie, tylko my wiemy, jakie to trudne zabiegi, ile miesięcy trwa nasza fizyczna przemiana.*

— Wiem, że około trzech lat. W tym czasie wiele miesięcy spędza się tu, w szpitalnym łóżku. Co na to żona panie Jakubie? — pytam i idę uchylić nieco okno, bo widzę, że facet ma wyraźną ochotę zakurzyć, choć zakaz palenia pewnie tu murowany.

— Powiedziała mi krótko: — „Jeśli to dla ciebie takie ważne, to dla mnie też...". Jest pełna ciepła i w ogóle z dumą mówię, że jesteśmy wspaniałą, to znaczy normalną rodziną. I zanim pan zada, jakieś być może niezbyt zręczne, pytanie — uprzedzę je: mamy psa, małą działkę, rano idziemy do roboty, czasem boli mnie ząb i czeka remont dużego pokoju. Normalne życie, prawda? Tyle, że ja rozumiem to inaczej, bo się naszarpałem wiele lat i myślę, że lepiej czuję uroki codzienności...

Zniecierpliwiona siostra zajrzała już drugi raz. Pewnie tam obiad, a my tu w najlepsze ucinamy sobie dłuższą pogawędkę. Ale oni chcą sprzedać jeszcze jedną myśl i jeszcze jedną, już teraz niemal na wyścigi.

— Niech pan wspomni, że strasznie ważna jest kwestia właściwej selekcji, na wcześniejszym etapie — palec Kuby wystukuje na blacie stołu jakiś nieokreślony rytm, co ma zapewne uwypuklić wagę sprawy. *— My jesteśmy stare wygi i w lot każdego rozpoznamy. Ale to nie o to chodzi. Zdarza się, że pacjent czekający na operację lata po korytarzu z biustem na wierzchu niemal. Czyli się nim chlubi, czyż nie?! Takie typy powinny odpaść na etapie rozmów z psychologiem i psychiatrą...*

— A dlaczego zaniechano dłuższych obserwacji psychiatrycznych? — zapytuje nie wiedzieć czemu mnie podenerwowany Krzysztof. *— Na Zachodzie do zabiegu kwalifikuje komisja lekarzy, składająca się ze specjalistów różnych dziedzin. U nas decyduje praktycznie jeden lekarz ze wspomnianego Zakładu Seksuologii w Warszawie... Już, już idziemy, i niech pan napisze redaktorze* — ten popisowy numer wykonują już zgodnym chórem, bo siostra która znów stanęła w drzwiach ma oblicze bardziej niż marsowe — *że bez wspaniałych dziewczyn — pielęgniarek zginęlibyśmy tu wszyscy na amen...*

Szefową Kliniki Chirurgii Plastycznej Akademii Medycznej — docent Julię Kruk-Jeromin udało mi się złapać już po półgodzinie oczekiwania, w czasie krótkiej przerwy między zabiegami. Niemal tyle samo czasu trwało namawianie na krótki wywiad, choć — co muszę przyznać z dumą — ta operacja zakończyła się również pełnym sukcesem. Następnie miało miejsce krótkie, w rekordowym tempie przeprowadzone szkolenie (na szczęście — bez egzaminu końcowego...).

— Cóż to jest transseksualizm? Najprościej rzecz ujmując jest to rozbieżność między poczuciem psychicznym płci a morfologiczno-biologiczną budową ciała. Transseksualiści czują odrazę do swego ciała, natomiast pragną akceptacji społecznej w roli zgodnej z płcią przeżywaną psychicznie. Nie są do końca wyjaśnione przyczyny takiej rozbieżności, mimo badań prowadzonych w wielu krajach, przy czym godzi się odnotować duże osiągnięcia w tej dziedzinie łódzkiego Instytutu Endokrynologii. Brany jest pod uwagę wpływ czynników genetycznych, endokrynologicznych, neuroprzekaźnikowych i środowiskowych. Z pewnością nie jest to choroba psychiczna ani zboczenie seksualne. Cóż jeszcze? Można dodać, że częstotliwość występowania transseksualizmu szacowana jest według badań zachodnich w granicach 1 do 60 tysięcy mieszkańców.

— A w Polsce? Czy możemy podać jakieś dane?

— Oblicza się ostrożnie, iż w granicach 1 do 150 tysięcy mieszkańców, choć myślę, że nie są to do końca prawdziwe wyliczenia, gdyż za podstawę bierze się wyłącznie przypadki będące efektem zgłoszenia się pacjenta.

— Klinika, którą pani docent kieruje podjęła się kilka lat temu arcytrudnego zadania: leczenia transseksualistów.

— Owszem, zdecydowaliśmy się na ten krok w 1983 roku i do dziś pod naszą opieką znalazło się 35 osób, transseksualistów typu kobieta-mężczyzna, który to przypadek nawiasem mówiąc, jest w naszym kraju ilościowo w przytłaczającej przewadze. Dokładnie odwrotnie niż ma to miejsce na Zachodzie.

— Chorzy, jak zdążyłem się zorientować, przechodzą wcześniej wiele badań wstępnych i testów, a przede wszystkim muszą mieć uregulowane sprawy — nazwijmy to — papierkowe...

— Oczywiście. Przyjmowane do leczenia chirurgicznego są wyłącznie osoby ze skierowaniami z warszawskiego Zakładu Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich, po sądowym sprostowaniu aktu urodzenia i zmianie dowodu osobistego.

— Myślę, że łódzcy chirurdzy, podejmując nowy zupełnie temat, owiany zresztą nimbem dwuznacznej tajemniczości, natknęli się na wiele przeszkód nie tylko technicznej natury...

— Tak jest, ale może najpierw dwa słowa na temat leczenia. Otóż ujmując sprawę w ogromnym skrócie polega ono na plastyce redukcyjnej piersi, usunięciu wewnętrznych narządów płciowych oraz wytworzeniu prącia. Leczenie jest wieloetapowe, bardzo długie (6—9 zabiegów chirurgicznych) i bardzo trudne Pozostawia liczne blizny na klatce piersiowej i brzuchu oraz na trwałe pozbawia pacjenta możliwości urodzenia dziecka. Toteż podejmując się tego leczenia zespół lekarzy musiał pokonać pewne własne opory natury psychicznej, a także „zlekceważyć" kpiny i przytyki lekarzy innych specjalności, wypływające zwykle z niezrozumienia, nieznajomości problemu, jego ogromnej wagi Musieliśmy wreszcie wypracować metody operacyjne w tak nietypowych zabiegach, a zdecydowanie najwięcej trudności nastręcza zwykle operacja wytworzenia prącia z powłok brzucha. Musi ono być odpowiednio usytuowane, usztywnione, mieć odpowiedni kształt i wielkość. Chorzy pragną ponadto by spełniało wszystkie funkcje tego narządu, co wiąże się z wieloma nowymi problemami np. urologicznymi.

— Czy są już chorzy, którzy całkowicie zakończyli wieloetapowe leczenie?

— Praktycznie nie, dwóch jest najbardziej zaawansowanych, można powiedzieć w fazie końcowej, pozostali na różnych etapach. Ale o wynikach będzie można dopiero mówić po kilku latach, gdy dzisiejszy chory na stałe zaadaptuje się w roli męskiej. Kilkunastu chorych zawarło związki małżeńskie, wielu — jak mi mówią — będzie ubiegało się o adopcję dziecka.

— Przywróciliście im wiarę w siebie?

— Właśnie, już dziś śmiało mogę stwierdzić, że nasze decyzje o podjęciu żmudnego leczenia transseksualistów były słuszne. Choć efekty naszej pracy różnią się od ich oczekiwań, jednak ze zrozumieniem akceptują to co współczesna medycyna może im ofiarować. Ale rzeczywiście, jak sami twierdzą — przywróciliśmy im chęć do życia...

Ile można dowiedzieć się od rozmówcy, który pędzi korytarzem na kilkadziesiąt metrów długim w kierunku sali operacyjnej, czasu ma tyle, ile na ten spacer potrzeba, a myśli krążą już między lancetem a polem operacyjnym. Doktor Cezary Peszyński-Drews jako jeden z pierwszych operował transseksualistów Dziś kolejna porcja zabiegów. Drzwi sali zbliżają się nieuchronnie, dalej już dla mnie wstęp wzbroniony, więc próbuję choć kilka zdań „wycisnąć" z młodego chirurga. Pytam o pierwsze. *— Spróbujmy choć kilka spraw usystematyzować. Rodzaj zaburzeń cielesno-płciowych, o których, jak słyszę, chce pan napisać, w tym przypadku oznacza niezgodność między gonadą (inaczej — gruczoł rozrodczy) a budową ciała, na przykład gonada — męska, a budowa ciała — żeńska. Znany problem od wieków, ale strasznie skomplikowany. Jednym z inicjatorów tego leczenia był nieżyjący profesor Tadeusz Pawlikowski. Proces, o którym mówimy, ma miejsce już we wczesnych fazach życia zarodka i polega na tym, że nie następuje „umężczyźnienie" pierwotnie żeńskiego płodu. Ale musiało minąć wiele lat, nim przyczyniliśmy się do znalezienia wspólnych zaburzeń hormonalnych u ludzi niewłaściwie uformowanych pod względem budowy płciowej i ludzi niewłaściwie uformowanych pod względem psychoorientacji płciowej.*

Często wystarcza zmiana metryki i już ludzie ci będą się lepiej czuli w swojej roli płciowej. Dotyczy to choćby pacjentów starszych wiekiem, którzy już się w życiu zaadaptowali a zaburzenie nie jest bardzo głębokie. Wykluczyć trzeba także przypadki transwestycyzmu, który należy do grupy zaburzeń seksualnych, a nie zaburzeń różnicowania płciowego. Transwestyci akceptują swoją płeć, a przebieranie się jedynie wzmaga radość związaną z aktem płciowym...

Oprócz wizyt u psychologa, seksuologa, wszyscy potencjalni pacjenci przechodzą skomplikowane badania. Niezbędna jest między innymi wizyta u lekarza zajmującego się relacjami między czynnością hormonalną a czynnością centralnego układu nerwowego. Ale czeka nas jeszcze szalona praca, przed nami wiele niewiadomych. Jak wcześnie można rozpoznać zaburzenia psychoorientacji płciowej? Czy lekarz pediatra byłby uprawniony do takiego rozpoznania? Czy rzeczywiście ta psychoorientacja kształtuje się do trzeciego roku życia i później jest nieodwracalna? Pytania można by mnożyć. Wiele z nich ma zresztą znacznie głębszą treść, to już są problemy egzystencjalne.

Jak ujawnia się nasza ekspresja płciowa, do jakiego stopnia możemy sami nią kierować, kiedy np. nadmierna agresja jest wynikiem jedynie nadmiernego „masculinity".

Dlaczego ja jestem dziewczyną? Dlaczego ja jestem chłopakiem?...

■

Mecz: trzydzieści tysięcy biedaków patrzy jak dwudziestu dwóch bogaczy zarabia pieniądze...

Piłka jest kanciasta, a kasy są dwie

O piłce nożnej mówią: Pan X i pan Y... Pan X to wieloletni piłkarz i trener piłkarski, ppłk LONGIN JANECZEK, obecnie na emeryturze. Pan Y — również działacz piłkarski, działacz czynny. Dlatego występuje anonimowo...

Pomówmy o pieniądzach w sporcie, ściśle — w piłce nożnej...

Y: — Można podać sumy, jakie z budżetu państwa wpływają do GKKFiT, można policzyć — w przybliżeniu — pieniądze, jakie wpływają do klubów z zakładów pracy itd. Ale chyba nie o te pieniądze pan pyta?

X: — „Lewa kasa" w klubach to tajemnica poliszynela. Pomówmy więc o „lewej kasie".

Y: — Podstawowym źródłem lewej kasy jest lewy wpływ gotówki za lewe bilety. To znaczne sumy. Bywałem na stadionach wypełnionych do ostatniego centymetra kwadratowego — raport klubowy wymieniał liczbę widzów, która nie wystarczyłaby na zapełnienie trzech czwartych miejsc. To najważniejsze, choć nie jedyne źródło lewej kasy. Bywa — jest to forma dość popularna na Śląsku, gdzie ludzie szaleją za piłką — że pracownicy zakładów opiekuńczych opodatkowują się dobrowolnie na klub. Nie wszystkie, ale na pewno znaczna część tych pieniędzy zasila lewą kasę.

X: — Jest jeszcze parę innych sposobów: kombinacje z rozliczeniami kosztów wyjazdów, obozów treningowych itd.

Y: — Widziałem na własne oczy rachunki za taksówki, którymi cała ekipa gdzieś tam jechała, bo autokar się popsuł w drodze, rachunki za żywność, którą wykarmić można nie jedną drużynę piłkarską, ale połowę ekstraklasy.

— Jak się rozlicza lewą kasę?

X: — Prezes o niej nic nie wie. To się odbywa — ze zrozumiałych względów — gdzieś „cichcem".

Y: — Prezes o f i c j a l n i e nic nie wie. Zresztą, oficjalnie nikt w klubie nic nie wie. A praktycznie — wie mała grupka osób, z reguły wie sekretarz klubu. No i wie „lewy skarbnik", ktoś z zarządu, który trzyma kasę. Pieniądze z reguły są na książeczce oszczędnościowej na hasło. Kierownictwo ma do „kasjera" zaufanie. O żadnej kontroli nie może być mowy.

X: — Znam przypadek, kiedy kontrola dotarła do lewej kasy. Skończyło się aresztowaniem „skarbnika".

Y: — Wiem o czym mówisz. Akurat w tym przypadku sprawa miała szersze tło, była w swoim czasie szeroko komentowana w naszym światku. Lewy kasjer przyznał się do prowadzenia cichej kasy, ale nie mógł się z niej wyliczyć. Oświadczył, że znaczną sumę, jakiej brakowało w kasie, wręczył dwu piłkarzom. Piłkarze tego nie potwierdzili... i kasjer poszedł siedzieć.

— Ale na ogół lewa kasa jest wewnętrznie kontrolowana i nie ma nadużyć?

X: — O tym wiedzą tylko sami zainteresowani. Jestem sceptyczny — uważam, że lewe pieniądze prędzej czy później zdemoralizują tego, kto nimi obraca. Kiedyś usiłowałem zwalczać wpuszczanie „na lewo" kibiców na stadion. Służba porządkowa brała, czy to byli strażacy, czy straż przemysłowa, czy kto tam jeszcze. Zaangażowałem harcerzy. Z początku były straszne awantury przy wejściach — harcerze spisywali się świetnie! Po kilku meczach wszystko wróciło do normy — harcerze nauczyli się...

Y: — Znałem „lewego kasjera", który rozliczał się sumiennie, a szło o grube sumy. Tylko, kiedy kasa była pusta, zniszczył rzekomo książeczkę na hasło. A procenty? Od tych sum był to też niezły grosz...

— Co się finansuje z „lewej kasy"? Kupno zawodników czy może jakieś ekstra premie?

X: — Dokłada się do oficjalnych sum na kupno zawodników, dokłada się do oficjalnych premii zawodników i działaczy.

Y: — Przede wszystkim kupuje się mecze. „Kupuje się" gapiowatość obrony i bramkarza, niedyspozycję graczy z ataku, nieuwagę sędziów...

— Te transakcje załatwia właśnie „lewy kasjer"?

Y: — Przekupstwem zawodników zajmują się najczęściej sami zawodnicy. Mają przecież najróżniejsze kontakty. Jeśli nie załatwią tego przed meczem, to też na płycie boiska można się dogadać...

X: — Pamiętam mecz między drużyną z początku tabeli i „outsaiderem". Ci lepsi prowadzili do przerwy 3:0. Przegrali po przerwie... Mecz był niewątpliwie kupiony. Dopiero po przerwie, stąd taki dziwny przebieg spotkania...

— Jakie to drużyny?

X: — Pan daruje...

Y: — Ligowa giełda odbywa się... na zgrupowaniach kadry. Zawodnicy mają tam nieograniczone możliwości „handlowe"... Ale działacze też, oczywiście, starają się jak mogą. Przecież się znają, mają różne kontakty. A i pańscy koledzy, dziennikarze sportowi, nie wszyscy są bez grzechu...

— To, jak sądzę, rzadkie, odosobnione przypadki?

Y: — Oczywiście, wszystko o czym mówimy to rzadkie, odosobnione przypadki. Jeśli chodzi o dziennikarzy, mogę z czystym sumieniem wymienić tylko jeden...

— Dziękuję, zostańmy przy anonimowości, zarówno pana jak klubów, działaczy i zawodników. A więc dziennikarzy także...

X: — Jako były łodzianin, piłkarz a później trener ŁKS, muszę tu dodać, że mam bardzo miłe wspomnienia po kontaktach z łódzkimi dziennikarzami sportowymi: red. Włodzimierz Lachowicz, Mieczysław Wójcicki, Michał Strzelecki czy Jarosław Nieciecki to świetni dziennikarze, szczerze oddani sprawie sportu. Bardzo ich cenię, sympatycznie wspominam i uważam za swych przyjaciół, choć zdarzało się, że i mnie „przyłożyli" w gazetach, kiedy było za co... Z niektórymi do dziś widuję się na meczach w Warszawie. To, o czym mówi kolega nie dotyczy żadnego z dziennikarzy łódzkich. Proszę to wyraźnie napisać!

— Proszę panów, mieliśmy tu „psy wieszać" a nie żonglować komplementami... Zdziwiło mnie, że mówicie panowie o kupowaniu sędziów? Czy to możliwe?

X: — Sędzia przyjeżdża z reguły do miasta, w którym ma być mecz, w przeddzień. Jest oczywiste, że spotka się z gościnnością klubu, który jest gospodarzem. Czasem tylko granice tej gościnności... No bo kolacja to jeszcze nie łapówka?

Y: — Zależy jaka kolacja. Bywają kolacyjki dla sędziów z kawiorem i szampanem, z miłym towarzystwem, damskim raczej... Takie kolacyjki przeciągają się do śniadania, toteż nic dziwnego, że na meczu pan sędzia jest w nie najlepszej formie i tego i owego nie zauważy...

X: — Byłem kiedyś — przez omyłkę — wzięty za sędziego, bo przyjechałem wcześnie na mecz. Działacze, a klub był przy zakładach motoryzacyjnych, proponowali mi to i owo załatwić, wymienić co nieco w samochodzie itd... Bardzo się speszyli, kiedy się przedstawiłem jako kierownik przyjezdnej drużyny!

Przy okazji znów muszę przestrzec przed krzywdzącymi uogólnieniami: mogę wymienić mnóstwo nazwisk uczciwych, surowych i sprawiedliwych sędziów: Stanisław Ekształn, sędzia Karolak z Łodzi..

— Panowie, umówiliśmy się, że mówimy o rzadkich, odosobnionych przypadkach. Nie zastrzegajmy tego przy każdym zdaniu. Czytelnicy i kibice z pewnością są ciekawi, jak przekupiony sędzia prowadzi spotkanie? Co robi, żeby ułatwić grę jednej drużynie, utrudnić drugiej a jeszcze nie dać się złapać na stronniczości?

X: — Metoda jest stosunkowo prosta. Załóżmy, że mecz odbywa się w mieście „A", drużyna gospodarzy „ma wygrać". Sędzia jest dla tej drużyny wyjątkowo surowy na środku boiska. Zatrzymuje grę, udziela upomnień graczom z „A", daje żółte kartki, a pod bramkę drużyny „B"... nie zdąży dobiec, kiedy tam się coś dzieje, nie zauważy... I to na ogół wystarczy. Kibice w „A" gwiżdżą i krzyczą: „Kalosz", zawodnicy nawet klną: „Nie daje pograć!" Ale mecz wygrywają, a przecież o to chodzi.

— Pomówmy o „niedzielach cudów". Może, w wyniku wprowadzenia nowych przepisów, nie będą się już zdarzać?

Y: — Piłkarski totek mógłby po takiej niedzieli zbankrutować: każdy wynik można przewidzieć: drużyna „A" z czoła tabeli już nic nie ma do zyskania, drużyna „B" — odwrotnie, to jej ostatnia szansa. Kto wygra? Wiadomo, renomowana drużyna „A", jedna z najlepszych w kraju, dostanie baty od ligowego „zielonego światełka". Ktoś w mieście „A" kupi sobie nowy samochód czy nowe meble...

— „Ktoś" — to zawodnik?

Y: — W mieście „A" — zawodnik. Ale zdarza się, że w mieście „B" jakiś działacz też ma nagle powiększone konto!

— Nie rozumiem... Zawodnik z „A" wziął łapówkę a skąd forsa u działacza z „B"?

Y: — To proste: działacz z „B" w r ę c z y ł łapówkę. Ale nie wręczył wszystkiego, co mu powierzono z lewej kasy. Coś mu tam zostało... albo nawet wszystko mu zostało! Zaryzykował... Gdyby mecz przegrali, powiedziałby, że „handel" się nie udał i zwróciłby forsę.

X: — Po każdej „niedzieli cudów" władze sportowe zachowują się jak dobrotliwy tato, zatroskany wybrykami syna. Grozi mu palcem i mówi: „Żeby mi to było ostatni raz!" Syn broi dalej, tato zżyma się coraz bardziej i znów grozi palcem. I tak od wielu, wielu lat...

— A transfery? Jak to wygląda pod względem finansowym? Plotki mówią o bajońskich sumach...

X: — Akurat na ten temat niewiele — chyba — możemy powiedzieć. Regulują to przepisy, stosowane w PZPN...

Y: — Zgadza się, ale... sumy, przewidziane przez przepisy są „wzmacniane" z lewej kasy. Ponadto przenoszony zawodnik dostaje procent...

— Jaki?

Y: — To zależy od umowy: dziesięć, dwadzieścia może?

— A więc piłkarzowi opłaca się być jak najczęściej „transferowanym"? Najlepiej co sezon?

X: — Zawodnicy mają umowy z klubami. To utrudnia zbyt częste przenosiny. Ale nie jest to przeszkoda nie do pokonania. Kluby mogą się umówić, jak w przypadku..

— Nomina sunt odiosa. Zostańmy przy stwierdzeniach ogólnych. Zresztą, może dość już o tej forsie. Ostatnie pytanie z tej serii: czy — ogólnie biorąc — pieniądze na piłkę nożną są sensownie, pożytecznie wydawane?

X: — Różnie. Bywają jaskrawe przypadki zbytniej rozrzutności i zastanawiającej oszczędności... Przykład: likwiduje się sekcję siatkówki w klubie, bo brak pieniędzy. Ten sam klub wyrzuca 6 milionów na kupienie piłkarza. Lichego piłkarza, u schyłku kariery. A ten zawodnik jeszcze wieje za granicę i wypina się na swoich opiekunów i dobroczyńców!

— Mówicie panowie o smutnych rzeczach. Obraz piłki nożnej jawi się jako... no, nie chcę używać mocnych słów. Jak temu zaradzić? Jak to zmienić?

Y: — Zaradzić trudno, bo trudno łapać za rękę. Choć znam i taki przypadek: na stadionie milicja zatrzymała żonę piłkarza, która miała w torebce plik banknotów. Nie umiała wyjaśnić skąd ma pieniądze. Ba! nie umiała powiedzieć, ile tych pieniędzy ma! Skończyło się dożywotnią dyskwalifikacją męża tej pani.

X: — Trzeba jeszcze dodać, że piłkarstwo polskie nie jest żadnym wyjątkiem. Taki jest dzisiejszy świat sportowy, jeśli jeszcze zasługuje na tę nazwę... Na Zachodzie są ogromne afery piłkarskie, jak na przykład we Włoszech. Bywa tak i w krajach demokracji ludowej — jak choćby niedawno w Bułgarii. Być może ogólna poprawa atmosfery w klubach mogłaby choć częściowo zmienić ten obraz, może konsekwentne, prawdziwe zawodowstwo... Ale u nas nie ma szans na prawdziwe zawodowstwo: piłka jest, jakby nie było, deficytowa. Zawodowców na Zachodzie finansuje wielki kapitał, konsorcja przemysłowe, które mają z tego zysk w postaci reklamy czy ulg podatkowych...

Y: — Jeśli o atmosferze mowa, to przytoczę świetną anegdotkę charakteryzującą atmosferę na samym wierzchołku piłkarskiej góry — w kadrze narodowej. Nasza reprezentacja wraca (przed laty) z wielkiej imprezy międzynarodowej. Spotykam jednego z pomocników trenera. Mówi: „Pani, co to za bałagan! Trener kadry nic nie wie, nic nie rozumie i w ogóle jakby go nie było... a ten drugi wtrąca mi się do wszystkiego i przeszkadza. Sam wszystko musiałem załatwiać, ustawiać drużynę, wszystko na mojej głowie!"

Drugi pomocnik trenera kadry mówi niemal to samo. „Trener na niczym się nie zna i jeszcze popija, ten drugi się ze mną kłóci, sam musiałem wziąć na siebie wszystko!"

Trener kadry: „Do d... mam tych pomocników! Tylko się kłócą, gdyby nie ja, to by się to wszystko rozleciało!"

A jeden z czołowych zawodników mówi mi w zaufaniu. „Całe to nasze kierownictwo do bani! Nic nie wiedzą, użerają się między sobą My, drużyna, musieliśmy sami sobie dawać radę!"

X: — W klubach rządzi kto chce. Bywa że zawodnicy rządzą działaczami i trenerami. Kiedyś, gdy trenowałem prowincjonalną drużynę, zwróciłem się do kierownictwa z wnioskiem o ukaranie piłkarzy, którzy przyszli (dwa dni przed ważnym meczem!) w szampańskich humorach o... czwartej rano. Zawodnicy oświadczyli, że się pomyliłem, bo było... dwadzieścia minut po północy — ten sam układ wskazówek na zegarku... Szef sekcji zaproponował mi urlop zdrowotny... a ja złożyłem rezygnację. Kiedy czytam w gazecie wywiad z trenerem, który mówi o zawodnikach per „Daruś" czy „Jureczek", to wiem, że ten trener nie rządzi drużyną..., że chłopcy nie wstają, kiedy wchodzi do szatni. Ja tego bezwzględnie wymagałem, tak jak wymagał tego niegdyś ode mnie mój trener, mój wzór a później przyjaciel: Władek Król...

— Powiedział pan, że nie ma u nas szans na prawdziwe zawodowstwo, ze względu na brak sponsorów. Czy są inne przeszkody?

X: — Piłkarstwo jest w ogóle deficytowe, poziom ogólny nie jest zachwycający, zaplecza prawie nie ma...

Y: — A ja sądzę, że mogłoby być prawdziwe zawodowstwo: zawodowa liga, 10 do 12 drużyn, wysokie, bardzo wysokie zarobki dla najlepszych. Sponsorzy też by się znaleźli, choćby za granicą. Cała reszta — pełne, prawdziwe amatorstwo. Oczywiście, jakieś ulgi, jakieś kwoty na dożywianie, jakieś stypendia. Ale drogą do wielkiego szmalu, do gwiazdorstwa byłaby tylko praca, praca i praca... a w efekcie angaż do drużyny zawodowej. Tam zresztą też nie od razu miliony — najpierw skromny, jednoroczny kontrakt stażowy, próbny. Potem, jeśli zawodnik się nadaje: kontrakt prawdziwie zawodowy. Wysokie płace, bardzo wysokie. Ale żadnej urawniłowki! Dobra gra — duże pieniądze. Zwłaszcza że chyba nikt już nie twierdzi, że piłkarze nie powinni dobrze zarabiać. Powinni zarabiać dużo, jeśli są rzeczywiście dobrzy. Rezygnują z jakiejś tam kariery zawodowej, narażają zdrowie. Wreszcie są aktorami wielkich widowisk, dają radość milionom kibiców, którzy płacą, a w sytuacji zawodowstwa powinni może nawet płacić jeszcze więcej. A dla reszty? Dla tych wszystkich chłopców, którym brak talentu, wytrwałości, dyscypliny? Proszę bardzo — piękna rzecz — kopanie piłki dla przyjemności, po pracy.

X: — Obawiałbym się o zaplecze takiego zawodowstwa...

Y: — A teraz jest zaplecze? Jest program szkolenia piłkarskiej młodzieży? Jest prawdziwie masowa piłka? Są te setki drużyn, z których wyrastają piłkarze z prawdziwego zdarzenia? A tylko z nich znów wyrastają gwiazdy. Jak Platini, jak Boniek. Wielcy. I... doskonale opłacani.

X: — Właściwie tak już było. Przypomnijmy: Ryszard Koncewicz uruchomił kiedyś niezły system. Były wyniki. Niczego nie ujmując Kaziowi Górskiemu, to sukces jego drużyny był przygotowywany przez poprzednie lata. Nie można też lekceważyć przypadku, zbiegu okoliczności: tak się jakoś złożyło, że w latach 1945—1950 urodzili się w naszym kraju znakomici piłkarze. Ci, którzy „powstrzymali Anglię", którzy sięgali po najwyższe laury, złote medale. Skończyli karierę, a następców jakoś nie widać.

A jeśli są, to jakoś prędko się demoralizują. Obserwuję Dziekanowskiego...

— Miało być bez nazwisk!

X: — Zróbmy wyjątek. To wspaniały talent, to materiał na wielkiego piłkarza. Proszę zwrócić uwagę na jego postawę na boisku, kiedy nie jest w akcji. Stoi! Stoi, podpiera się pod boki. Jakby wszystko miał gdzieś... A piłkarz na boisku, kiedy nie jest w akcji a ma serce do gry, stoi w postawie tygrysa gotującego się do skoku: czujny, spięty, cały wibrujący. Dziekanowski stoi... Szkoda.

— Spróbujmy zdobyć się na trochę optymizmu na zakończenie rozmowy...

X: — Jestem optymistą. Wierzę w talent i umiejętności Andrzeja Strejlaua, szefa szkolenia PZPN. Na pewno odbuduje system szkolenia i zaplecza, trzeba mu w tym pomóc. Wierzę w nowego trenera kadry — Wojciecha Łazarka. Dobry trener, otwarty na pomysły, ambitny i uczciwy.

Y: — Chciałbym, żeby to ostatnie zdanie nie zabrzmiało krzywdząco dla Antoniego Piechniczka. To też świetny trener, współautor sukcesu w Hiszpanii. A ostatnio „nie miał kim grać". Bardzo dobrze, że zostaje w kraju. Tak powinno być: najlepsi zawodnicy i najlepsi trenerzy nie powinni wyjeżdżać. W tym kierunku idzie polityka nowego szefa GKKFiS, Bolesława Kapitana. Bardzo słusznie!

X: — Mam nadzieję, że nastąpi wiele pozytywnych zmian. Na przykład, uzyska właściwą rangę Rada Trenerów PZPN. Będzie decydować o angażowaniu i współdecydować przy zwalnianiu trenerów, bo kluby robią co chcą... Myślę, że rada powinna pomagać w programowaniu i szkoleniu zawodników, a także trenerów. Ważne jest, żeby trener klubowy był zawodnikiem, żeby umiał pokazać, czego wymaga, zademonstrować. I winien być nadal systematycznie szkolony. Budzą moje obawy trenerzy, magistrowie WF, którzy sami grali tylko w szmaciankę na podwórku... Chyba podobnie jest w teatrze: najlepsi reżyserzy to byli lub aktualni aktorzy?

— Dziękuję panom za rozmowę. Ostatnia sprawa: nie używaliśmy nazwisk — poproszę o wymienienie jednego nazwiska: najlepszego — zdaniem panów — piłkarza czterdziestolecia w Polsce?

Y: — Gerard Cieślik!

X: — Znakomitym piłkarzem był mój klubowy kolega Staszek Baran. Miał refleks, kondycję, przytomność umysłu, dryblingi, szybkość. Był gwiazdą już w 1939 r. Wojna zabrała mu najlepsze lata... Choć po wojnie był i tak niekwestionowanym liderem ŁKS i jednym z najlepszych piłkarzy polskich.

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

Foto: Grzegorz Gałasiński

Operacja „Mnich”

RYSZARD BINKOWSKI

Niedziela, blady świt, na drzewach smutne, zwarzone przymrozkiem liście. Ale już promienie wschodzącego słońca przenikają mgielną zawiesiną nad Łodzią. Siedzę obok kierowcy czerwonej lux torpedy w roli pilota i podziwiam wpływy architektury starocerkiewnej na budownictwo socjalistyczne w sektorze prywatnym. Łuki, arkady, schody, baszty, wieżyczki, kopuły i kopułki cerkiewne z imitacją śniedzi. Nagle, gdy mijamy granicę miasta, pędząc chyżo czerwonym maluchem prosto do Zgierza, ktoś zarzuca mi pętlę na szyję. Gruba parciana szelka zaciska się bezlitośnie, a jednocześnie słyszę łagodny szept: *„Proszę się zapiąć”*.

Sprawdzam pasek od spodni oraz inne akcesoria, a w nos wali mnie potężna klamra na szelce. Za plecami szept ostrzegawczy: *„Lotna czuwa, proszę zapiąć pasy”*.

Wciskam tę klamrę w jakiś hak przy podłodze, odwracam się i widzę uśmiechniętą przyjaźnie znajomą twarz. Młoda kobieta trzyma na kolanach plastykową torbę na grzyby, ale ja już wiem, że to tylko pozory. Kobieta jest specjalną wysłanniczką „Odgłosów”, w roli przyzwoitki, abyśmy razem z kierowcą, a zarazem fotoreporterem, Grzesiem Gałasińskim, nie zapili, nie złajdaczyli się lub nie zginęli marnie w terenie. A tak naprawdę to ona zbiera materiały do szkicu pt. „Treningowe wyciąganie ryby z wody a kondycja piłkarzy Widzewa”. Młoda kobieta nazywa się Bogda Madej.

Byłem tak spięty pasami i tak zaabsorbowany towarzystwem, że jako pilot straciłem orientację. Miałem prowadzić do końca asfaltu w Sokolnikach, potem zaś obok kapliczki, ale ten cholerny asfalt ciągnął się w nieskończoność i Gałasiński wjechał do leśniczówki, która wyglądała na wymarłą, chociaż na sznurach suszyła się bielizna. Rozszczekały się psy obronne, które Grzegorz tak skutecznie ujarzmiał, że kurtkę miał całą w łapki. Uwolniłem się z pasów i też obłaskawiałem psa, ale Bogda zaczęła wrzeszczeć, że pode mną są grzyby, więc zachowałem ostrożność. Były trzy opieńki, bo pod takim starym grzybem zawsze wyrastają małe. Potem pan leśniczy narysował na podwórzu plan dojazdu do Jasionki, minęliśmy nowy kościół z kapliczką, później jeszcze jedną kapliczkę i zapuściliśmy się w takie bezludzie i na takie bezdroża, że można by tam kręcić westerny. Województwo łódzkie maleńkie, ale są w nim jeszcze urocze zakątki.

Grzegorz odkrył mnóstwo stogów siana, które było słomą, dojechaliśmy do krzyża, lecz stawów nie było widać. Wtedy zapytałem dziewczynkę, która wkładała na wóz bańkę z mlekiem, czy to jest Jasionka, w której mieszka rybak Marian Młotkiewicz. Odpowiedziała piękną polszczyzną:

— *Tam ci on mieszka, w tej dolinie. Tam, gdzie widać ów szary dom za mgłą, proszę pana.*

Dojechaliśmy tam wzdłuż kilku małych stawików. W podwórzu ujadały groźnie psy, więc do furtki podeszła urocza, filigranowa blondynka i wyjaśniła mi z uśmiechem, że ojciec jest przy odłowie, widać nawet stąd ludzi na grobli. Dodała, że można dojść groblą, ale Grzesio postanowił wypróbować malucha w terenie.

Forsujemy przeto szczyt piaszczystego pagóra, zostawiamy auto na skraju brzeźniaka i schodzimy w dół. Z dołu maluch wygląda jak muchomor w malinach. Czyste powietrze niesie echo dzwonu na mszę, a tu ludzie pracują. Będzie im jednak wybaczone, albowiem Chrystus z apostołami także łowił ryby.

Następnie koleżanka Bogda przefrunęła z gracją sportsmenki nad rowem z wodą, zatrzymując się na pionowej skarpie, lecz Grzegorz podał jej pomocną dłoń i wyciągnął na groblę. Gdybym ja to uczynił, skutek byłby zgoła odwrotny.

Podchodzę do grupy mężczyzn, mówię dzień dobry, a z dołu ktoś odwrzaskuje, że się mówi: *„Szczęść Boże”*. Widzę niewysokiego mężczyznę w wełnianej czapeczce, w drelichu i długich gumowych butach. Ma ogorzałą twarz, oczy figlarza i brodę Rumcajsa, tylko bardziej słowiańskiej barwy, i oczyszcza przepust wody na dnie metalowego mnicha. Zauważam, że warto by sfotografować rybaka, który za pomocą szpadla wyjmuje ryby ze szlamu, brodacz odkrzykuje, że nie jest fotogeniczny i robi swoje. Wtedy podchodzi do mnie starszy mężczyzna, krępy, lekko pochylony, siwowłosy, z twarzą wysmaganą słońcem i wiatrem, jakby całe życie spędził nad wodą. Ma na sobie zrudziały dres, wypłowiałą bluzę drelichową, gumofilce, a na głowie ciepłą czapkę z daszkiem.

— *To mój syn Jerzy* — mówi nie bez dumy w pogodnych szarych oczach. — *W gminie Będków ma większe gospodarstwo niż ja, 17 ha stawów, więc jak u mnie robota, to mi pomaga, a potem ja jemu. Jurek wiele umie, bądź co bądź magister inżynier ichtiolog, toteż wiele się można od niego nauczyć. Córka trochę się na tym zna, ale zięć, ten szczupły, czarny, musi się przyuczać. Sprawne operowanie kasarkiem to też sztuka...*

Kasarek to rodzaj podrywki, ale na razie nie ma go w użyciu, bo ryba jeszcze nie doszła do mnicha. Marian Młotkiewicz, prezes Zrzeszenia Producentów Ryb Ziemi Łódzkiej, odprowadza mnie na bok, częstuje klubowym. Patrzy na świecące brunatnymi brzuchami stawy, z których zeszło już dziesiątki tysięcy metrów sześciennych wody. Z tego pierwszego trzeba dziś wyjąć rybę, bo jutro rano przyjeżdża Centrala Rybna. Stawy ciągną się na przestrzeni ponad półtora kilometra, toteż już drugą noc trzeba czuwać, bo zapuszczają się cwaniacy z podrywką. Rybacy czekają na ustawę, która ich zabezpieczy przed kłusownikami, i na społecznych strażników rybackich wyposażonych w broń śrutową. Dawniej Marian Młotkiewicz strzelał na postrach i z pomocą szło mu natychmiast trzech Budrysów — rosłych synów sołtysa. Prosi, aby nie pisać o jego przygodach, ale ja napiszę, aby czytelnik wiedział, że życie rybaka nie ma nic wspólnego z piosenką „Córka rybaka”.

Otóż pewnej nocy Młotkiewicza osaczyli kłusownicy i jeden z nich otworzył nóż. Gdyby rybak w samoobronie wygarnął ze śrutu, postąpiłby humanitarnie, ale on zachował się niehumanitarnie. Nie zabił człowieka, ponieważ rypnął z grubej bydlęcej soli. Ujęty kłusownik błagał na klęczkach, aby mu choć na chwilę pozwolono zanurzyć dupę w wodzie...

— *Co tam flinta!* — zauważa ktoś. — *Najlepsze są dwa dobre psy.*

— *A-ha! Przywiozą ci nad staw sukę z cieczką i po psach* — ripostuje drugi. — *Albo nakarmią je rybą.*

— *E-ee, pies nie żre ryby...*

— *Akurat!* — śmieje się Jerzy Młotkiewicz — *Widzisz, ile po odłowie zostaje drobiazgu? Kiełb, słonecznica, czasem płotka. O, już się zlatują rybitwy, wierne towarzyszki pracy rybaka. Kochany, nasza suka nażarła się kiedyś tyle kiełbi, że jak puściła bąka, to nas wymiotło z samochodu...*

Rybitwy wyciągają z dna kiełbie, a karp nie podchodzi do mnicha. Ano, bo spychacz wyrównał dno, zasypał doły piaskiem, ale woda zrobiła swoje, piasek opadł i nastąpiło tzw. przegłębienie. No i w tej zapadlinie zgromadził się karp, który ponadto ma taką naturę, że lubi iść pod prąd, a z wodą cieknącą do mnicha nie pójdzie, jakby wiedział, że po drugiej stronie grobli czeka nań betonowe koryto z wodą bieżącą, zwane odłówką.

— *Od wojny leżały tu nieużytki* — opowiada Marian Młotkiewicz. — *Pośrodku był ciek melioracyjny, zarośnięty krzewami, olchą, osiką, do którego nie można było dojść, takie bagno. Różni tu próbowali hodowli ryb, spółdzielnia też, były nawet zaczątki stawów, ale jak po roztopach woda ciekła w głąb niecki, rozrywała groble. Ja zrobiłem rowy po obu brzegach stawów i powódź mi nie grozi. Przepowiadali, że zanim zrobię tu 13 ha stawów z groblami, czyli 9 ha czystego lustra wody, minie dwadzieścia lat. Zrobiłem to w trzy lata...*

— *O nakładach lepiej nie wspominać, żeby nie zniechęcać do rybactwa...*

— *No, to kosztuje. Ale, widzi pan, wodę mam czystą, z melioracji i z opadów. Jak na polach są opryski, zamykam dopływ wody, która płynie obok stawów. Tutaj był sam piasek, zastosowałem więc nawozy sztuczne, użyźniłem dno i tam się rodzi fitoplankton denny, który także stanowi pokarm dla karpia...*

Ma to swoją zaletę, bo gdy brakuje paszy, karp jakoś się wyżywi, chociaż przyrosty będą niskie. A prywatny rybak nie otrzymuje paszy za zakontraktowane ryby, tak jak rolnik za świnie. Rybak sam produkuje paszę, wykorzystując wszelkie odpady roślinno-zwierzęce, w tym również nasiona chwastów. Wzdłuż rowu melioracyjnego ciągną się hektary nieużytków, gdzie można by zbudować wąskie stawy, albo siać łubin dla ryb, ale nic z tego. Ktoś kupił to z PFZ, utrzymuje odłogi w stanie dziewiczym, żądając ceny jak za cielną krowę, aż w końcu rozparceluje to z jeszcze większym zyskiem na działki rekreacyjne.

Za stawem ze spuszczoną wodą marszczą się w podmuchach wiatru tafle dwóch stawów z narybkiem, który za rok stanie się rybą handlową. Wokół palika oznaczającego karmowisko pływają dostojnie trzy napuszone łabędzie.

— *Piękne ptaki! Dożywiają się u kułaka* — stwierdza z przymrużeniem oka Jerzy Młotkiewicz. — *Zwykłego chłopa łabędzie by nie wizytowały...*

— *Ty lepiej przynieś siatkę i pogoń te ryby z rowu!* — odparowuje ojciec. — *Łabędź nie taki groźny* — zwraca się do mnie — *gorsze są drapieżniki. Mewa, rybitwa, czapla, piżmaki, które świetnie się czują na tych piaskach. Kiedy mewa jest nasycona, zabija i wyjada tylko wnętrzności. Karmowisko dla ryb to wskazówka dla czapli i dla kłusownika...*

Znudzeni obcowaniem z naturą Grześ z Bogdą ożywili się wyraźnie, albowiem ujrzeli nagle fruwające ryby. Rybak polujący z kasarkiem przy mnichu złapał dwa szczupaki i przerzucił je przez groblę na siatkę przy odłówce. Były nieco większe niż mój reporterski długopis, ale wzbudziły sensację. Niegroźne dla karpia, z tegorocznego tarła, przyszły z wodą, albo przyniosły je kaczki.

Potem znowu nic się nie działo. Senna cisza, mącona chlupotem fal uderzających o groblę w sąsiednim stawie. Wokół puste pola i sypiące złotym liściem zagaje. Słońce świeci, ale mimo to chłód daje się we znaki. Gdyby było gorąco, płytka, zmętniała woda nabrałaby szybko wysokiej temperatury i zagęszczone w niej ryby zaczęłyby snąć.

Na grobli pojawia się dyrektor Zrzeszenia, mgr Jerzy Olczyk. Miał być w Warszawie, ale nie mógłby spać, gdyby nie sprawdził, jak u Młotkiewicza przebiegają te rybne żniwa. To są ciężkie żniwa, bo u rolnika kombajn skosi i wymłóci, a tutaj wszystko ręcznie. By położyć kres marazmowi i uczuciu zwątpienia, Olczyk opowiada pół żartem, pół serio, jak to poznaje się wiek ryb. Po słojach na łuskach, albo po oczach. Im oko dalej od ogona, tym ryba starsza. Płeć natomiast można rozróżnić tylko u osobników dojrzałych, u lina to nawet po ciemku, przez dotyk. A pewien dyrektor stawów państwowych to kazał praktykantom przesuwać dłońmi od łba do ogona karpia i pytał, czy coś czują. Jak praktykant nic nie czuł, to znaczy, że ryba samiec. Ponieważ te erotyczne plugastwa wywołują kłopotliwe rumieńce na twarzy Bogdy, dyr. Olczyk zmienia temat i kończy z rozrzewnieniem:

— *W starych, dobrych czasach, gdy ryby było w bród, przychodzi facet do sklepu i prosi o pięknego szczupaka. Sprzedawca waży, zawija, podaje, a facet krzyczy, żeby mu rzucił. Po co, dziwi się sprzedawca. Pochwalę się żonie, że złapałem...*

Prezes Młotkiewicz pokiwał głową, westchnął i zszedł na dno, bo ktoś musiał zrobić to pierwszy. Zostawił za sobą ślady na dziewiczym dnie, przypominające odciski stóp Piętaszka na plaży, o ile Piętaszek chodził w ludowych gumofilcach — guma polska, filc z Mongolii. Prezes stwierdził, że w przecinającym ukośnie stawrowie jest sporo karpia i trzy duże szczupaki.

— *Obawiam się, że te drapieżniki zniszczyły mi trochę narybku, bo kroczka w ogóle nie widać. Handlowego karpia też jakby mniej. Zakontraktowałem trzy tony w dwóch rzutach, na jutro rano 1500 kg. Chyba dam Centrali z umowną dziesięcioprocentową tolerancją, czyli 1350 kilo.*

Na drugim brzegu inż. Jerzy Młotkiewicz wraz z pomocnikiem zaczynają ciągnąć przez rów niewód. Wypłoszyli stamtąd karpie, ale te zamiast podejść do mnicha, zapadły w tym cholernym „przegłębieniu”. Nieudany kolejny etap operacji „Mnich”. Czasem tylko przez mnich przeleci do odłówki jakiś ogłupiały karpik. Inż. Młotkiewicz ponawia więc operację „Mnich”, a dyrektor Olczyk komentuje:

— *Ha, ha! Obserwowałem karpia pod wodą i wiem, że jak to zmyślne bydlę zobaczy niewód, kładzie się na dnie albo skacze górą.*

Tym razem w siatce pod mnichem zakotłowało się, a najbardziej rzucał się wielki tłusty lin. Gałasiński chciał to wszystko fotografować, ale inż. Jerzy przyjął pozę clowna i krzyczy:

— *Nie zdejmować człowieka w błocie! Chyba tylko te piękne buty, zwane woderami. Zobacz pan, co zrobili, kurdemol! Miały być do pasa i są do pasa, ale krocze między kolanami.*

Prezes Młotkiewicz zdecydował, że operację „Mnich” trzeba przeprowadzić przed mnichem, w tym zakichanym przegłębieniu. Było tam tak głęboko, że co rusz któryś z rybaków kładł się na brzegu, unosił nogi, jak do ćwiczeń mięśni brzucha i wylewał z siebie wodę. W zmętniałej brei zanurzały się kasarki i do plastykowych pojemników i koszy zaczęły wpadać karpie. Odłowiono także te duże szczupaki. Pojemniki z rybą ładowano na przyczepioną do traktora dwukołową platformę i odwożono do płuczki.

Zachwycona Bogda omal nie wpadła do kasarka, a foto Grześ wprost oszalał ze szczęścia. W oczach i w obiektywie migotały mu same płetwy, ogony i dyszące spazmatycznie skrzela. A kiedy kolejny transport odszedł do płuczki, oznajmił z dumą: — *Obiektyw mam pełen szlamu i rybiej łuski!* — Po czym dodał z nutą odwiecznych męskich ciągotek: — *E-ech, gdyby tak samemu wleźć do stawu, wywalić się w szlamie, ale złapać! A potem wytarzać się w trawie, upiec tę rybę w ognisku i pożerać to parujące białe mięso! Ee-ech...*

W głębi lasu bił południowy dzwon, wypłowiałe niebo przekreśliła na pół smuga odrzutowca. Napatrzywszy się do obrzydzenia na trzepoczące w szlamie ryby, Bogda potrząsała nerwowo swoją torbą na grzyby i spozierała z nostalgią na las. Ale pierwszy wymknął się tam Grzegorz. Pomna swych obowiązków koleżanka Madej podążyła za nim z obawy, aby nie zachował się w gąszczach niczym wampir z Gałkówka. I słusznie uczyniła, bo w lesie nie było grzybów, za to dużo liści i jeden rower, który Grzesio chciał wepchnąć do bagażnika, ale Bogda wyperswadowała mu po matczynemu, że toto się tam nie zmieści.

A ja przejechałem się radzieckim samochodem z epoki bitwy o Berlin, który miał z tyłu napis „Honda”, wycieraczki na luzie i automatyczne drzwi. Same otwierały się i zamykały przy każdym wstrząsie na grobli.

W płuczce z wodą bieżącą zażywały kąpieli znękane karpie. Obok leżała na spiętrzonej wodzie zielona siatka, na którą można było rzucać drobiazg lub nadmiar ryby handlowej. Ale nadmiaru nie było. Mimo to na grobli stała pompa z wężem, bo gdyby zabrakło wody w rowie, trzeba spłukiwać wodą ze stawu zaszlamione skrzela karpi, które muszą zdrowo dojechać do sklepów.

W domu panowała gorąca atmosfera. Kobiety przygotowywały posiłki regeneracyjne oraz nalewki ziołowe przeciwko reumatyzmowi i przeziębieniom. Małżonka Jerzego Młotkiewicza, urodziwa brunetka o cerze typu krew z mlekiem zwierzyła mi się, iż szczęśliwie żyje z mężem pośród przyrody, lecz po cichu marzy, aby pod ich stawami w gminie Będków odkryto złoża ropy lub węgla.

Zapytałem, czy te stosy ściemniałych bierwion przed domem to zapasy na opał. Inż. Jerzy, który zmieniał kalesony, bo w stawie zwilżał do szczętu, krzyknął z drugiej izby schrypniętym basem:

— *Na opał, na opał! Rybak nie dostaje za ryby węgla!*

— Ktoś pomyślał, że ryba jest zimnokrwista...

— *Aha! I żeby nie stwarzać precedensów, nie mamy też kartek na mięso.*

Gdy rybacy wybierali ze szlamu ostatnie zabłąkane karpie, usłyszałem, że w torbie czeka mnie niespodzianka, w związku z czym pogrążyłem się w głębokiej ambiwalencji. Z jednej strony zgrzytał głos etyka zawodowego, z drugiej szeptało sumienie pisarza, z trzeciej strony grzmiał dyrektor Olczyk, że to dla niego dyshonor, z czwartej zaś groził Marian Młotkiewicz, że jeśli wzgardzę owocem jego pracy, to on mi skreśli każde zdanie, albo nawet skonfiskuje numer „Odgłosów”. Nie było remisu ani kompromisu. Jeśli więc w tym reportażu padnie jakieś dobre słowo pod adresem Młotkiewiczów, to tylko ze względu na kumoterstwo i łapówkę.

Jako człowiek w pełni skorumpowany wsiadłem ze skruchą do pociągu i nawet nie zauważyłem, że ludzie patrzą na mnie tak, jak się patrzy na terrorystę. Zrozumiałem, gdy moja czarna torba drgnęła gwałtownie, po czym zaczęło w niej potężnie tykać...

Na szczęście w pociągu nie zjawiła się brygada SB, aby rozbroić bombę. Wpadłem do łazienki i sam ją rozbroiłem. Woda w Pabianicach jest silnie uzdatniona, lecz mimo to dorodny karp popłynął wpierw bokiem, potem zaś stanął sztorcem. Wsparta łapami o rant wanny moja suka przyglądała mu się z nadzieją, że to miłe zwierzątko będzie jej towarzyszyć do Wigilii. Bo ja mordowałem kiedyś nawet wierzgające króliki, ale ostatnio zmienił mi się charakter. Ale zaraz zjawił się mój syn, wielki miłośnik wędkowania i ryb, i okazało się, że ryby w Jasionce są dobrze karmione, zdrowe, hodowane w czystej wodzie i smaczne.

Daj nam przeto, panie Boże i panie Wojewodo, jak najwięcej Młotkiewiczów, aby każda łódzka rodzina mogła spożywać karpia, nie tylko raz do roku. A na razie smacznego przy wigilijnym stole!

Foto: Grzegorz Gałasiński

W Wigilię wracał do domu i nie spodziewał się...

Z każdej sytuacji jest wyjście

EUGENIUSZ IWANICKI

Były księgowy Teodor Sieczelas wziął zawiniątko pod pachę i poszedł po skrzypiącym śniegu w kierunku bramy. Strażnik pobrzękując kluczami wlókł się obok zły na Sieczelasa, na siebie i na cały świat. Rano dowiedział się o prezencie, jakim obdarzyła go ukochana córeczka Basia: uciekła z domu z jakimś facetem ze straży przemysłowej. Właśnie dzisiaj, w dzień wigilijny.

Brama jest ogromna, solidna i ciężka. Strażnik otworzył w niej małą furtkę, pchnął na oścież, kiwnął głową w stronę Sieczelasa.

Po drugiej stronie była wąska uliczka cała w śniegu, wątłe drzewka z gołymi konarami, a w głębi, po lewej stronie ciągnął się mur budynku sióstr urszulanek.

— Życzę panu wesołych świąt — mówi Teodor Sieczelas do strażnika.

Strażnik usiłuje przywołać na twarz coś jakby uśmiech, ale wychodzi z tego ponury grymas.

— Ja wam też życzę tego samego — mówi stłumionym głosem i z hałasem zatrzaskuje metalową furtkę.

Teodor Sieczelas przez chwilę stoi nieruchomo mrużąc oczy, po czym szybkim krokiem oddala się od milczącego muru, za którym spędził całe dwa lata. Czy słusznie? Z punktu widzenia prawa — tak, z tego, co sam o tym sądzi — nie. Był uczciwym, sumiennym księgowym, w życiu nie sfałszował nawet jednej cyfry, ani razu nie uległ pokusie przywłaszczenia państwowych pieniędzy, odmawiał brania łapówek, ale gdy okazało się, że podległy mu personel dokonywał machlojek i kombinacji finansowych — jego pierwszego osadzono w areszcie. Potem śledztwo, sąd — i dwa lata odsiadki za brak należytego nadzoru.

Tak się miały sprawy i Teodor Sieczelas aresztancką suką odjechał z rozprawy prosto do więzienia. Tyle że pozwolono mu pożegnać się z młodą żoną poślubioną zaledwie pół roku przed ową wpadką.

Teraz spieszył do domu. Już widział radość w oczach Teresy, kiedy otworzy drzwi na odgłos jego pukania. Przecież przez te lata odwiedzała go często, pisała gorące listy, w których słowo miłość powtarzało się po wielekroć. Nawet się dziwił: ona taka młoda i taka wierna. Był od Teresy starszy o całe piętnaście lat i przed ślubem zastanawiał się nawet, czy wypada żenić się z tak młodą dziewczyną. Okazało się, że podjął słuszną decyzję: Teresa była nie tylko w nim zakochana, ale przez te dwa tragiczne lata pozostała mu wierną i oddaną żoną. Na samo wspomnienie tego, co ma nastąpić za kilkanaście minut, rozczuliło go do tego stopnia, iż łzy poczęły spływać po wychudzonych i źle ogolonych policzkach.

Nagle przypomniał: Wigilia! Ależ tak, trzeba koniecznie kupić jakiś prezent pod choinkę! Ma pieniądze, zarobił w więzieniu szyjąc waciaki.

Okazało się, że sklepy już zamknięto, z witryn spoglądały na niego aniołki i święci Mikołaje dźwigający wypchane worki z prezentami. Śnieg leżał na chodnikach, na parapetach i płonął milionami iskier.

Miasto pustoszało. Ostatni przechodnie obładowani paczkami pędzili w sobie znane miejsca nie zwracając uwagi na stojącego na przystanku autobusowym mężczyznę z zawiniątkiem pod pachą.

Autobus nadjechał gdzieś z nocy i tak nagle, że Teodor Sieczelas aż się wzdrygnął na szum kół miażdżących rozkruszony i zmarznięty śnieg. Kierowca — nadęty i wrogi — coś tam odburknął gdy Sieczelas zapytał go, czy dojedzie do ulicy Tylnej. Było widać, że jest wściekły, bo musi jeździć, gdy inni siedzą przy świątecznych stołach.

Wysiadł na krańcówce. Do Tylnej musiał przejść przez jakieś rowy czy wykopy, których dwa lata temu tu nie było. Zniknął także placyk, a powstał mały skwerek, na którym stała teraz choinka z palącymi się kolorowo lampkami. No, no, pomyślał, ale się tu zmieniło! I to w ciągu dwóch lat!

Serce biło mu mocniej, gdy znalazł się przed domem oznaczonym numerem 108. W jego mieszkaniu płonęły wszystkie światła, znak, że Teresa jest w domu i zapewne siedzi wraz z matką lub kuzynką przy nakrytym stole.

Nie chciał jechać windą. Serce musi mieć czas na uspokojenie się.

Chwilę stał przed drzwiami nasłuchując, ale słyszał jedynie melodie kolęd, docierające tu ze wszystkich mieszkań i ze wszystkich pięter. A to się Teresa ucieszy! — powtarzał z hamowaną niecierpliwością. — Akurat na wigilię!

Ręka, która nagle stała się ciężka i oporna przycisnęła sygnał dzwonka. Potem jeszcze raz i jeszcze, w końcu nie odrywał już palca od czarnego krążka.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Sieczelasa poraziło ostre światło wypełniające przedpokój. Na chwilę zacisnął powieki, a kiedy je otworzył, zobaczył przed sobą brodatego mężczyznę wpatrującego się w niego z uwagą i surowo.

— O co chodzi? — zapytał basem.

Sieczelas nie mógł wydobyć z siebie głosu Kiedy tu szedł w myślach przygotował całe przemówienie, jakie wygłosi, gdy Teresa otworzy mu drzwi. Teraz stał zaskoczony, oniemiały i bezradny.

— Słucham pana — powtórzył brodacz.

— Ja... — zaczął Sieczelas. — Ja tu mieszkam...

Z głębi mieszkania wraz z zapachami ciasta i kawy sączyła się przytłumiona muzyka.

— Misiu, kto przyszedł? — usłyszał Sieczelas głos żony.

— Jakiś facet.

— Czego chce?

— Cholera go wie, pieprzy, że tu mieszka. — I zwracając się do Sieczelasa. — Przyjacielu, pewnie pomyliłeś adres, co? Ale już idź, nie przeszkadzaj ludziom w wieczerzy wigilijnej.

— Ale ja tu mieszkam — upierał się Sieczelas i usiłował przekroczyć próg.

— Toś ty taki! — krzyknął brodacz i wyrżnął Sieczelasa w szczękę. Cios nie był specjalnie silny, ale dwa lata za murami zrobiło swoje: Sieczelas poleciał jak wypchany worek na podłogę wypuszczając z rąk zawiniątko. Rumor walącego się ciała wywabił z głębi mieszkania kobietę.

— Misiu! — krzyknęła i przyspieszyła kroku. — Misiu, w Wigilię nikomu nie odmawia się pomocy. — Pochyliła się nad leżącym i nagle osunęła się na posadzkę korytarza. — Przecież to Tejo! Rozumiesz: Tejo wrócił!

Kiedy Sieczelas oprzytomniał, był już w mieszkaniu, siedział, a właściwie półleżał na fotelu, który — pamięta — kupili zaraz po sprowadzeniu się Teresy do niego. Było mu ciepło, obok telewizora stała choinka, pod oknem stół zastawiony salaterkami, talerzykami, kompotierkami, filiżankami, obok Teresa i milczący brodacz. Właściwie wszystko było takie jak dwa lata temu, a przecież jakby inne, obce, nie jego.

— Przyszedł do siebie — Brodacz skinął w jego stronę głową. — Rozgląda się.

Teresa wstała ociężale — nic się nie zmieniła, pomyślał, piękna jak dawniej — wytarła usta wierzchem dłoni, podeszła.

— Wróciłeś — powiedziała obojętnym głosem. — No i widzisz, jak teraz jest.

Sieczelas jeszcze niczego nie rozumiał. Wpatrywał się w twarz żony i próbował się uśmiechać.

— Wszystko będzie dobrze, Teniu, będzie dobrze... — wymamrotał i ciepło ogarnęło jego wychudzone ciało.

— Tejo, czy ty jeszcze niczego nie zrozumiałeś?

Od stołu wstał brodacz. Stanął nad nim ogromny, zwalisty, silny.

— Ja mu wytłumaczę — powiedział basem odsuwając Teresę. — Widzisz, tak się złożyło, że ja i ona, no, tego... Dla ciebie tu nie ma miejsca, jasne?

Sieczelas wodził wzrokiem z twarzy żony na twarz brodacza i jakoś nie mógł pojąć czemu oboje stoją nad nim, po co wypowiadają słowa bez sensu i dlaczego nikt nie usiłuje zaprosić go do zastawionego, świątecznego stołu. A w ogóle, kim jest ten brodacz? Bratem? Teresa była jedynaczką. Kolegą z pracy? Sąsiadem? Dalekim krewnym?

Sieczelas dźwignął się z trudem, stanął szeroko na nogach, przycisnął powieki palcami.

— Chcesz mi powiedzieć Teniu, że ty i ten pan...

— Zrozum, Tejo — zaczęła. — Dwa lata to dużo, a w życiu kobiety, to nawet bardzo dużo...

— Kocham Teresę — huknął brodacz. — I nie ustąpię.

— Teniu, pytałem cię o coś — powtórzył Sieczelas.

— Tak, Tejo, tak to jakoś wyszło.

— Nie jakoś a zwyczajnie — wtrącił się brodacz. — Co ona z ciebie ma? Stary jesteś, bez pracy, a do tego kryminalista. Co możesz jej jeszcze dać? Przejrzyj się w lustrze i powiedz, czy taka kobieta jak Teresa może żyć z takim łachem jak ty?

— Po co mnie obrażasz — powiedział cicho Sieczelas i usiadł przy stole. — Nikomu nie zrobiłem nic złego.

— Trzeba to jakoś rozplątać — powiedziała Teresa. — Wpierw jednak dokończmy kolację.

W telewizji chór śpiewał kolędy. Lampki na choince przygasały i w rytmicznych odstępach czasu zapalały się jasnymi kolorami. Teresa przyniosła talerz, nóż, widelec i kieliszek, położyła kolorową serwetkę.

Brodacz nalał.

— Za co pijemy? — zapytał Sieczelas. Był już zupełnie opanowany, wszystko dostrzegał jasno i wyraźnie.

— Ja wiem, może za to, że już swoje odsiedziałeś — powiedziała Teresa.

— Ja tam piję za siebie — zabasował brodacz. — To, że on wyszedł z mamra, nie stanowi dla mnie szczęśliwego wydarzenia.

— Misiu, jak tak możesz...

— Właśnie, że mogę — i brodacz szybkim ruchem opróżnił swój kieliszek.

Sieczelas uniósł swój, wykonał nim ruch w kierunku żony i także wypił.

— Co teraz? — zapytała Teresa. — Co teraz będzie?

— A niby co ma być? — brodacz nakładał sobie na talerz makieiki.

— Jak mamy żyć? — Teresa patrzyła na obu mężczyzn, ale w jej oczach nie było ani strachu, ani beznadziejności. Wyglądała raczej na kogoś, kto stanął przed możliwością wyboru i nie wie na co się zdecydować.

— Normalnie — odpowiedział brodacz mlaskając.

— Mieszkanie jest moje — odezwał się Sieczelas. — I żona jest moja.

— Tylko bez takich... — upomniał go brodacz. — Ja także mam tu coś do powiedzenia.

— Przestańcie! — Teresa miała brwi ściągnięte, co oznaczało, że intensywnie myśli. — Co się stało, to się nie odstanie. Głupio wszystko wyszło i tyle.

— Mogłaś się wcześniej zastanawiać — knął brodacz.

— A bo to dałeś mi czas? — powiedziała kobieta z wyrzutem. — Nim zorientowałam się co i jak, już było po wszystkim.

— Nie pleć głupstw — nie ustępował brodacz. — Przecież spodobałem ci się od razu, jak tylko mnie zobaczyłaś.

— Nie mówię nie, tylko byłeś taki niecierpliwy, że strach.

— Bo i po co było odwlekać, no nie? — zwrócił się do Sieczelasa, ale spostrzegłszy niestosowność swoich słów zamilkł i ponownie nalał do kieliszków.

— Jedz coś — zwróciła się Teresa do Sieczelasa. — Tam pewnie nie podawano wam smakołyków.

— Nie podawano — zgodził się.

— Na zdrowie! — huknął brodacz. — I tak dziś niczego mądrego nie wymyślimy, a wódka może utracić moc.

Wieczerza wigilijna ciągnęła się niczym postne i długie dni w więziennej celi. Teodor Sieczelas czuł zamęt w głowie — przecież przez dwa lata nie brał do ust alkoholu — doznawał upokorzenia, to znów buntował się przeciwko krzywdzie, jaka go spotkała we własnym domu. Chwilami chciał dotknąć ręki żony, przemówić do niej jak to robił dawniej, przytulić głowę do jej ramienia, lecz siedzący naprzeciwko brodacz paraliżował jego wolę samą swoją obecnością.

— Myślisz, że było mi lekko? — doszedł go głos Teresy. — Ile razy słyszałam za sobą: patrzcie, to żona tego złodzieja! patrzcie ludzie, chodzi jakby nigdy nic, nie ma wstydu i tyle! Więc co miałam robić? Powiesić się? Rzucić się pod tramwaj? Żyłam, znosiłam upokorzenia, chwytałam się różnych prac...

— Skończ z tym — zawarczał brodacz. — To go nie wzrusza.

— Niby dlaczego? — zainteresował się Sieczelas. — Przecież to moja żona.

— Nie bądź śmieszny, żoną dla ciebie jest ona tylko na papierze, bo w łóżku to ja jestem jej mężem.

— Jak pan śmie w ten sposób?!

— Śmiem, śmiem, bo tyle co się wytańczyłem na jej brzuchu, to ty do końca dni swoich nie dokonasz tego na żadnej kobiecie. Muszę ci powiedzieć jeszcze jedną prawdę: niczego Teresy nie nauczyłeś, ot co. Dopiero ze mną zrozumiała, czym jest mężczyzna. Ech, gdybyś teraz z nią spróbował...

— Zamknij się! — krzyknęła Teresa. — Nie chcę tego słuchać.

— Może nie mam racji? — upierał się brodacz i było widać, że jest podpity, że wódka może w każdej chwili wywołać w nim agresję

— Nie życzę sobie byś o tym mówił — nie ustępowała kobieta. — Tejo był moim mężem i złego słowa nie dam na niego powiedzieć.

— Nie ubliżam mu, stwierdzam fakt.

Długo jeszcze trwała rozmowa przerywana piciem, jedzeniem, wychodzeniem dla ochłody na balkon, paleniem papierosów. Teodor Sieczelas czuł w sobie pustkę, bezgraniczny chłód i skowyczącą samotność. Były momenty, że chciał się zerwać, wywrócić stół, rzucić się na zadufanego w sobie brodacza, to kulił się jak skopany pies, popadał w bezradność, nawet płakał. Co robić dalej, jak żyć dalej? — pytał siebie i nie znajdując odpowiedzi błagalnym wzrokiem wodził za krzątającą się żoną. A Teresa jakby go nie dostrzegała: zbierała talerze, ustawiała filiżanki, parzyła kawę. Tylko raz podeszła zupełnie blisko, tak blisko, że poczuł zapach jej perfum, ale jedynie po to, by zapytać, czy nie jest zmęczony.

— Pościelę ci w kuchni — powiedziała. — Sam chyba rozumiesz...

Nie rozumiał. Właściwie pojął całą tragiczną prawdę swojej przegranej, ale nadal nie rozumiał, jak to jest, że on, właściciel tego mieszkania i ślubny mąż tej ładnej i młodej kobiety, jest tu obcy, niepotrzebny, niemal intruz.

Posłusznie powlókł się do kuchni, opuścił się na dmuchany materac i nie wiedzieć kiedy — nawet nie rozbierając się — zapadł w niepamięć wypełnioną czernią i pustką.

Obudził się, bo zdawało mu się, że oddziałowy przekręcił klucz w drzwiach, a pedał kalifaktor hałasuje na korytarzu aluminiowymi miskami. Było ciemno i nie bardzo wiedział, co się z nim stało i gdzie jest. Leżał chwilę bez ruchu usiłując zlokalizować i pojąć źródło odgłosów dochodzące do jego uszu. Napływały jakby z lewa, spoza nie domkniętych drzwi oddzielających kuchnię od stołowego. Bardziej z ciekawości niźli z potrzeby dźwignął się na nogi i zajrzał przez szparę do pokoju. Na choince nadal płonęły lampki gasnąc i rozjaśniając się intensywnym, ostrym blaskiem ekran telewizora migotał fosforyzująco. Nawet nie wyłączono — pomyślał. — Zapomnieli, czy co?

Pchnął drzwi szerzej i wszedł. Na wersalce matowo bieliły się dwa ciała. Były trupio blade. Z prawej strony na stole piętrzyły się talerze, filiżanki, butelki po wódce, kawałki ciasta, grzybki, owoce, rybie ości. Dwa krzesła leżały przewrócone obok otwartych drzwi balkonowych. Teodor Sieczelas dopiero teraz poczuł jak jest zimno w mieszkaniu i zobaczył, że lodowaty wiatr zarzucił firankę na drewniany kwietnik, który kupił zanim jeszcze sprowadziła się do niego Teresa.

Zamknął drzwi i podszedł do wersalki. Teresa leżała nago na brzuchu, brodacz spał odwrócony do niej bokiem. Był także goły. Jego włochata ręka obejmowała plecy kobiety Teodor Sieczelas po raz któryś miał możność przekonać się, że jego żona ma wspaniałe ciało, że przez te dwa lata nic nie straciła na urodzie, że właśnie taką zawsze widział w swoich więziennych snach i marzeniach. Tylko że teraz wszystko się przemieszało, pogmatwało i na dobrą sprawę nie ma żadnego sposobu, by ten splot czy węzeł rozsupłać. Czyż jest na świecie siła, która sprawi, by w sercu kobiety ponownie zapłonęła miłość do niego, człowieka przegranego i nikomu niepotrzebnego? Czy jest sposób, by stłumić, zagłuszyć ból, który niczym dynamit rozsadza jego piersi? I zaraz sam sobie odpowiada: owszem, jest. Nazywa się to śmiercią. Chwila, moment decyzji i wszystko przestanie mieć jakikolwiek ziemski sens.

Podszedł do okna. Miasto spało otulone czarnym kocem nocy. Jedynie kolorowe lampki — takie jak w mieszkaniu — płonęły na ustawionej na skwerze choince przypominając o trwającym święcie.

Obejrzał się: dwa ciała nie zmieniły pozycji. W ciszy wypełniającej mieszkanie szemrał ukryty gdzieś budzik i miarowo kapała woda z kuchennego kranu. Śmierć — myślał Teodor Sieczelas. — Jedynie ona może rozwikłać nasze losy. Ci dwoje już nie żyją, ich los jest przesądzony, bo jestem zarazem sędzią, oskarżycielem i katem. Ale dlaczego ja? Czyżby były bez znaczenia tamte wszystkie miesiące, tygodnie, dni, godziny i minuty, w czasie których żyłem nadzieją, że wszystko co najpiękniejsze jest jeszcze przede mną? A owa pazerna chęć przetrwania? Nadzieja na cudowny świat wolności? Życie złączyło nas w sposób złośliwy i okrutny zarazem, złączyło tak mocno, że staliśmy się jednością, choć jest nas troje. I skoro mamy jedno wspólne życie, wspólne jest także nasze przeznaczenie.

Sprawdził szczelność okien, na parapety położył wilgotne ręczniki, zatkał wywietrznik w łazience, wzdłuż drzwi wejściowych położył koc. Obejrzał się raz jeszcze: dwa gołe ciała spoczywały bez ruchu.

Spokojnie, jakby wykonywał zwykłą czynność, odkręcił kurki gazowe i przekonawszy się, że działają wyrzucając gwałtownie strumienie gazu — powoli opuścił się na dmuchany materac.

Rys. Zenona Pionk

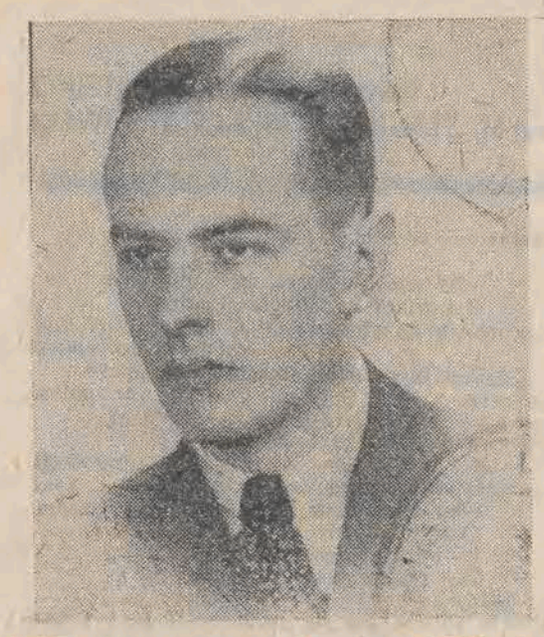

Powrót Gombrowicza

Krajowe wydanie „Dzieł" Witolda Gombrowicza ukazało się w księgarniach w czasie, gdy w Sztokholmie zapadała doroczna decyzja o przyznaniu literackiej Nagrody Nobla. Przypadkowa to zbieżność i z perspektywy roku 1986 nic już nie znacząca. Jeśli zwracam na nią uwagę to tylko dlatego, aby przypomnieć, iż w swoim czasie, pod koniec lat sześćdziesiątych, tuż przed śmiercią autora „Ferdydurke" (laureata Prix Formentor z roku 1967 — znaczącej, międzynarodowej nagrody literackiej wydawców) jego nazwisko coraz częściej zaczynało się pojawiać na liście kandydatów do tej najwyższej premii w dziedzinie literatury. Może i by ją otrzymał w końcu, gdyby nie śmierć w lipcu 1969 roku.

Nagroda Nobla byłaby swoistym ukoronowaniem rosnącego wciąż i zasłużonego uznania dla tej twórczości, która z niemałym trudem przebijała się przez lata całe do wydawców, tłumaczy, krytyków i czytelników. Milczenie wokół książek Gombrowicza miało swoje oczywiste przyczyny. W kraju głównie polityczne — takie były wówczas praktyki wobec pisarzy emigracyjnych, zwłaszcza tych, którzy okazywali wrogość dla przemian ustrojowych Polski po roku 1945 (Gombrowicz zawsze należał do grona „polemistów" umiarkowanych i nie wdawał się w polityczne komeraże środowisk emigracyjnych). Nie hołubiła zbytnio Gombrowicza także obczyźniana Polonia, bo nigdy też autor „Pornografii" nie pozwolił na wpisanie siebie do jakichkolwiek bogoojczyźnianych rejestrów. Owszem pojawiały się w emigracyjnych czasopismach recenzje i przypomnienia, była i nagroda londyńskich „Wiadomości", wreszcie i edycja w paryskim Instytucie Kultury. Jednak — co można stwierdzić dzisiaj — większość z tych faktów miała w rezultacie drugorzędne znaczenie w budowaniu międzynarodowego prestiżu pisarza. Notabene sam Gombrowicz nie bez gorzkiej ironii i sarkastycznego zniecierpliwienia traktował te wszystkie kontredanse polonijnej opinii literackiej (patrz „Dziennik"). Zresztą i krajowe środowiska opiniotwórcze w swoim czasie — z nielicznymi wyjątkami (o nich będzie jeszcze mowa) — też ów kontredans tańczyły, tyle tylko, że w innym rytmie.

O milczeniu zagranicy decydowały bariery językowe, a więc i to, że Gombrowicz do roku 1958, tj. do czasu, kiedy ukazał się francuski przekład „Ferdydurke" w wydawnictwie Juillarda, na rynku europejskim praktycznie nie istniał. Za tym przekładem Konstantego Jeleńskiego przyszły wydania niemieckie (1960), włoskie i angielskie (1961), holenderskie, serbo-chorwackie, duńskie, szwedzkie i norweskie. Nie bez znaczenia było także i to, że Gombrowicz dopiero w roku 1963 opuścił ostatecznie Argentynę, przeniósł się do Europy i po stypendialnym pobycie w Berlinie Zachodnim zamieszkał we Francji. Można więc rzec, że dopiero ostatnie sześciolecie w przeszło sześćdziesięcioletniej biografii i czterdziestoletniej karierze pisarza wyprowadziło autora „Ślubu" z cienia i postawiło w rzędzie uznanych wybitności współczesnej literatury i dramatu.

W porównaniu z innymi pisarzami z tego rzędu dorobek literacki Gombrowicza jest i nie jest zbyt bogaty. Ponoć gdy Andrzej Kurz, dyrektor Wydawnictwa Literackiego rozmawiał o dziewięciotomowej edycji „Dzieł" w kraju z Ritą Gombrowiczową, żoną pisarza — ta miała się zdziwić: „To Witek tyle napisał?". To oczywiście anegdota, której daleko do prawdopodobieństwa. Natomiast znajomy, który był właśnie zakupił te dziewięć tomów za dziesięć tysięcy złotych wyraźnie się rozczarował: „Myślałem, że to będzie stos tomów, a to zaledwie stosik chudych książeczek".

Mówiąc już serio, rzeczywiście dzieło Gombrowicza pod względem ilościowym nie przedstawia się imponująco. Nie licząc wywiadów, rozmów, rozmaitych wypowiedzi, felietonów, recenzji, a także nie dokończonej powieści „Opętani" (drukował ją w odcinkach w 1939 roku warszawski „Kurier Czerwony"), a więc tego wszystkiego co zawiera paryski tom „Varia", na dzieło to składają się cztery powieści („Ferdydurke" — 1937, „Trans-Atlantyk" — 1953, „Pornografia" — 1960, „Kosmos" — 1965), trzy dramaty („Iwona, księżniczka Burgunda" — 1938, „Ślub" — 1953, „Operetka" — 1966), tom dziesięciu opowiadań, zatytułowany „Bakakaj" oraz trzy tomy „Dziennika" z lat 1953—1966.

Rzecz jednak nie w ilości i nie taką miarą Gombrowicza się ocenia. O jego wartości dzisiaj decyduje artystyczna konsekwencja, z jaką swoją literaturę kreował nie oglądając się na targowiska mód literackich dwudziestowiecznej Europy, nie bacząc także na brak większego zainteresowania krytyki w latach chudych, ani na interpretacyjne oceny i przeinaczenia w latach rosnącego uznania. Ustawiony zawsze przeciw konwencji i normie, jakie by one nie były — towarzyskie, obyczajowe czy artystyczne — zawsze też pozostał samotnym indywidualistą z wyboru, a i przekory, jakby w obawie przed egzystencjalnymi pułapkami na wolność, swoistość, oryginalność i prawo do myślenia o wszystkim po swojemu. Stąd też brały się wszelkie jego potyczki i polemiki z krytykami, zarówno z tymi, którzy pisali o nim negatywnie (to w końcu zrozumiałe), jak i z tymi, którym jako pisarz dbały o sukces wiele zawdzięczał. Bronił się przed krytycznoliterackimi szufladkami i etykietkami, przed jakimikolwiek próbami klasyfikacji. I nie wiem, czy nie lubił krytyków, bo nie miał do nich szczęścia, czy też dlatego, że jakiekolwiek obce słowo o sobie uważał za zamach na własną tożsamość jako człowieka i jako pisarza.

Nawet Artur Sandauer, który obok Konstantego Jeleńskiego należał do najgorliwszych menażerów dzieła Gombrowicza (używam czasu przeszłego, bo teraz żaden menażer nie jest potrzebny) został potraktowany w „Dzienniku" z sarkastycznym dystansem: „Pięć lat temu pisałem w Dzienniku co następuje: Zresztą coraz wyraźniej widział Gombrowicz, że jego porozumienie z Sandauerem jest dalekie od doskonałości, obejmuje tylko część jego utworów i jego osoby. Nie należało oczekiwać od Sandauera niesamowitej chłonności i chwytającej w lot wrażliwości Jeleńskiego. Sandauer był z gatunku chrząszczów, samotnych, maszerujących własną drogą, mastadont, skorupiak, mnich, hipopotam, dziwak, inkwizytor, męczennik, aparat, krokodyl, socjolog... Cóż, pytam, ten kaktus może wiedzieć o Erosie, zboczonym lub nie?" (III, s. 210—211) W tych zdaniach, abstrahując już od osoby Sandauera, „Klerka zadzierżystego", zawiera się jeszcze jedno, a mianowicie pretensja do krytyków, iż nie potrafili dotrzeć do istoty rzeczy, że ich interpretacje szły obok lub ponad tym, co autor „Kosmosu" napisał.

Z lektury „Dziennika" widać, że żadna interpretacja krytycznoliteracka Gombrowicza nie zadowalała, a także i to, że niemal wszystko co o pisarzu opublikowano jest na ogół, mniej lub bardziej rozumiejącym, rozwinięciem autointerpretacji samego Gombrowicza. Bo też on wydaje się być najlepszym swoim krytykiem. Z drugiej jednak strony, gdy czyta się owe autoanalizy (kompensowały one brak rzeczowych omówień tej twórczości w prasie krajowej i emigracyjnej) ma się poczucie wyraźnie kreowanego mentorstwa. I czasem nie wiadomo, gdzie kończy się powaga a zaczyna „gęba", którą nie bez złośliwej uciechy chce Gombrowicz przyprawić swoim krytykom. A że ją przyprawił nie trzeba nikogo przekonywać.

Pisze Gombrowicz o Falkiewiczu (autorze studium o „Ślubie"): „Zastanawia się on nad sensem egzystencjalnym i antyegzystencjalnym mojego śmiechu, szuka ostatecznej sprzeczności między problematyką a formą (...) a nie dostrzega czasem najgrubszych powiązań w rozwoju zdarzeń tej sztuki. Z czego morał dla krytyki awangardowej: uwaga! (...) Ujmijcie najpierw dzieło w jego kształcie najłatwiejszym, a dopiero potem idźcie za kulisy. Metafizyka tak, ale trzeba zacząć od fizyki. (...) I przyjmijcie za zasadę, że jeśli coś znajduje swoje uzasadnienie w fizyce utworu, może często obejść się bez metafizyki. Na własnej skórze nieraz doświadczyłem, że poruszano niebo i ziemię, aby wytłumaczyć przecinek, który po prostu wynikał z konstrukcji zdania" („Dziennik", II, s. 175).

Pisanie o Gombrowiczu w Polsce, jeszcze parę lat temu, nobilitowało piszącego. Jakby charyzma autora, który niby był, ale i też nie był obecny w krajowym życiu literackim, udzielała się krytykowi. Tworzono więc kapliczki dla wtajemniczonych i „odważnych", takie enklawy w których obowiązywał specjalny język i rytuał. Obecne wydanie „Dzieł" w niemałym nakładzie, a więc udostępnienie obiektu przyklęknień profanom, może zmienić stosunek do Gombrowicza, może sprawić, że i krytyka zacznie pełnić role do jakich jest przeznaczona. „Istota tedy zagadnienia — czytamy w „Dzienniku" — sprowadza się do zerwania z abstrakcją i nawiązania z owym zgubionym konkretem — gdy krytyk poczuje się człowiekiem, piszącym o człowieku i dla ludzi, gdy odnajdzie zagubioną Towarzyskość, uzyska solidną podstawę dla niejednej naglącej rewizji" (II, s. 176).

Jednak edycja „Dzieł" rozczarowuje. Wydawca ograniczył się do powielenia tekstów. Opatrzył je zdawkowym wstępem „Od wydawnictwa" i równie zdawkowymi „Notami wydawcy". A czytelnik, przecież nie specjalista, za którym stoi solidny regał z opracowaniami i szafka z bibliografią, mógłby spodziewać się odpowiedniego szkicu bibliograficznego (gdzie ma bowiem go znaleźć?), większego wprowadzenia interpretacyjnego w tę twórczość, już przecież zamkniętą i do interpretacji gotową, a także bibliografii wybranych i najważniejszych opracowań, w Polsce dostępnych. Jaką rolę w edycji spełnił Jan Błoński jako „redaktor naukowy tekstu", jeśli w ostatnim tomie, tuż nad metryczką wydania, petitem napisano: „Teksty Dzieł Witolda Gombrowicza i noty edytorskie opracowały... (tu siedem nazwisk i dalej:) uwagi interpretacyjne w Notach wydawcy napisał Jerzy Jarzębski"? Jeżeli nie motywacje merytoryczne to choćby cena (i to jeszcze jaka!) winna zobowiązywać wydawcę, aby potraktował prawie masowego czytelnika tak, jak na to zasługiwał. Dla niejednego ze szczęśliwych subskrybentów „Dzieł" będzie to pierwszy kontakt z Gombrowiczem.

Krajowe wydanie „Dzieł" jest ważnym faktem bez względu na to, jak ich kształt edytorski będziemy oceniać. Ważnym także z jeszcze jednego powodu. Oto już pierwsze wieści o takim zamiarze wywołały nerwowe pokrzykiwania wielu emigracyjnych publicystów, co w końcu zrozumiałe: coraz bardziej kurczy się obszar londyńsko-paryskich zawłaszczeń, politycznej demagogii i mitologii. Gombrowicz wrócił.

GRZEGORZ GAZDA

Dziesięć książek 1986 r.

Nienormalne pięciolecie rynku księgarskiego mamy poza sobą. Skończył się run na księgarnie, nie ma tasiemcowych kolejek, zablokowały się antykwariaty, a i wydawnictwa zaczynają uważniej przyglądać się swoim tytułom i nakładom. W latach 1980—1985 książka sprzedawała się sama. Niemal wszystko, co proponowali wydawcy znikało z księgarń w mgnieniu oka. Teraz prawie z dnia na dzień rynek siada, boom się kończy, a klient zanim kupi książkę obejrzy ją ze wszystkich stron a nawet ma czas, żeby zajrzeć do środka i parę kartek przeczytać. Po czym ją odłoży.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele. Najważniejsze — jak myślę — są dwie: ceny (książka staje się nabytkiem luksusowym), które choć umotywowane rosnącymi kosztami papieru, druku i dystrybucji zdają się być radosną twórczością wydawców, bo każdy ma swoje i nieporównywalne z innymi kryteria — oraz niewłaściwa polityka tytułowo-nakładowa. Wydawca na ogół zdaje się na intuicję i tzw. nosa. Książkę, która co najwyżej może liczyć na popyt pięciotysięczny, wydaje się w dwudziestu tysiącach — i na odwrót. A poza tym wszystkim można mieć zastrzeżenia co do atrakcyjności propozycji wydawniczych. Właśnie z tego powodu wcale niełatwo było mi wybrać dziesięć tytułów, które mogłyby ubiegać się o miano książek roku. W rezultacie długiego namysłu tę dziesiątkę przedstawiam. Niechaj czytelnicy w podchoinkowe wieczory rozstrzygną zasadność tej propozycji.

Na pierwszym miejscu stawiam dziewięć tomów w czarno-białej obwolucie z nadrukiem

WITOLD GOMBROWICZ, DZIEŁA —
Wydawnictwo Literackie

Wielu szczęśliwych nabywców uznało te tomy za zakup czterdziestolecia, myśląc zapewne także o cenie — 10 tysięcy złotych! Dyrektor WL Andrzej Kurz już od paru lat nerwicował klientów „Domu Książki" wieściami o tej edycji. Najpierw miała być rozprowadzana jakby w sprzedaży zamkniętej na pisemne zamówienia bibliotek, instytucji kulturalnych, redakcji itp. Można sobie wyobrazić te tony papieru, które do Krakowa przychodziły. Oddano je zapewne na makulaturę (będzie na czym drukować drugie wydanie!), bo ostatecznie cały nakład przekazany został do księgarń i kto miał trochę szczęścia „Dzieła" nabył. Tak czy inaczej (piszę o tym w „Odgłosach" w innym miejscu) owe dziewięć tomów stanowią ważne wydarzenie, tak dla recepcji Gombrowicza w Polsce, jak i dla życia literackiego w ogóle.

Gombrowicz to już klasyka. Natomiast z polskiej literatury współczesnej na wyróżnienie w roku 1986 zasługują trzy książki. Po pierwsze jest to:

ROMAN BRATNY, CDN
Książka i Wiedza

Autor należy do tych pisarzy, którzy stale i z konsekwencją starają się inspirować swoją twórczość aktualnymi wydarzeniami społecznymi i politycznymi naszego kraju. Powiedziałbym nawet, że jest jedynym pisarzem, który bez obaw o zarzut tymczasowości i doraźnej publicystyki, reaguje natychmiast na to wszystko, co jeszcze gorące, nie do końca rozpoznane i bezpośrednio dotykalne. Nie czeka na dystans, na wyważoną interpretację i mniej lub bardziej „słuszną" analizę. Dlatego też stutysięczny nakład zniknął z księgarń w kilka godzin. Wyróżniam „Cdn" ponieważ uznać trzeba tę książkę za najlepszą spośród wszystkich, które Roman Bratny ostatnio napisał.

Po drugie jest to:

ADOLF RUDNICKI, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE PEŁNE DESERÓW
PIW

W zauważalnym i wartkim już nurcie książek — wspomnień, książek — pamiętników, książek — literackich raptularzy tom Rudnickiego, który zawsze zresztą tworzył literaturę nacechowaną autorefleksją i osobistą emocyjnością (jego „Niebieskie kartki" tworzą jakby oddzielny gatunek literacki), należy do utworów najgodniejszych lektury. Na marginesie: bez wątpienia te stronice powstałe z perspektywy Krakowskiego Przedmieścia czytelnik oceni wyżej niż opowieści barda Nowego Światu i okolic. Decyduje o tym nie tylko literacka wartość książki Rudnickiego, ale jej egzystencjalna mądrość i takież spojrzenie na siebie samego i innych.

Po trzecie jest to:

WOJCIECH ŻUKROWSKI, NA TRONIE W BLABLONIE
MAW

Niby-baśń (kontynuacja bestsellera literatury dla dzieci i młodzieży „Porwanie w Tiutiurlistanie"), niby-książka dla młodocianego czytelnika, a przecież tekst, w którym i dorośli znajdą to, czego na próżno szukaliby w „dorosłych" powieściach. Wcale nie żartobliwe przesłanie dla królów i ich poddanych, dla tych co rządzą i dla tych co są rządzeni. I jak ta przypowieść została napisana! Ponieważ książka ma stupięćdziesięciotysięczny nakład (szkoda, że w tak zgrzebnym kształcie edytorskim) trafi pod choinki w wielu domach.

Z literatury obcej, przekładanej na język polski, chciałbym w tej dziesiątce wyróżnić trzy powieści składające się na cykl, którego autorem jest

PAUL SCOTT, KWARTET ANGLOINDYJSKI
PIW

Na cykl ów składają się: „Klejnot korony", „Dzień skorpiona", „Wieże milczenia" oraz czekające jeszcze na wydanie po polsku dwa tytuły — „Podział łupów" i „Ci, którzy pozostali". Trzy pierwsze powieści, opublikowane w poczytnej serii Klub Interesującej Książki, muszą zainteresować epickim rozmachem, znakomitą i wcale nie tradycyjną narracją a także — choć egzotycznym ale ważnym w skali kształtowania się współczesnego świata — tematem. Akcja całego cyklu (znają ją czytelnicy z bardzo dobrego serialu tv, który nie wiedzieć czemu został upchnięty w drugi program) rozgrywa się w Indiach w szczególnie istotnym dla ich historii momencie: zmierzchu dominacji angielskiej i narodzin niepodległego państwa.

W oczekiwaniu na inne wydarzenia edytorskie, którymi zafascynuje w przyszłości odbiorców Wydawnictwo Łódzkie, w tym roku chciałbym wyróżnić książkę

KASKADERZY LITERATURY.
Wydawnictwo Łódzkie

pod redakcją Edwarda Kolbusa. Przede wszystkim za znakomity pomysł wydawniczy (u nas w porównaniu z innymi krajami jakby brakowało książek „z pomysłem", wydaje się na ogół to, co zaproponują autorzy) trafiający — co też ważne — w „dziesiątkę" czytelniczych oczekiwań. Wydana w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy (że też nie obawiano się ryzyka!) antologia wierszy wymienionych w tytule autorów, wzbogacona o dobre w przeważającej części eseje interpretacyjne świadczy, że poezja wcale nie musi być kopciuszkiem w magazynach Składnicy Księgarskiej.

Innym argumentem może być na tej liście wydawniczych hitów

JERZY HARASYMOWICZ WYBÓR WIERSZY —
Wydawnictwo Literackie

Jest to jedyny z żyjących poetów (pomijam tu Miłosza opromienionego Nagrodą Nobla i zaszłościami pozaliterackimi), którego tomiki poetyckie osiągają liczbę dziesiątków tysięcy i nie obrastają kurzem na księgarnianych półkach. Wydany ostatnio „Wybór wierszy" jest swoistą summą dotychczasowej twórczości poety, a także prezentacją jego warsztatowych poszukiwań, przecież nie ustabilizowanych i zmiennych w formach tworzywa językowego, tematu poetyckiego i tradycji kulturowych. Niektórzy z krytyków wzruszają ramionami i mówią uszczypliwie— „poetysta" (że niby wytwórca lirycznych błyskotek). Niechaj mówią. A Harasymowicz konsekwentnie buduje swój poetycki świat, w którym tak chętnie chcą przebywać tysiące czytelników.

Marek Wawrzkiewicz ogłosił przed paroma tygodniami na łamach „Kultury", że mamy najlepszą poezję na świecie. Może i tak jest. Ale żeby się o tym przekonać powinniśmy chyba częściej, niż pozwalają nam na to wydawcy sięgać do poezji obcej. Dlatego też na mojej liście dziesięciu książek roku wymieniam

ROBERTA LOWELLA, POEZJE —
Wydawnictwo Literackie

kolejny tom z jednej z najświetniejszych serii wydawniczych tj. dwujęzycznych edycji poezji z krakowskiej oficyny. Wpisuję tu Lowella (książka w wyborze i z posłowiem Bolesława Taborskiego), najwybitniejszego poetę amerykańskiego obecnego stulecia także i dlatego, że jego twórczość była u nas dotąd nie znana albo znana tylko nielicznym. Mistrz tzw. poezji konfesyjnej z siebie, z własnego życia i psychicznych emocji z nim związanych, stworzył literaturę ponadindywidualną bliską całemu pokoleniu. O rzeczywistych wartościach tej poezji będzie mógł teraz przekonać się i polski czytelnik.

Z literatury o charakterze publicystycznym, społeczno-politycznym (upływający rok był jakby biedniejszy w tym zakresie w porównaniu z poprzednim) na pewno trzeba wyróżnić książkę

FIDEL I RELIGIA. ROZMOWY Z BRATEM BETTO
PAX

Rzeczywiście jest to książka niezwykła. Na jej zawartość składają się rozmowy brazylijskiego dominikanina, ojca Betto z kubańskim przywódcą Fidelem Castro. Rozmowy te ukazały się na Kubie w ubiegłym roku a w niespełna kilkanaście miesięcy może z nimi zapoznać się polski czytelnik. I z tego też powodu trzeba mówić o „Fidelu i religii" w kategoriach niezwykłości. Pomijam szczegółowsze omówienie tej książki (jej fragmenty publikowały także „Odgłosy"). Dodam tylko, że jej treść jest również bardzo aktualnym materiałem dla naszych dysput na temat ideologii chrześcijańskiej i komunistycznej.

Zamyka tę dziesiątkę

ATLAS HISTORYCZNY ŚWIATA
P.P. Wydawnictw Kartograficznych

drogi bo drogi (prawie cztery tysiące złotych), ale za to jak wydany. W trwałej, estetycznej oprawie, na doskonałym papierze, w nieskazitelnym kształcie edytorskim. Ale tak właśnie wydają i drukują Węgrzy (stąd zapewne ta cena). Atlas zawiera mapy z historii świata w opracowaniu wybitnych naszych historiografów i będzie stanowił ważną i użyteczną pomoc w zdobywaniu wiedzy o dalszej i tej najodleglejszej przeszłości ludzkości.

Nie podawałem na ogół cen przy poszczególnych tytułach, nie będę ich sumował więc na koniec. W każdym razie nawet w skali całego roku na wszystkie te książki trzeba by wydać sumę wcale niebagatelną. To oczywiście eufemizm, ale choć w święta chcę czytelnikom „Odgłosów" zaoszczędzić rozmowy o cenach i pieniądzach.

GRZG.

Szopka „Odgłosowa" – 86

Tekst: WIESŁAW MACHEJKO
Rysunki: STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI

(Na proscenium redaktor naczelny „Odgłosów" LUCJUSZ WŁODKOWSKI)

Proszę Państwa! Oto nowa
Szopka jubileuszowa!
Półtora tysiąca numerów
Wywinęliśmy Łodzi,
Półtora tysiąca numerów
Niektórym bokiem wychodzi.
Mimo IRCHY, NIKU, PIHU
Teraz głośno i po cichu,
Raz pod ladą, raz na ladzie
Różny się towarek kładzie...

(Śpiewa na mel. „Tysiące rąk")

Tysiące stron, papieru ton,
„Odgłosy" mamy głośne,
Skowronka ton, to trwogi dzwon,
To znów facecje sprośne.
Niech armia piór
Głowami w mur
Uderza wspólnym rytmem
Niejeden guz
Nam przy tym wzrósł
Lecz cele są zaszczytne!

(Refren śpiewa zespół „Odgłosów" z Czytelnikami)

Czytelnicy wraz z nami w podchodzie
Penetrują i miasto i wieś:
Raz decydent w łeb weźmie, raz złodziej
Wspólna troska nas łączy i pieśń!

(Głos z al. Kościuszki dobiega...)

Czas już może by ilość
Przeszła w jakąś jakość!
Byśmy tu nie musieli
ciągle wołać: Psia kość!

(RED. WŁODKOWSKI)

Tę ostatnią aluzję pojąłem wspaniale,
Choć psia kość z dobrej kuchni...
Bywa wcale... wcale...

(Do szopki marszowym krokiem wchodzi gen. WOJCIECH JARUZELSKI śpiewając na mel. „Raz dwa lewa...")

Raz, dwa — z prawa,
Raz, dwa z lewa,
Ja do przodu idę
Nikt mnie nie rozgniewa,
Glemp mnie uszanuje,
Miodowicz mnie zna,
Messner mi basuje,
A ja śpiewam tak:
Czy to było miłe,
Czy komuś niemiłe,
Pięć lat temu kraj ten
Ja uspokoiłem,
Jeszcze gdyby spłacić
Dewizowy dług,
Wróg by już nie skoczył,
A żołnierz odpocząć mógł!

(Pojawia się prymas JÓZEF GLEMP)

Znów przeceniają tutaj rolę wrogów ludu...
Żeby dług taki spłacić trzeba raczej cudu!

(GEN. JARUZELSKI)

Dlatego też papieża gościć po raz trzeci
Będzie profesor Messner i kościoła dzieci.
Dewoci z ateistą zanucą hosanna
I może spadnie z nieba dolarowa manna?

(PRYMAS GLEMP)

Póki co do pokutnej wzywa Cię koszuli
Prasowy rzecznik kurii — Alojzy Orszulik

(GEN. JARUZELSKI)

Od biczowań i pokut jest ktoś na etacie:
Rzecznika rządu przecie — kardynale — znacie.

(Za stołem mikrofonowym szopkowego „Interpressu" — JERZY URBAN. Śpiewa na mel. „Nie z każdej mąki będzie chleb")

Nie głaszcze mnie po głowie Glemp,
Nie pieści opozycja,
Rzecznika rządu — gorzki chleb
Ale mam na to witz — ja!

(URBAN wyskakuje zza stołu, przytupuje i śpiewa z ludowa)

Olaboga! Ja przetrzymam!
Kto mnie dyma? Ja go dymam!
„Quick" czy „Wolna Europa"
Jak mnie kopną — wezmą kopa!
Dość do jednej — strzałów — bramy
Kłamstwo — kłamstwem nazywamy,
I kompleksów znikł dylemat
Kevin Ruen — ma J. Rema,
A „Der Spiegel" ma Klaksona
I już sprawa odtrąbiona!

Śmich! Śmich! Śmich!
W „Interpressie"
W interlingwie,
W interesie,
Ci co bujdy są ostoją
Śmichu się najbardziej boją!

(Wchodzi nobliwy jak zwykle wicepremier ZBIGNIEW GERTYCH)

— Śmiech bywa w propagandzie jak świeży poranek...
Ja niosę przed narodem oświaty kaganek.

(Śpiewa wesoło przygrywając na cymbałkach — z administracji — i bębenkach, na melodię piosenki szkolnej)

By się uczyć mogły dzieci
Wlepiono mi szkółki,
Zbieram składki, papier, szmatki
Pieniążki do spółki
Danaż moja dana
Szkółko rozpaprana
Tęsknie cię czekamy,
Bo trzy zmiany mamy!

Jedni mają komputery
Wideokasety,
Inni gołe ściany cztery
Pod chmurką klozety,
Danaż moja dana,
Oświato kochana,
Każdy na Cię — kicha
Oprócz mnie — Gertycha!

(RED. WŁODKOWSKI pociesza go jak umie..)

— To fakt, że jest w tym temacie sytuacja taka,
Lecz myśmy na Retkini zrobili wcześniaka!
Szkołę w miesięcy osiem! Toć dumy przyczyna!

(Wicepremier GERTYCH ocierając łzy)

— Widziałem! Piękny wcześniak!
Niestety jedynak!

(Przybrany w togę rzymską wchodzi minister kultury, prof. ALEKSANDER KRAWCZUK Akompaniując sobie na lirze śpiewa na melodię „Jest miasteczko...")

Zapomniano już o Zinie,
Zin w TV już nie słynie,
A jak dawniej Wisła płynie
W mieście K.!
W K. z królewskiej koniunktury,
Ministrowie od kultury,
Na K-amieniu rodzą się,
Nie raz, nie dwa! ..
W kraju co z łaciny słynie,
Niech minister po łacinie,
gada, to z narodem złapie styk!
Wie co curva i huius co
Więc w maliny go nie wpuszczą
Aż do czasu, gdy w K. będzie
Nowa z klik...

— Wtedy budżet odrzucę i radością przejdę
Na uroczą „Iliadę" i wdzięczną „Eneidę"!
Przed marnościami funkcji zniknę w katakumbie
Gdzie dokończę żywota przy winie i rumbie!

(Red. WŁODKOWSKI woła)

— Stój! Domine quo vadis?
Takich cierpień wymaga Stołeczny Paradyz!
Są szczegóły, bo oto okazja się zdarza
Pierwszego witamy w szopce Kł— sekretarza!

(Skromnym krajowym samochodem wjeżdża osobiście JÓZEF NIEWIADOMSKI. Nie zdążył zdjąć hełmu budowlanego)

—Mam dwa sekretariaty na tej jednej głowie!
Jeden jest na Kościuszki, drugi na budowie
W pierwszym przebywam rzadko, będąc pryncypialnym
Na budowie szpitala jestem generalnym.
Krótko byłem ministrem. To nudna posada
Zwłaszcza, gdy budownictwa plan co rok opada...

(Trudno. Niech już Turewicz za to odpowiada)

Ja mam Pomnik na pieczy. Szpital Polki-Matki.
Zbieram dlań aparaty, dolarowe składki,
Już za rok będą mówić (potwierdzą potomni),
Że od śpiżu— wznieśliśmy— w Łodzi —trwalszy pomnik!

(Agresywny reporterska WŁODKOWSKI w telewizyjnym stylu atakuje...)

—Chciałbym do mieszkaniowej wrócić hekatomby..

(Sekretarz odpowiada)

—By choć w części ją zmniejszyć
Wstawiam w mieście plomby
Dentystyczna robota! Choć nie najwdzięczniejsza
Dodaje wdzięku miastu i ból trochę zmniejsza.

(Śpiewa dalej na mel. „Chałupy...")

Chałupy, skąd was wziąć?
Plan leży, gdzie go tknąć!
Fabryki domów,
To kupki złomu,
Czy płakać mam, czy kląć?!

(Nagle oblicze mu się rozjaśnia i nuci z harcerska)

Lecz harcerskie stwórzmy koło,
I zanućmy pieśń wesołą,
I nie szczędźmy sił, druhowie,
I niech Łódź w kraju lśni...

(W kapeluszu z napisem „INTERFASHION" zbliża się do szopki wiceprezydent miasta LONGIN WOJTAL)

—Będzie pięknie! Nie spuszczam ja nosa na kwintę
Trzymam Fashion! Do tego jest to Fashion-Inter!
Kontrahenci z zagranic! Targ mody, modelki!
Od srebrnych lisów, poprzez dywany, po szelki
Co trza odmalujemy, resztę się przysłoni
Już budujemy hale! No, a w gastronomii
Już Sikora z Czubaczyńskim Rysiem
Pracują nad programem z extra-cloustriptizem:
Bo przemysł odzieżowy ubrać, owszem, może
Lecz jak się express zatnie— z rozebraniem gorzej.

(Przysłuchiwał się temu prezydent JAROSŁAW PIETRZYK, który właśnie zdecydowanym krokiem wszedł na scenę szopki)

—Z prezydentów w tym kraju
Jam jest bardziej słynnym.
Głośno o mnie w „Dzienniku"
I łódzkim i w innym.
Nie żeby wprost lub en face...
Do kłębka po nitce
Uszczypną mnie to za gaz,
MPK— arytmię...
Lecz cóż może prezydent
Gdy ma krótki pledzik?
Przykryje co wstydliwe
A z resztą się biedzi!

(Tu włącza się chór niesfornych reporterów)

Takie to nastały czasy:
Jest krytyka solą prasy.
Nie na zachwyconych czele
Stać nam każe uchwał wiele!
Więc węszymy gdzie się da
Kopaj, łapaj tra la la!

(Pilnie nadsłuchując skąd dobiegło muzyczne hasło: „tra, la- la" ukazuje się na scenie HENRYK DEBICH. WŁODKOWSKI pyta z miejsca, czy to prawda z tym Friedrichstadtpalacem, DEBICH na to:)

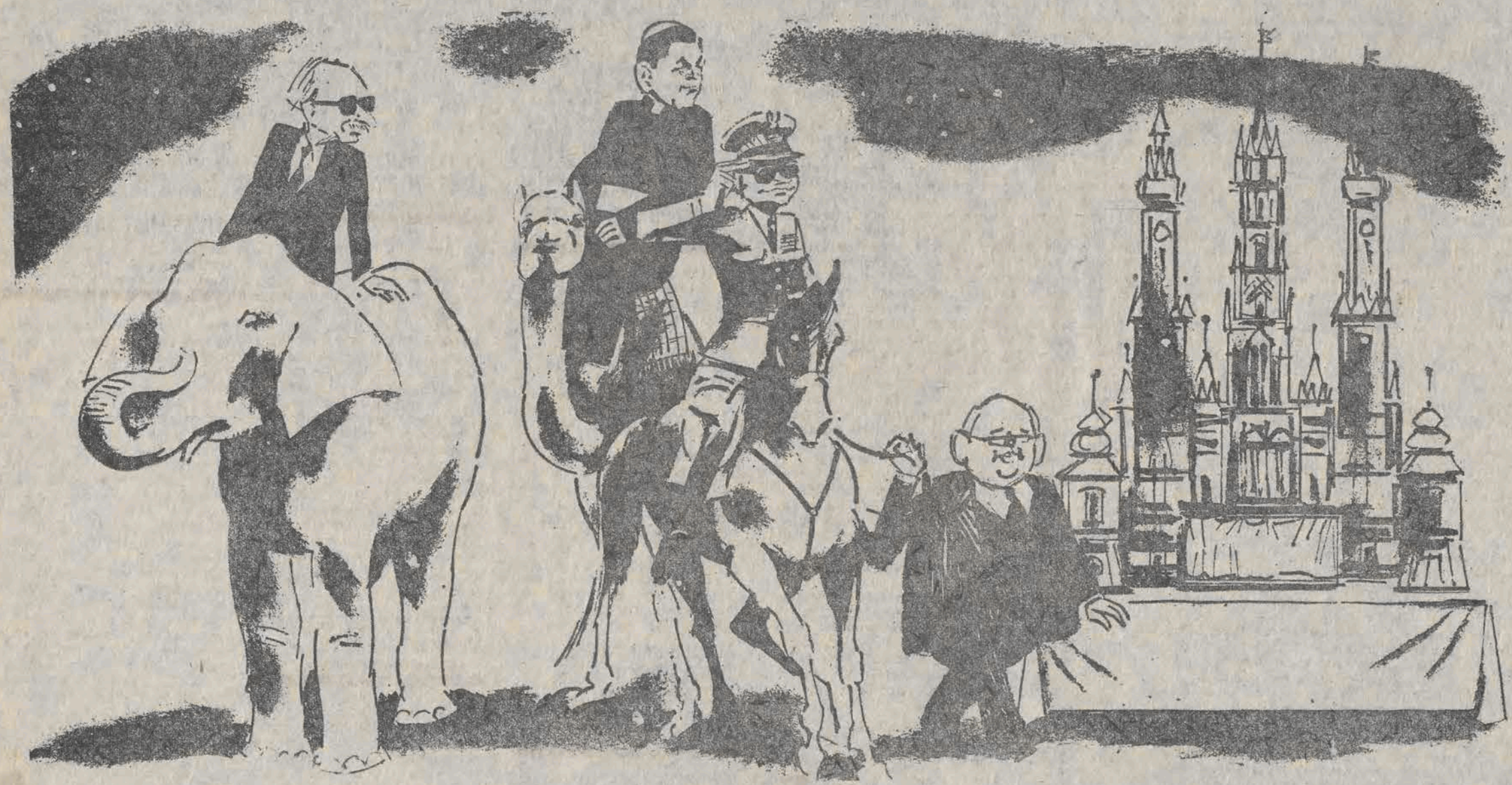

Ja nie pójdę stąd nigdzie!
Boże! Sławą nie karz!
Tu zna mnie każdy krawiec
Mechanik, aptekarz.
Gdy mi spuchnie wątróbka,
Chronometr nie tyka,
Zawsze znajdą lek jakiś,
Śrubkę dla Henryka
A w przyszłości ze spiżu
Z tą moją batutką
Odleją mnie jak Straussa
Nad naszą Bałutką...

(WŁODKOWSKI pozwala sobie na dwuznaczny wyraz współczucia)

—Tę wiadomość radiowa publiczność wytrzyma,
Choć objawy radości mamy już z Berlina.

(HENRYK DEBICH śpiewa jednak dalej na mel. „Humoreski" Dworzaka we własnym aranżu na smyczki, bez skrzypiec)

Mojej sławy to przyczyna
Że mnie chcieli do Berlina,
Bym podciągnął Friedrichstadtpalace
A ja wolę studio własne,
Takie łódzkie, takie ciasne
Tam niestety są balety...
A ja passs!

(Prowadzący szopkę zwraca się do tych, którzy już mieli nadzieję)

—Słowem: zbędne podchody, zabiegi i kłótnie
Na temat: kto też weźmie po Debichu lutnię...

(Włącza się w to jednak postać nowa, doskonale państwu znana)

—Gdy ktoś głos swój lub ciało
chce pokazać światu
Do mojego w operze
Zgłasza się warsztatu.

—Zrobię tak: mistrz S. Pietras i jego załoga
Żeby „C" było górne i nie drżała noga!
Choć mi drży... repertuar i to widzę snadnie,
Że mi w mniejszych laurach
Chodzić teraz wypadnie...

(Tanecznym pass wpływa na scenę szopki EWA WYCICHOWSKA. Ostro protestuje:)

Mniejszy laur? A „Faust"?
Tępisz rock-Fausta?!
Co w RFN i w Polsce
Trafił w młode gusta?

(Dyrektor SŁAWOMIR PIETRAS protestuje:)

—To są diabelskie sztuczki!
To piekielna granda!
Lepszy nudny Peleas
Śpiąca Melizanda.
A jeszcze balet powstał
Nocą! Ponad program
Przywilejów socjalnych
Łamiąc harmonogram!

Gdzie zwolnienia, L-4?
Gdzie przerwy, BHP?
Jeszcze mnie za to wszystko
NIK lub IRCHA złapie!

(WYCICHOWSKA ma pomysł:)

—Odeślij ich do diabła!
Coś z tym zrobi— tuszę...
To mój koleś, któremu
Zaprzedałam duszę!
Lecz nie wie Mefistofel
Jak zręcznie uderzam:
Wprzódy błogosławieństwo
Wzięłam od Papieża!

(Dyrektor PIETRAS załamuje ręce warsztatowca operowego)

—Przewrotności kobieca!
Zawsześ była taka!
Do warsztatu mi wracać,
Do pił! Do śrubsztaka!
Może coś wypiluje
W tańcu i w wokalu?
I kasa moja pusta
Zyska więcej szmalu?

(Na mel. z repertuaru Kiepury — „Brunetki, blondynki")

Bruneci, blondyni
(Różnicy mi nie czyni)
Ja wszystkich chcę
Wypuścić stąd
W największych oper monde
(I to mój błąd!)

Ma pusta scena
A altruizm któż docenia
Dlatego tak młódź piłuję
I w łazience też trenuję sam!

Bruneci, blondyni
Kiepurów z was uczyni
Ten warsztat mój!
Talentów rój
Opuści twórczy zdrój!
Może zyskasz jak tak tryskasz
Teatrze mój?!

(Po zapoznaniu się z problemami aparatu głosowego kolej na inne. Scena szopki zaczyna migotać — jak II program TV na Widzewie-Wschodzie. Widzimy mimo to dyrektora Łódzkiego Ośrodka TVP — ANDRZEJA HAMPLA)

—Różne są aparaty na tym bożym świecie.
Jak jeden będzie lepszy — drugi gorszy przecie.
Ja siedziałem w tym lepszym. Ni z tego owego
Przenieśli mnie do gorszego — telewizyjnego.
Za szklaną jest mi szybką — bezpiecznie, nie taję
Czasem władzę pochwalę, maluczkich wylaję,
Potem z główną księgową zajmę się budżetem.
I studiem co się sypie, transportem, bufetem.
Wszystko tu zestarzałe jak to — nie wiem — dogram
By palcem z kapelusza zrobić jakiś program!
A był czas, gdy mówiłem im bez zbędnych debat:
To musi być zrobione! Towarzyszel Trzeba.

(Wykorzystując swój paryski genre śpiewa i tańczy na mel. Kankana z „Pięknej Heleny")

Ja jestem Boss telewizji,
Trzos telewizji,
Nos telewizji!
Jam TeVau król,
To główna z moich ról!

(Ale tu rozlega się głos z telewizyjnego korytarza)

GŁOS: — W telewizji KRÓL jest jeden!
(Choć dzisiaj bez portek)
To jej pierwszy operator
KRÓL — rzecz jasna — WOJTEK!

(Dyrektor nie zwraca uwagi na korytarzowe opinie. Tańczy i śpiewa dalej.)

Ludność: Miasta i gminu
Budzę ze spleenu,
Wzywam do czynu,
Wiele kazań mam,
Kudy mi Skarga sam!

(To niebywałe! Ale z korytarza odzywa się drugi głos!)

— Skarga? To moja grządka:
O los łodzian troska!
Lecz proszę.. Nie przeszkadzam
..Anna Orzechowska.

(Choć dyrektorowi trudno się wkomponować w grządki tematyczne, nie zaniedbuje techniki...)

Kabel: Mi się przepala,
Studio nawala,
Ucieka fala,
Komputerów czas
Wciąż nie dotyczy nas!

(Ten samokrytyczny nurt obserwuje z sympatią red. WŁODKOWSKI)

— To koncern HAMPEL MINING — z techniki nie słynie
To koncert szmelcu „Na dwa świerszcze i na wiatr w kominie!"
Jak przyjedzie Papież — coś z techniki złapiesz!

(Wycie milicyjnej syreny zwiastuje następną postać)

—Tylko bez tematów mi przechwytywania!
Ja, Michał Fajbusiewicz, jestem od łapania!

(Tańczy i śpiewa na mel. „Criminal tango")

Na Kamiennej jest melina,
Tam babunia bimber trzyma!
A na Rybnej znam szalety
Gdzie pływają trzy szkielety.
Na Targowej niemowlaka
Piekli z kaszą jak prosiaka,
Na dół wiszą tam głowami
Rozpruwani narkomani!
Cannibal — tengo!
Z ekranu — gram go!
Ktoś gdzieś podskoczy
Ja biorę w tan-go! O le!

— Choć mnie moi koledzy niewąsko pogryźli
Następcą Borewicza jestem w telewizji.
Bo czego bym nie dotknął — czego się nie imał
Zaraz się w moich rękach przemienia w kryminał.
Wszędzie odciski palców — widzę — i krwi plamy,
Mnie każdy (nawet szef mój) zda się podejrzanym...
Kogo tylko obejmę moim czujnym wzrokiem
Kojarzy mi się z jakimś wysokim wyrokiem.
Weźmy: śliczne niemowlę z niewinnym blond loczkiem
A potrafi się w beciku masturbować smoczkiem!
Ja to w „997", gdy północ nastanie
Pokażę całej Polsce na małym ekranie.
Dzięki mnie — proszę państwa — w kraju dzisiaj mamy
Zamiast krwistych befsztyków — pełne krwi programy.

(Skoro mowa o handlu dopuśćmy do szopkowej lady dyrektora „Centralu" LECHA SOSNOWSKIEGO)
(Śpiewa na mel. „Kocha, lubi, szanuje...")

Kupię, sprzedam, targuję,
Nie jem, nie śpię, handluję,
Czy ciuch, czy pieprzyk
Jestem najlepszy
Mam wszystko naj...
Wie o tym kraj!

—Tylko handlowa liczy się głowa.
Jak nie ma dewiz: towar za towar!
Tak po kupiecku — z ręki do ręki:
Za skrzynki z zrzynki — trampki, spodenki
Garnki za czosnek mam z ENERDOWA!
„Central" to znaczy: głowa handlowa!

(WŁODKOWSKI, który jest nie tylko konferansjerem, ale i kibicem, ma pomysł!)

— Gdyby Sosnowski Leszek się skupił
Paru piłkarzy by nam dokupił
ŁKS — przepadł i WIDZEW — lunął!
Spójrzcie jak płacze Redaktor Bunio!
Zaś sytuacja w ogóle — ponura
Może coś wniesie tu Waligóra?

(Na mel. „Od Krakowa jedzie fura")

Od Widzewa czarna chmura,
A pod chmurą — Waligóra!
I narzeka
Na UEFA
Bońka ni ma,
I ma niefart!
Sobolewski roni łezki
Bo zobaczył dno swej kieski!

(Od stadionu ŁKS słychać nutę weselszą)

Tra la la! Tra la la!
Znów Terlecki u nas gra!

(Spod wąsa słychać jednak głos red. MICHAŁA BUNIA)

—Panowie grajcie piłkę
póki jest okrągła,
Bo mi się Finansowy
Wydział już przygląda.
A skąd wezmę na domiar
Od swej pensji chudej
Gdy Wy nie zabłyśniecie
Futbolowym cudem?
Choć tyram przez tygodnie
Całe bez wytchnienia
Położą mi na szali
Socjalnego lenia!

(WŁODKOWSKI — w imieniu innych dziennikarzy dorzuca nieśmiało)

Podatek wyrównawczy dziennikarz ma płacić.
Kiedy gada za dużo! Niech chodzi bez gacl.
A kto to się tak przy żłobku dyskretnie ułożył?
Ha! Poznałem waćpanów! To szopki autorzy!
Pierwszy: co w jadzie pióro macza (lub kamerę)
Drugi: karykaturą żre jak zajzajerem.
Okażcie swe buziaczki czytelnikom naszym!

(Obaj autorzy złapani w ostatniej chwili na gorącym uczynku krytyki)

Pardon. Może nie teraz, śpieszno nam do kasyl
Złotówka ciągle spada... w sklepach ananasy...

(WŁODKOWSKI, który jak wszyscy dziennikarze żywi się wyłącznie sardynkami, kawiorem, szampanem i ananasami)

—Ananasy? Ja z wami! Choć koniec miesiąca!
Świąt Wesołych życzymy! I deszczu i słońca!

(Autorzy, redaktorzy i cenzorzy szopki w chórze)

Przepraszamy. Dziękujemy!
Zdrowia, szczęścia winszujemy NA TEN NOWY ROK!

(Kurtyna nie opada z powodu widocznego jej braku. Kto ukradł szopkową kurtynę? Informacje pod 997!)

JACEK KRAKOWSKI

Opowieść o Locie

Fragment powieści pt. „Sodoma"

Ujechaliśmy zaledwie kilkaset metrów, gdy tory skończyły się i drezyna zarylа w piach, wyrzucając nas na wydmę. Willi „Speranza" już nie było widać, gdyż w kierunku naszej jazdy pustynia opadała łagodnymi kopcami i niewielkimi skalnymi wzniesieniami o gładkich, jakby wyszlifowanych krawędziach. Piasek parzył nas w stopy gdy szliśmy pod rozżarzoną kopułą spełzłego błękitu, wpatrując się w powietrze, dygoczące na horyzoncie falami wzmagającego się upału. Idąc, zrzuciliśmy z siebie suknie i bieliznę dziewczyn i teraz nadzy, z głowami owiniętymi jedwabnymi halkami, wlekliśmy się przez palący piach. Na szczęście wkrótce na horyzoncie ukazały się jakieś ruiny, które początkowo wzięliśmy za fatamorganę, jednak przybliżając się do nich, zorientowaliśmy się, że nie są przywidzeniem, co więcej, te wysokie domy otaczające półkoliście plac są już nam znane — przecież pośrodku powinien stać w zrujnowanym ogrodzie dom rodziny Questów. Jednak zamiast niego w centrum piaszczystej równiny, spod której gdzieniegdzie przezierała asfaltowa jezdnia wznosiło się wzgórze, którego osypujące się zbocza ukazywały zarysy zrujnowanego domostwa.

Podeszliśmy aż do wynurzającej się ściany domu wraz z na wpół zasypanym oknem i zajrzeliśmy do środka. Była to chyba kuchnia, bowiem w jej wnętrzu zobaczyliśmy długi stół, na którym kiedyś leżała umierająca Atanazja.

Laurenty wziął stojący pod ścianą trójząb, bowiem stwierdził, że przyda mu się on jako laska podczas dalszej wędrówki.

Natomiast Sylwester przerzucił przez ramię wagę o szalkach w kształcie misek, zauważając, że przydadzą się one nam do czerpania wody, gdy po drodze natrafimy na źródło.

Poszliśmy dalej wzdłuż ulicy, która po kilkunastu krokach skryła się w piach. Jednak ostatni, częściowo zrujnowany dom wydał się nam zamieszkały. Wokół drzwi widać było wyraźnie ślady stóp, a z okna przesłoniętego płachtą dobiegały dźwięki muzyki. Zastanawialiśmy się właśnie, czy wejść, gdy kotara odsunęła się i ujrzeliśmy wysokiego mężczyznę owiniętego czerwonym płaszczem.

Wychodzicie stąd, powiedział. Jak to dobrze! Długo zastanawiałem się czy stąd odejść, ale jakoś nigdy nie mogłem się zdecydować na samotną wędrówkę. We trójkę będzie nam raźniej, prawda?

Oparł się ręką o parapet i wyskoczył przez okno, a za nim z ciemnego wnętrza wyleciał kruk, który od razu usiadł mu na ramieniu.

Zapomniał pan wyłączyć patefon, rzekł Laurenty.

Nie szkodzi, odparł nieznajomy, sam się zatrzyma.

Płyta powtarzała w kółko chrapliwy kawałek frazy, gdy ponownie wchodziliśmy na rozpalony piasek pustyni.

Co za upał, powiedział Sylwester. Nie ma pan trochę wody?

Tutaj tak zawsze, rzekł nieznajomy. A woda zaraz się znajdzie Pogrzebał w dużej kieszeni obszernego płaszcza i wydobył z niej małą, płaską butelkę. Pijcie do woli, powiedział, mam jeszcze kilka w zapasie.

Laurenty przytknął butelkę do ust i znieruchomiał ciężko łapiąc oddech, a oczy chciały mu wyskoczyć z orbit.

To wódka, wychrypiał.

A co pan myślał, że mleko, odrzekł nieznajomy. Prawdziwi mężczyźni piją wyłącznie alkohol. To wzmaga potencję. Od razu zauważyłem, że zwisają wam beznadziejnie, więc wziąłem spory zapas gorzałki. Spójrzcie na mojego, rzekł, rozchyliwszy płaszcz, sterczy jak drut, a wasze dyndają jak zdechłe węgorze. Pomalowałem go na złoto, żeby lepiej był widoczny z daleka. Myślę zresztą, że o członkach męskich porozmawiamy sobie jeszcze po drodze. To jedyny temat, który powinni poruszać w swoich męskich rozmowach prawdziwi mężczyźni. Pijcie, pijcie! Chyba nie jesteście babami. Wódka jest najlepsza na upały.

Wypiliśmy po kilka łyków piekącego płynu i poszliśmy dalej wraz z nieznajomym, który wcisnął się między nas. Kruk siedzący na jego ramieniu skubał dziobem brzeg czerwonego płaszcza, kracząc od czasu do czasu. Wtedy mężczyzna wsuwał jego dziób w butelkę. Kruk pił, przymykając oczy, mężczyzna chował flaszkę do kieszeni i znowu brnęliśmy przez pokarbowane wydmy, ciągnące się aż po rozpalony słońcem horyzont. Milczeliśmy, zmęczeni wędrówką, stropieni ponadto uwagą nieznajomego o przedmiocie naszej rozmowy, gdy on zagadnął nas pierwszy, solidnie przedtem pociągnąwszy z butelki.

I jak tam wasze maluchy, sztywnieją?

Odburknęliśmy coś niewyraźnie, a on bezceremonialnie pomacał dłonią nasze członki i rzekł:

Słabo. Za mało jeszcze wypiliście, ale wódka wzmaga pragnienie i wkrótce znowu zechcecie się napić. A musicie wiedzieć, że solidnie wyprężony fallus to najpiękniejsza rzecz na tym świecie. Mężczyzna ze sterczącym przyrodzeniem prezentuje się wprost wspaniale na tle kobiet, nie posiadających tej fascynującej ozdoby. To klejnot, ba, złota żyła niewyczerpanego bogactwa. Można wpychać ją gdzie popadnie, a niezawodnie przyniesie rozkosz jej posiadaczowi. A ta twardość, a ta jędrność, a ta siła połączona z delikatnością, a ów niedościgły w swej doskonałości kształt — palce lizać. Zjeść by go się chciało, gdy lekko drżący połyskuje karminowym pąkiem, a ciemnopurpurowy kołnierz wynurza się spod płaszczyka cieniutkiej skórki, opinającej nabrzmiałe węzły żył, przebijających sino spod pociemniałej kory tego pnia życia. Mocno skręcone loki wąsów otaczają go łaskotliwą gęstwiną, w której czai się ów kurczliwy woreczek, zawierający dwa czystej wody brylanty, co ja mówię, zaklęte perły niezwykłej wielkości. Kto je posiada, ten nie zginie w życiu. Wystarczy ująć je w dłoń, by poczuć ich soczyste ciepło, a bardziej intymny kontakt z nimi doprowadza do szału przełożone zakonów o najsurowszych regułach. Ale, przepraszam, mieliśmy rozprawiać o członku, tym ósmym cudzie świata, któremu ludzkość od zarania dziejów stawia kolumny, wieże i katedry, wyśpiewując peany na jego cześć. Napijecie się jeszcze?

Wyciągnął z kieszeni płaską flaszkę, a my czując rosnące pragnienie wypiliśmy po kilka łyków. Także kruk zanurzył dziób w szyjce butelki. Nieznajomy wysączył resztę wódki i rzucił piersiówkę w piach.

Czujecie zapewne to ożywcze ciepło, wlewające się w wasze żyły, mówił dalej nieznajomy. Mocna wódka jest najlepszą rzeczą zaraz po członku męskim. Szczególnie zaś nacieranie go trzy razy dziennie czystym spirytusem hartuje go, wzmacnia i powoduje jego niebywały rozrost, bowiem naczynia krwionośne rozszerzają się i krzepną. Także skóra staje się twarda jak na byku. Żołądź czerwienieje i dwukrotnie powiększa swoją objętość, stając się podobny do żelaznej pięści, zdolnej przebić wszystko, co napotka na swej drodze. O, powiedział, zaglądając w nasze krocza, widzę, że już podrygują. Bardzo dobrze. To najpiękniejsza chwila w życiu prawdziwego mężczyzny, gdy czuje, że jego męskość mężnieje, świadcząc wszem i wobec o sile dobywającej się z jego męskiego ciała. Nie zasłaniajcie się. Niech wasze prącia błyszczą w słońcu! Niech żyją!

Podał nam następną butelkę, a my opróżniliśmy ją łapczywie. Nieznajomy zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię, a kruk usiadł na jego złoto pomalowanym członku, który sterczał teraz poziomo, wskazując kierunek naszej wędrówki. Potykaliśmy się nieco i zataczaliśmy, a kiedy któremuś z nas trudno było utrzymać równowagę, nieznajomy chwytał prącie tracącego przytomność i ściskał tak mocno, ciągnąc jednocześnie, że zmuszeni byliśmy postępować za nim.

Słońce stało w zenicie prażąc niemiłosiernie nasze ciała. Laurenty zaproponował, żebyśmy usiedli i odpoczęli, nakrywając się czerwonym płaszczem, lecz mężczyzna oburzył się na jego propozycję.

Teraz, krzyknął, w takiej chwili, gdy wasze członki lada chwila osiągną pełnię, chcecie odpoczywać. To nietakt wobec nich, to zbrodnia! Sterczące penisy nie mogą sterczeć bezczynnie. Powinny zapładniać i użyźniać naszą glebę życia, nawadniać ją i rozpulchniać, przewracać jej skiby i wciskać w nią nasiona, z których wyrosną nowe zastępy członków zdolnych do walki o lepsze jutro! Dlatego proponuję wam kobietę, prawdziwą kobietę, która zdolna pomieścić będzie ogrom waszych korzeni i litry waszego nasienia, którym napełnicie jej ciało. Widzicie ten purpurowy namiot wychylający się zza wzgórza? Tam właśnie czeka na was dysząc roznamiętnioną kobiecością. Już na sam wasz widok zazna co najmniej trzech orgazmów, nie mówiąc już o stosunkach, które doprowadzą ją do delirycznych dreszczy i ostatecznego upojenia. Nie będzie chciała jeść ni pić, tylko zażywać z wami tej niewypowiedzianej rozkoszy, której łaskawie zechcecie jej dostarczyć. To wszystko będzie jednak niczym w porównaniu z monstrualnymi spazmami najwyższego szczęścia, które ogarną wasze ciała. Będziecie śmiać się i płakać, nie wiedząc co się z wami dzieje, podczas gdy jej prawdziwa kobiecość będzie dostarczać wam wymyślnych podniet zabarwionych odcieniem perwersji, w której tak się lubujecie. Myślę, że zgadzacie się?

Zaprowadź nas do tego namiotu, jęknął Sylwester.

Nie mam już siły, mruknął Laurenty, słaniając się na nogach.

Mężczyzna chwycił silnymi dłońmi nasze wyprężone członki i pociągnął nas za sobą. Zatrzymaliśmy się dopiero przed uchylonym wejściem.

Nie myślcie jednak, że robię to wszystko dla waszych niezwykle pięknych oczu, rzekł mężczyzna. O, nie! W zamian za doprowadzenie was do męskości i kobiety, musicie mi dać trójząb i wagę.

Skinęliśmy głowami, ledwo trzymając się na nogach. Nieznajomy odebrał od nas przedmioty zabrane z domu Questów i odchylając zasłonę członkiem z siedzącym na nim krukiem, wciągnął nas do środka namiotu, gdzie natychmiat nogi odmówiły nam posłuszeństwa i przewróciliśmy się na dywan.

Przyprowadziłem ci dwóch mężczyzn słynnych z męskości, powiedział do kobiety siedzącej przy ognisku, która nakryta cała półprzezroczystą, różową zasłoną, wpatrywała się w migoczące płomienie.

Odejdą tak jak i tamci, odrzekła smutnym głosem.

Mylisz się, powiedział mężczyzna. Oto trójząb i waga — cały ich majątek, który ofiarowali mi, błagając na kolanach, abym ich do ciebie doprowadził. Stwierdzili ponadto, że życie straci dla nich wszelki sens, jeżeli nie zdołają zażyć z tobą rozkoszy.

Czy uprzedziłeś ich, spytała kobieta, że obcinam członki tym, którzy nie zdołają doprowadzić mnie do szału płciowego, natomiast temu, który zaspokoi me rozbestwione chucie ofiaruję bez wahania swoją rękę i całe królestwo?

Tak pani, odparł nieznajomy. Poinformowałem ich o wszystkim ze szczegółami. Urżnęli się z radości, gdy dowiedzieli się o perspektywie ślubu z tobą.

Miło mi, rzekła kobieta, ale jaką mam gwarancję, że nie oszukujesz mnie jak zwykle?

Weź tego kruka, odrzekł nieznajomy. Jeżeli zawiodę cię, możesz z nim zrobić, co ci się podoba.

To rozumiem, powiedziała. Wyciągnęła rękę spod różowej zasłony, chwyciła kruka, siedzącego na członku i wsadziła go do złotej klatki. Piękne dary, rzekła, przyglądając się trójzębowi i wadze, po czym włożyła je pod zasłonę, a nieznajomemu podała złotą flaszę.

Wypij za moje zdrowie, ale na zewnątrz. Tutaj picie jest surowo zabronione.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł z namiotu.

Pić, szepnął Laurenty.

Pić, jęknął Sylwester.

Suszy was, rzekła kobieta, zrzucając zasłonę. I nic dziwnego. Kto chla na umór cały dzień w taki upał, musi być niespełna rozumu. Mam tylko picie w mojej picie, zaśmiała się stając nad nami. Najpierw jednak muszę wam się przyjrzeć, a potem wypowiedzieć się na temat prawdziwej kobiecości, z którą niedługo, zapewne po raz pierwszy w życiu, będziecie mieli do czynienia. Chcę bowiem, aby wasze uczynki były świadome, abyście zdawali sobie sprawę, z kim będziecie obcować. To nie jakieś tam sobie fiu-bździu, przedsięwzięcie a la rżnięcie, ale solidne i odpowiedzialne pierdolenie, mające być przykładem dla młodzieży płci obojga, która dopiero wstępuje w pełne niebezpieczeństw życie płciowe.

Stała nad nami, leżącymi bezwładnie przy ognisku, a my spod półprzymkniętych powiek przypatrywaliśmy się jej strzelistym udom, płaskiemu brzuchowi i sterczącym piersiom. Jedynie łono opinała skąpa, złota przepaska, przesłaniająca tajemnicę, którą, jak nam się wydawało, za chwilę powinniśmy zgłębić.

Wyglądają nie najgorzej, powiedziała, szturchając nasze wyprężone penisy stopami, ale kto ich tam wie... Atanie, wrzasnęła, czy wypróbowałeś ich męskość na sobie?!

Tak Loto, odparł nieznajomy, wsuwając się do namiotu. Już dupy nie czuję.

Natrzyj ją sobie wódką, a poczujesz się znacznie lepiej. Tylko uważaj, żebyś nie wepchnął korka, ostrzegła go Lota. A teraz odejdź. Chcę jeszcze nacieszyć nimi moje oczy, nim wezmę się ostro do rzeczy. Bądź jednak pod bokiem w razie czego. Być może rozbestwię się w takim stopniu, że i ciebie będę musiała wykorzystać. A pamiętasz chyba, że winieneś mi być wdzięczny do grobowej deski, ty sługo.

Możesz być pewna, o pani, że nigdy ci tego nie zapomnę, odparł nieznajomy i skłoniwszy się, wyszedł z namiotu.

Był on kiedyś kobietą, powiedziała Lota, i tylko dzięki moim pieniądzom mógł poddać się niezwyle skomplikowanemu i kosztownemu zabiegowi transfiguracji płci. Połowę mojej biżuterii poświęciłam na odlanie ze złota stosownej wielkości członka, który wszczepiono mu na stałe. Cóż... Jednak to nie to samo co obcowanie z mężczyznami pełnej krwi, do których, mam nadzieję, także i wy się zaliczacie. Od czasu tego zabiegu Atan sprowadzał mi zalotników, lecz oni łaszcząc się jedynie na mój majątek, kopulowali ze mną byle jak, na odczepnego, chcąc jak najszybciej zagarnąć me królestwo. Toteż w końcu wzięłam się na sposób, grożąc obcięciem członków tym, którzy mnie nie zadowolą. Muszę przyznać, że od tej pory ilość chętnych znacznie się zmniejszyła, a szczerze mówiąc, wy jesteście pierwszymi kandydatami od trzech lat, kiedy to właśnie ogłosiłam publicznie swoje ultimatum. Atanowi zaś zagroziłam, że jeśli do jutra nie sprowadzi mi prawdziwego mężczyzny, każę przetopić jego członek na pierścionki. W końcu każdego może znudzić takie samotne życie, nieprawda?

Odburknęliśmy byle co, czując ogień w żołądkach i nienaturalne sztywnienie całego ciała.

Widzę, że nietęgo się coś macie, rzekła Lota. Chwyciła dwa dzbany i chlusnęła na nas lodowato zimną wodą.

Zerwaliśmy się na równe nogi.

Widzę, że już wytrzeźwieliście, powiedziała, kręcąc biodrami. A przy okazji kąpiel wam nie zaszkodziła. Brzydziłabym się dotknąć takich brudasów. Usiądźcie teraz przy ogniu i osuszcie się, a ja tymczasem uświadomię was, co jest warta prawdziwa kobiecość, którą być może posiądziecie na zawsze.

Atanie — klasnęła w dłonie — więcej wody z lodem i ani kropli whisky.

Po chwili wszedł nasz towarzysz podróży, niosąc na złotej tacy oszronioną, kryształową szklankę, wypełnioną po brzegi.

Czy młodzież nieletnią mam już przyprowadzić, spytał uniżonym głosem.

Jeszcze nie, odparła Lota, zawołam cię, kiedy zacznę.

Atan wycofał się z namiotu w niskim ukłonie.

Wam nie dam się napić, aby tym bardziej pobudzić wasze pragnienie, rzekła, wychylając jednym haustem zawartość szklanki. Świeża woda zdrowia kobiecie doda. Ale do rzeczy. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie mieliście do czynienia z prawdziwą kobiecością. Może z kobietami, niewątpliwie, ale kobieca kobiecość, ta prawdziwa, niezakłamana w swej istocie to zupełnie coś innego. Oto ona, powiedziała, odpinając złotą przepaskę i rozstawiając szeroko nogi. Przypatrzcie się jej dobrze, albowiem jest to kielich kwiatu, który zakwita raz na sto lat, a może sto wieków. Zresztą to wszystko jedno. Ważne jest jego urzekające piękno i cudowna moc, którą w sobie zawiera. Jego na wpół rozchylone płatki pełne są ożywczego nektaru, do którego zlatują się wszystkie trutnie. A co się jaki zbliży, zaraz mu się utnie, zaśmiała się, wysączając krople wody ze szklanki.

Pić, jęknął Laurenty.

Pić, stęknął Sylwester.

Zaraz, zaraz, wstrzymajcie nieco swą pożądliwość. Wkrótce dam wam pić i popalić, ale nie lubię nic robić na chybcika. Musicie czynić to mając pełną świadomość swego czynu. A jaką możecie mieć świadomość, jeśli ja jej wam nie uświadomię? Hę? Wpychanie i wyciąganie, a przecież nie na tym dowcip polega. Prawdziwa kobiecość jest tym tajemniczym Łonem Kosmosu, które raz na jakiś czas poddaje się zbaraniałej w swej fallicznej męce męskości, którą pragnie wybawić z nieopanowanego pedalstwa, onanizmu i sodomii. Kolumny wzbijające się w sklepienia, wieżyce rozrywające chmury czy pociągi wjeżdżające do tunelu są błahymi namiastkami prawdy ukrytej przed wzrokiem ciekawskich wewnątrz pełnego nieuchwytnego czaru łona prawdziwej kobiety. To ona, widząc grzech i nieprawość, szerzące się wśród pokoleń samców i uległych im samic, zstępuje na ten padół raz na tysiąc lat, aby swoim poświęceniem i oddaniem odkupić nędzę świata mistycznym stygmatem swego Łona, którego nadejście zwiastują komety, pożogi i krwawe pasy na niebie.

Łono Kosmosu po głębokim namyśle i skupieniu wybiera sobie dwóch najbardziej męskich mężczyzn z całego grona pokrak i niedojdów, którzy zgłaszają się na ochotnika. Dwóch — gdyż dwoista jest jego natura, albowiem służy zarówno rozkoszy jak i płodzeniu. Dwoista jest także sama istota kobiecości, łącząca w sobie przyjemne z pożytecznym. Jeżeli już zdecydowała się na pewną przyjemność, chce wynieść z niej jakiś pożytek, a niestety, pojedynczy okaz męski nie jest w stanie zadowolić jej pod każdym względem. Jeżeli już tłucze aż miło popatrzeć, to znowu nic mu się nie chce robić w domu. Najchętniej spałby cały dzień na kanapie i czekał aż mu się żarcie podstawi pod nos. Drugi znowu sumienny i zapobiegliwy niczym stara panna ma kuśkę do niczego, a przy tym malutką i jeśli mu już raz na miesiąc kogutek zapieje, uważa, że o tym fakcie powinny rozpisywać się wszystkie gazety.

Podczas jej przemowy czuliśmy jak opuszczają nas męskie siły. Członki marszczyły się, więdły i kurczyły, smętnie spoczywając na dywanie, a nas samych zaczęła powoli ogarniać taka senność, że nie mogliśmy nawet otworzyć oczu, z trudem utrzymując się w pozycji siedzącej. Nakryliśmy dłońmi nasze przyrodzenia i kiwając się u ogniska udawaliśmy, że wsłuchujemy się w soczysty alt jej głosu, gubiąc po drodze słowa i sens jej wypowiedzi. Zdaje się, że zdrzemnęliśmy się nieco, gdy poderwało nas trzykrotne klaśnięcie w dłonie.

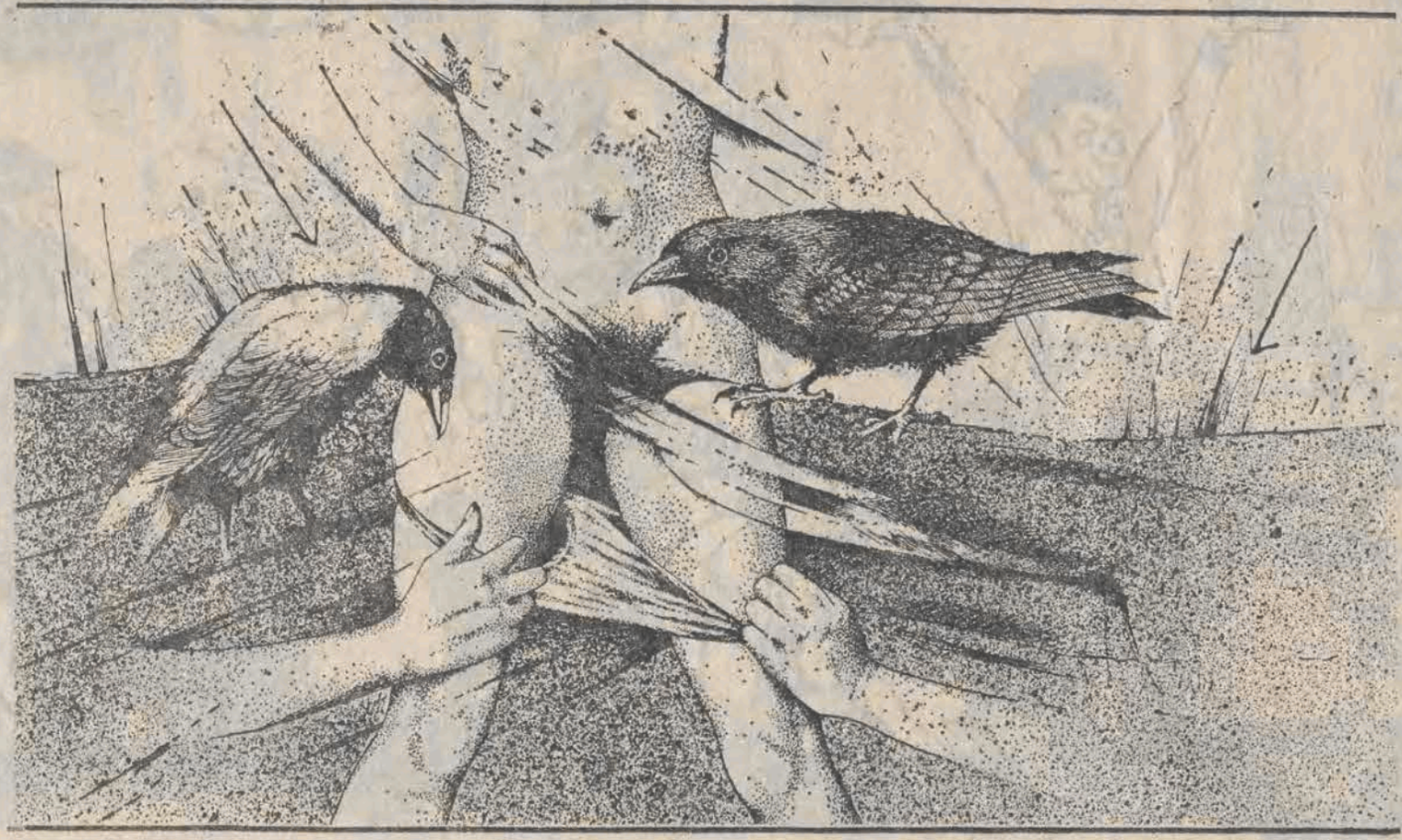

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Atanie, zawołała Lota, możesz już wprowadzić młodzież. Tylko powoli, dwójkami i żeby nie rozłazili mi się po całym namiocie. Niech staną wokół ogniska, a ja przemówię do nich, przygotowując ich na tę niezwykłą chwilę.

Wycieczka szkolna z Sodomy, oznajmił Atan. Wyłącznie prymusi wybrani ze szkół całego miasta. Wszyscy celujący z deprawacji. Młodzież dorodna, zdrowa i świadoma.

W ciągu kilku minut cały obszerny namiot wypełnił się dziewczętami w granatowych spodniczkach i białych bluzkach oraz chłopcami w ciemnoszarych mundurkach. Stanęli w milczeniu wokół ogniska przypatrując się nam i Locie. Na szczęście Atan, który ustawiał dzieci w ciasne półkola, dostrzegł ogarniającą nas niemoc i stwierdził, że musimy się jeszcze udać za potrzebą.

To dobrze się składa, rzekła Lota, wstając z poduszek. Tymczasem przepytam młodzież z bezeceństw i sprośności. Mała powtórka nigdy nie zaszkodzi. Repetitio mater studiorum est.

Atan nie posiadając się ze wściekłości wypchnął nas z namiotu.

Chcecie, żebym was tu na miejscu wykastrował, syknął przez zaciśnięte zęby. Taka jest wdzięczność ludzka! Zdechlibyście na tej pustyni, gdyby nie moja pomoc, a teraz tak mi się odpłacacie. Ładna mi wdzięczność, nie ma co. Jazda, pijcie, rzekł, wręczając nam dwie pełne butelki. I to szybko! Jeżeli nie spełnicie swych męskich powinności, Lota każe przerobić was na kobiety

Piliśmy piekący płyn, czując, że za chwilę nasze wnętrzności staną w ogniu, podczas gdy on potrząsał naszymi członkami, przywracając je do stanu gotowości.

No, udało się powiedział, ocierając zroszone potem czoło, ale nie wiem, czy za trzecim razem nie stracę cierpliwości.

Odrzuciliśmy butelki i Atan wepchnął nas do namiotu.

Co tak długo, zawołała Lota. Linę połknęli?

Zebrana młodzież zaśmiała się, powtarzając z ust do ust jej słowa.

Nacierałem im oliwą, bo strasznie zatarli się po drodze, odparł Atan, na co dziewczęta i chłopcy ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Dobrze już, dobrze, powiedziała Lota, uspokójcie się. Chciałam wam dzisiaj pokazać prawdziwych mężczyzn oraz przeprowadzić praktyczny sprawdzian z ich użyteczności. To są właśnie te ich słynne członki. Niech każde z was pomaca się, czy ma coś takiego. Nie ma, prawda... A oni mają. I na tym polega ich niezaprzeczalna, chociaż na kruchych podstawach oparta, wartość. Albowiem taki członek może w każdej chwili opaść, mówiła, kręcąc naszymi penisami na wszystkie strony, i wówczas nawet najprawdziwszy, najbardziej męski mężczyzna jest gówno warty i nadaje się tylko do wyrzucenia go na śmietnik.

Młodzież zaczęła szeptać między sobą, gdyż pomimo wzmożonych wysiłków Loty nasze członki zaczęły ponownie wiotczeć.

Będziecie tutaj świadkami uroczystości zaślubin, mówiła dalej, gdy nagle zorientowała się, że coś jest z nami nie w porządku.

Atanie, wrzasnęła, co mi tutaj przyprowadziłeś?! Impotencję?!

Ależ Loto, zapewniam cię, że to tylko chwilowa niedyspozycja, rzekł nasz towarzysz podróży, wywlekając nas z namiotu. Za chwilę będą jak trzeba.

Nie żałuj im wódki, krzyknęła za nami Lota, a jakby co, to postrasz tasakiem.

Co za bezczelność, rzekł Atan, rzucając nas na piach. Jego gęsto porośnięta czarnymi włosami pierś dyszała gniewem, a złoty członek aż trząsł się ze złości. Co za świnie, co za wstrętne świnie! I to nazywa się podziękowanie za to wszystko, co dla was zrobiłem.

Czy nie chciałbyś... uwolnić się od niej, zagadnął go Laurenty. Chyba nie płaci ci zbyt dużo. A poza tym, ma chyba szalone wymagania.

Oj, ma, ma, ale uwolnić? Ja?! Tylko proszę bez przekupstwa.

Mógłbyś uciec z nami, rzekł Sylwester. Widzimy, że traktuje cię jak ostatnie pomiotło, a ty, taki męski mężczyzna, poddajesz się jej kaprysom.

Szantażuje mnie skoro świt, odparł Atan, ale zawdzięczam jej to — chwycił się ręką za złoty fallus — lecz poza tym... Nie, nie, nie kuście mnie, nie mogę jej tak zostawić. Z czego będę żył?

Będziemy obwozić cię po miastach i pokazywać, rzekł Laurenty. Wyobraź sobie te kolejki kobiet spragnionych obcowania z tobą. Zarobimy na tym masę pieniędzy. Sylwester będzie siedział w kasie, a ja w szatni. Twoja niezwykle męska męskość rozkwitłaby wtedy w całej krasie, a ze złota które byśmy zarobili, moglibyśmy odlać o wiele większy członek, ozdabiając go na czubku prawdziwym brylantem.

I rubinki po bokach, spytał Atan.

Rubinki także, odparł Laurenty.

I jądra miałbym z prawdziwych pereł wielkości kurzych jaj?

Z jak najprawdziwszych, odparł Sylwester.

I owłosienie z norek?

Oczywiście. Norki, złoto i rubiny wspaniale się komponują, odrzekliśmy obaj.

Zgoda, rzekł Atan. Chwycił nasze zwiędłe członki i położył na swoim. Przysięgacie, że mnie nie wykiwacie.

Przysięgamy, odrzekliśmy zgodnie.

W porządku. Chciałbym jednak odzyskać mojego kruka.

Nic prostszego, rzekł Leurenty. Wejdziemy tam i udamy, że zabieramy się do rzeczy, a ty tymczasem, kryjąc się za młodzieżą, wyciągniesz ptaka z klatki.

Atanie, usłyszeliśmy głos Loty, czemu tak długo? Strasznie jestem napalona na tych chłopów.

Już idą, Loto, już idą, odkrzyknął Atan, wręczając nam po butelce wódki. Próbuję tylko ich sprężystości. Nie chcę, żeby cię znowu zawiedli. Pijcie szybko, ponaglał nas, bo za parę minut wycieczka tych bękartów jedzie w dalszą drogę.

Wypiliśmy po flaszce wódki krztusząc się i dławiąc piekącym alkoholem, nasze członki ponownie wyprężyły się i wkroczyliśmy do namiotu.

Bierzcie się wreszcie do roboty, bo młodzież się niecierpliwi, zawołała Lota, układając się bokiem na poduszkach. Obaj jednocześnie, potem się zamienicie. Tylko solidnie i z odpowiedzialnością, bo dzieci na was patrzą, a niewinne oczy dziecka od razu wykryją najmniejszy fałsz w tym koncercie na dwa instrumenty rżnięte i jeden dmuchany.

Ułożyliśmy się z dwu stron obok niej i udawaliśmy, że nie możemy znaleźć naturalnych otworów jej ciała, gdy trzykrotnie rozległ się klakson samochodowy.

Jedziemy dalej. Już jedziemy, wrzasnęła zebrana młodzież, rzucając się do wyjścia z namiotu, mimo nawoływań Loty, aby jeszcze chwilę poczekali.

Przeklęte bachory, krzyknęła za nimi. Człowiek poświęca im najlepsze lata swego życia, a one tak się odpłacają. Ohyda i skaranie boskie!

Kiedy to mówiła, Atan, czołgając się po dywanie, kierował się w stronę klatki z krukiem.

Pieprzycie mnie wreszcie, czy nie, huknęła na nas, bo wszystko wam pourzynam i rzucę psom na pożarcie!

Przycisnęliśmy się do niej, czując łapczywe ssanie jej otworów, które zaczęły wciągać nasze członki do jej wnętrza, gdy rozległo się przeraźliwe krakanie kruka, wyciąganego z klatki przez Atana.

Lota momentalnie wyzwoliła się z naszych objęć i rzuciła w jego kierunku. Laurenty chwycił wagę. A Sylwester trójząb. Laurenty uderzył ją szalką w głowę, a ona osuwając się, złapała dłonią złoty członek Atana. Atan szarpnął się do tyłu. Kruk wyrwał się z jego rąk i wyleciał z namiotu, a złoty członek został w dłoni Loty, która rzuciła go w ogień. Atan pochylił się chcąc uratować fallus, lecz trójząb, trzymany przez Sylwestra, wbił mu się prosto w płuco. Padł na bezwładnie leżącą Lotę, a my wybiegliśmy z namiotu, podczas gdy złota kałuża rozpływała się w żarze ogniska.

Kruk czekał na nas, siedząc na stosie pustych butelek. Trzymał w dziobie purpurowy płaszcz, lecz gdy chcieliśmy mu go zabrać, rozpostarł skrzydła i odfrunął, wlokąc za sobą łopoczącą plamę czerwieni niknącą w bezmiarze rozpalonego nieba. Pobiegliśmy kilka kroków za nim, lecz nieprzytomni od nadmiaru wypitego alkoholu, padliśmy w piach, wbijając w jego rozpaloną sypkość nasze wyprężone aż do bólu, członki. Za nami szumiał ogień płonącego namiotu.

■

Z zasady nie pisuję wprowadzeń do drukowanych w „Odgłosach" wierszy, nawet gdy są to teksty debiutantów. Wychodzę z założenia, że wiersz powinien bronić się sam i nie są mu potrzebne żadne podpórki. Dziś robię wyjątek, bo i okoliczności są nieodzienne. Zofia Łuczak, autorka tekstów, które przedstawiam oto czytelnikom urodziła się 28 maja 1912 roku w Markach pod Warszawą. Tam też ukończyła szkołę podstawową. Potem, po przeprowadzce wraz z matką i siostrą (ojciec wyjechał do Ameryki i tam pozostał) do Łodzi, wcześnie, jako kilkunastoletnia dziewczyna rozpoczęła pracę prządki w jednej z fabryk. Pracowała w tym zawodzie z przerwami do roku 1934 (ostatnio w Przędzalni Czesankowej im. Gwardii Ludowej). Od przeszło trzydziestu lat Zofia Łuczak jest na rencie i żyje tak, jak pozwala jej comiesięczna kwota przesyłana pocztą z ZUS-u. Pisać zaczęła późno. Od kilku lat zapełnia zeszyty wierszami pisanymi dotąd dla siebie i dla bliskich. „Odgłosy" po raz pierwszy przedstawiają tę twórczość szerszym kręgom czytelników.

(GRZG.)

Zofia Łuczak

Dialog z wnukiem

Mój mało znaczący
pamiętnik
z uwagą przewertował
wnuk

nie moją domeną twórczość
więcej skromności
babciu

moje wnusiu
rajdy grotołaza
z siebie
nie na połysk
motywem
sentymenty stracha na wróble
jak Indianin
modlić się
do słońca

Malunek

Dziś sobota
więc jestem bliskie
umrzyku mój
cóż
klonu nieruchome nieruchome
liście
mimo to
wyszeptam sekret

gapcia Twoja
sobie sama
śni
poematy malowane
z głębin
duszy
serca
słowem

W spółdzielni

Dziś
niestety
porażona dżunglą barbarzyństwa
nie mogę nie umiem
przytomnie zapłacić
najprostszego rachunku
za
chude mleko
chleba połówkę
drożdży pięć deko
i naturalny miód
dziś zbiedniałam o stówkę
nie odtworzę
przegapiłam
jak
cóż mam ciągoty
do uczciwości
twoją
obnażę
twarz zza lady
za kant

Marzenie

Odkryłam antidotum
dla siebie
na kryzys
i serię egipskich plag
choć staram i brzydka
nieczęsto smażąc rybę
zbyt często zamyślam się
w wierszu na co dzień
marzenia ukoronowaniem

Przypadek

Zaskoczenie niezwykłe
podlotka śmiech z byle czego
przypadkowy
ocieplacz
staruchy niedobitka

Wielbicielka

Na co dzień
odpada totek
nie sprawy małe
umysłu
groszy
czasu
żal
przyjemniej
cichutko
cieniutko
gryzmolić
wielbić
słowo
jak milion

Ambicja

Koleżanka prządka
dorabia do emerytury
w charakterze sprzątaczki
ja z braku kondycji
zazdrości
potrzeby serca
długopis
na skrawkach papieru
szlifując
rozmyślam
czy to logiczne
czy to ekonomiczne
czy to patriotyczne

to jest ambitne

Karykatura

Na Piotrkowskiej
w salonie obuwniczym
znajomka
upolowała spod lady
tatrzanki
a ja zazdrośnica
nie będę spacerować
w zimie
ciepło wygodnie i tanio
z braku dojścia
do jego ekscelencji
zza kontuaru
powielanej karykatury
w socjalizmie

Pomylona

Dziś jak wczoraj
w nieszczęściu
szczęść sto
dom zaniedbany
jak ja
moje fascynacje naglą
i cóż
poprawnie czytam piszę
rozmyślam
a cóż dalej

Ołówek

Na Rokiciu aktualnie
u rzeźnika
należy
błyskawicznie
hamować
handlowy
ołówek

czy to się wykorzeni?

Kariera

Listonosz
automat
pukanie
szokiem
odżywa przeraża
kariera
za pięć sześćset
dobry dzień
czyj komu
dziękuję
do widzenia

W sklepie

Nie za gołe
pięć tysięcy renciny
łakoć
ni desery
dzień powszedni
beznadziejnie
szarobury
dryfujący
w nędzologię

Drwal

Na zimę
latem
na podwórku
ciap
ciap
ciap
na pieńku
pod garnek
drzewska
wyczarował
znikąd
niczyje
zapobiegliwy starzyk
czarodziej
drwal

Skarbonka

Autobus linii sześćdziesiąt jeden
aktualnie
Rokicia Starego atrakcja
kiedy zechcę
podrzuci
na Kruczkowskiego
po budujący
pocałunek
synowskiej miłości
sanktuarium
serca
rodziców
jedynaka

Credo

Na starość wygryzłam się
z chińszczyzny
z szarzyzny getta
wygryzmoliłam
zakładam
przymierzam
widzę siebie
zniewoloną
bakcylem poezji
dziś
jutro
pojutrze
wieczyście

Rakowicz

Na Dobrzańskiej
starzyk leciwy
prezentuje
ropne guzy
na nosie
egzemplarz rakowatej śmierci
żyje
bez kontaktu
z medycyną
zaśniedziały
oryginał

Osnowa

Starość nie radość
jako tako
po robociarsku
osnową tworzywem
sztuki
podwórko czynszówy
okien trzy
radio
i czarno-biały telewizor
mój mini
dołek

Prząśniczka w oknie

Byłej prząśniczki
niedziele
są jak zagipsowane
usta
chmury łabędzie
szpaki odrzutowce
gwizdy lokomotyw
wewnętrznych doznań
ściszają
kołowrotki
w oceanie chmur
zawiedzeni
odpływają
zdrajcy

Przemijanie

Na trzynastu metrach
mojej samotni
mieszkać nie umiem
ni cierpieć
nie szlocham
nie łaknąc
co kocham
nie pragnąc
błaznując rozśmieszam
sąsiadki
o sobie dumające
bazgrzę
wapniak
stękało
żelazna brama
piach i rozchodnik

Barszczowa babcia

Barszczowa babcia
choć w życiu się nie liczy
nie łamie się
kryzys jej nie zniszczy
barszczowej babci
anglika wystarczy
na tydzień
na trzy dni
pomidorówka
barszczowa babcia
wyniańczyła wnuka
technik samochodziarz
babcię barszczową
nie bawi w telewizji
jak jeden pan mówi
a panów stu
drzemie

W kruchcie

Dni moje zbyt krótkie
nie ospałe noce
doby na piechotę
drepcą
w kruchcie
nie po dary
klękam
zawiszczę babeczkom
dzieł spod igły pędzla drutów
ja pierwotniak
i słownik mój
bez precyzji

■

Najzimniejsza

Szkic do portretu Aleksandry Śląskiej

„Jej twarz — to jakby obok przeszedł Anioł.
Ta twarz potrafi
w kruchym pięknie unieść
świat grozy.
To nie jest twarz miłości —
Więcej
To jest kochanie
już za Pożegnań Bramą.
Jak ogród,
jak ogród tym wspanialszy —
Gdyby zebrano owoce".

(Zbigniew Jerzyna — „Aleksandra Śląska")

ALEKSANDRA ŚLĄSKA jest dziś jedną z legend odchodzącego już teatru, w którym wirtuozowska technika aktorki jest przyczyną jej odmienności, pozwala wyróżnić spośród innych.

Jak pisze Barbara Osterloff na łamach „Teatru": *„Spiritus movens aktorstwa Śląskiej to pasja szukania własnego wyrazu, oryginalnego i niepodobnego do żadnych innych. Świadomość aktorska zmusza ją do absolutnej samowiedzy, do absolutnego opanowania ciała i głosu".*

Z biegiem lat i ról cechy kreowanych przez Śląską postaci zaczęły stwarzać ją samą. Szczególnie w sterotypowej opinii.

„Śląska ma warunki heroiny dziewiętnastego wieku, a umysłowość kobiety współczesnej. W teatrze stała się symbolem nie „wiecznej kobiecości", ale kobiety naszych dni i lat" — pisała Krystyna Kostaszuk w „Scenie". A Henryk Rogacki na tych łamach uzupełnił: *„Nadzwyczajna, inna, niepokojąca w aurze zwyczajności w świecie niezwyczajnym".*

W 1979 roku chciałem poznać Aleksandrę Śląską, spotykając ją w Łodzi, w której zadomowiła się na długo z okazji kręcenia serialu TV o królowej Bonie. Kiedy zatelefonowałem do aktorki po raz pierwszy i zaproponowałem rozmowę o filmowym rozdziale jej kariery dla tygodnika „Film" — chętnie się zgodziła, prosząc abym przed spotkaniem przedyktował przez telefon kilka pytań, do odpowiedzi na które chciałaby się przygotować... na piśmie. Nie przypuszczałem wtedy, że do osobistego spotkania z Aleksandrą Śląską dojdzie nieprędko, że powstanie siedem(!) wersji scenariusza rozmowy, który ona będzie studiowała długo, bardzo długo, analizując punkt po punkcie każde zdanie, każde słowo, prawie tak samo jak czyni to ze swoimi rolami, które zawsze wybiera niezwykle starannie. Śląska sięgała po wizerunki kobiet wyjątkowych, często z urazami psychicznymi oscylującymi na granicy patologii. Jej kobiet szalonych i namiętnych, a osłaniających uczucia maską opanowania i chłodu nie można objąć jednym uniwersalnym mianem. Jest w tym niewątpliwie zwycięstwo aktorki, o której wiadomo, iż może zagrać każdą kobietę wyjątkową, jaka się jej tylko zamarzy. Jaka jest prywatnie, czy równie niezwykła i intrygująca jak jej sceniczne, filmowe, telewizyjne, radiowe postacie?

Do spotkania doszło w półtora roku po pierwszym telefonie. Aleksandra Śląska przyjęła mnie w swoim salonie, umeblowanym w ciężkie meble, oprawione surowo, całość mieszkania sprawiała wrażenie zimnego, smutnego, wyciszonego do maksimum.

— ***Pozwoli pan, że dzisiaj zajmiemy się analizą pytań pod kątem mojego spojrzenia na to, co pan chciałby o mnie wiedzieć i jaką chciał zaprezentować czytelnikom, co sam czytelnik mógłby sobie wyobrazić Dzisiaj nie będę jeszcze odpowiadała na te pytania, zostawi pan kopię i przygotuję się do nich na piśmie, zresztą na część pytań z poprzednich wersji „ringu" dla tygodnika „ITD" mam już zrobione dokładne notatki, a więc zbliżamy się do finału.***

— Nareszcie, bo tak długo trwało.

— *Ale za to jaki ciekawy może być efekt końcowy.*

— Na ekrany TV wchodzi serial TV „Królowa Bona" i teraz ludzie będą o pani mówili: „To ta straszna Bona". Bo ze źródeł historycznych wiadomo, że nie była to osoba zbyt miła, zgodna, dobrotliwa, cicha i skromna. Masowy odbiorca seriali TV lubi przede wszystkim postacie pozytywne. Jak więc to będzie w przypadku zaborczej i chciwej Bony?

— *Dobrze, odpowiem na to pytanie i może ono pozostać w tej formie.*

— Z ekranową Boną zapoznajemy się, gdy jest 25-letnią dziewczyną. Pani jest znacznie starsza. I jeżeli zależało jej na wiarygodności postaci musiała przejść ogromną metamorfozę, aby młodą księżniczkę Bonę uczynić żywą i prawdziwą. Jak pani to osiągnęła?

— *Dobrze, proszę pytać dalej...*

— Pisze K. Kostaszuk: *„Aleksandra Śląska zbliża do ekranu twarz starzejącej się królowej Bony. Z determinacją i odwagą pokazuje zgrubienie rysów i zmarszczki. Zdradza swoją bezsilność wobec lat, ambitnych planów i jałowej literatury serialu. Przez wizerunek 60-letniej Bony przenika twarz.. „jak z białego marmuru", przywołując wspomnienie kreacji i ról Śląskiej — Amelii w „Mazepie", Lisel w „Niemcach", Matki Joanny w „Demonach", Arkadiny w „Mewie".* Czuje się pani jeszcze młodą?

— ...

— **Gdzieś tam były zapewne obciążenia psychiczne, że nie wystarczy przecież odpowiednia charakteryzacja i technika aktorska?**

— ...

— **Bona to postać kontrowersyjna. Dla pani również?**

— ***To pytanie proszę skreślić.***

— **W ostatecznym rozrachunku Bona przegrywa.** Pani to akcentuje i pokazuje, czy też tuszuje i historycznie kłamie?

— ...

— **Podobno nie lubi pani przegrywać?**

— ...

— **A podpisując w 1975 roku listę konstytucyjną liczyła na wygraną?**

— ...

— Przestała pani pokazywać się w TV, grać w filmie, nawet w radiu pani nie było. Dlaczego?

— ...

— **Za to w teatrze, kierowanym przez swego męża, zagrała pani najwspanialsze role kobiece.** I słusznie, że to pani grała, bo jest wielką aktorką. Mnie nie interesuje ilość tych ról, lecz zainteresowania pani do zadań karkołomnych i niezwykłych. Nie bała się pani anomalii i brzydoty swoich scenicznych postaci?

— ...

— **Stwierdzono u pani predylekcje do ról życiowych bankrutek i histeryczek.** Czyżby były one wrodzone?

— *Proszę dodać, że „także" predylekcje do...*

— **Jakie rasowe były te wszystkie pani Niemki: Lisel, Ruth z „Niemców", te funkcjonariuszki SS z filmów „Ostatni etap", „Pasażerka".** Zastanawiałem się na czym to polega?

— ...

Mówi Aleksandra Śląska w wywiadzie „Ślad znaczony dziś" (Scena"):

— *„Na rezultat pracy aktora — najogólniej rzecz ujmując — składa się konglomerat różnorodnych cech: autora, reżysera, aktora. Cech aktora jako interpretatora postaci, w miarę możliwości pogłębiającego i poszerzającego wiedzę zaczerpniętą z utworu. Cech aktora jako człowieka o pewnej osobowości, określonych warunkach zewnętrznych i wewnętrznych. Wreszcie cech publiczności mającej tak ogromny wpływ na twórczość aktorską. Im zespół tych wszystkich cech jest bardziej złożony, im ciekawszy, tym lepsze stają się rezultaty pracy aktorskiej. Praca nasza polega na ciągłym przenikaniu naszych cech indywidualnych i cech kreowanych postaci. Jest to proces nieustającej zmienności i przemijania".*

Mówi Aleksandra Śląska w wywiadzie przeprowadzonym przez Marię Czanerle, a umieszczonym w książce „Panie i panowie teatru":

— *„Pytano mnie nieraz, dlaczego ciągle gram Niemki... Myślę, że jesteśmy na te role szczególnie uwrażliwieni, przecież także autorzy sztuk i scenariuszy filmowych stworzyli dla nas te postacie. W „Pasażerce" i w „Ostatnim etapie" grałam role dwóch esesmanek, było to coś całkiem nowego w dramacie i literaturze, nie mieliśmy do tej pory takiego prototypu, dopiero przeżycia wojenne dały nam okazję i wzory do ukazania tych postaci w ich historycznej funkcji...".*

— Potrafi pani być również „słodką kobietką" jak np. Jenny w sztuce Albego „Wszystko o ogrodzie", uprawiającą najstarszy proceder świata (z chciwości). A gdzie się podziała etyka i moralność?

— *To pytanie dotyczy zakresu emploi, jego podstawowych elementów, proszę to zanotować na marginesie.*

„Słodka kobietka Śląskiej nie miała tym razem żadnych już hamulców moralnych. Uprawiała najstarszy proceder świata — pozostając idealną żoną i matką — nie z biedy jednak, lecz z chciwości. Etyka i moralność były dla niej abstrakcją, co aktorka wykorzystała do finezyjnej analizy, rozbrajająco naiwnej w rozumowaniu Jenny".

Mówi Aleksandra Śląska („Scena"):

— *„Jeżeli w odbiorze widzów istnieje chęć kwalifikowania aktora do pewnych ról, to w aktorze powinna istnieć chęć przełamania tego typu określeń. Wcale nie chciałabym przyzwyczajać widzów do takiej wygody. Różnorodne role uczą nas przystosowania, pewnej giętkości, rozwijają nasze rzemiosło. Zmuszają do stałego poszukiwania nowych środków, a poszukiwanie to przecież istota naszego zawodu".*

Mówi Aleksandra Śląska („Panie i panowie teatru"):

— *„Moja Jenny dźwiga problem moralny, moim zdaniem chyba istotny — czy można i jakim sposobem w zgodzie z własną moralnością doścignąć, bez szkody dla innych, standard życiowy społeczeństwa, żyć tak, jak żyją inni i pozostać uczciwą kobietą? Bo autor pokazuje w tej sztuce, jak stosunki społeczne robią z człowieka potwora. Komediowe potraktowanie nie łagodzi tu chyba problemu".*

— Z biegiem lat pokazywała się pani coraz mniej na filmowym ekranie. Czy tylko dlatego, że nie znajdowała interesujących ról w polskim filmie?

— ...

Pisze Maria Czanerle: *„Bo Śląska nie grywa byle czego. Preferuje problemy i rzemiosło".*

— Reżyser Jan Rybkowski odkrył w pani cechy strasznej mieszczki Dulskiej i zaproponował tytułową rolę w filmie „Moralność Pani Dulskiej". Podobno bardzo się pani na niego obraziła?

— *Proszę skreślić „obraziła" i napisać „ale Dulskiej pani nie zagrała".*

— Nie przyjmowała pani rodzimych propozycji filmowych, ale rolę w zachodnioniemieckim filmie przyjęła i zagrała. Dla pieniędzy?

— *Proszę skreślić to pytanie.*

— **Nie lubi pani fotografów i fotoreporterów** (poza Zofią Nasierowską) i wiem, że na niepozowane zdjęcia fotoreportera „Filmu" na planie reagowała bardzo niespokojnie...

— *Proszę skreślić to pytanie.*

— Krytyk teatralny napisał że: *„Śląska jest aktorką piekielnej odwagi, która nie waha się zrezygnować z urody, jeżeli wymaga tego rola".* Czyżby? Nie wierzę w te słowa.

Mówi Aleksandra Śląska („Panie i panowie teatru"):

— *„Nie znoszę zimnego oczka i wyraźnej przegródeczki, którymi nas mierzą i taksują czcigodni rzeczoznawcy. Jeżeli chodzi o ludzi, którzy mają do czynienia z aktorami, to żądałabym od nich... miłości".*

„Najzimniejsza z aktorek domaga się uczuć najgorętszych. I słusznie" — uzupełnia tę wypowiedź Maria Czanerle.

— *„Śląska może zagrać każdą wyjątkową kobietę, jaka jej się tylko zamarzy".* Czy będąc żoną dyrektora teatru ma pani coś ułatwione, załatwione, tak jak inne aktorki-dyrektorowe?

— *Proszę skreślić to pytanie.*

— I została pani reżyserem w swoim teatrze („Rozmowa w domu państwa Stein o nieobecnym panu von Goethe"). Ta decyzja reżyserowania samej siebie wymagała chyba niemałej odwagi?

Mówi Aleksandra Śląska:

— *W czasie emancypacji skończyło się kobiece gwiazdorstwo i kobieta jako heroina wyparowała z dramatu... I to jest właśnie paradoks, bo dopóki kobieta była domową kurą, to zasługiwała na dramaty, zaś odkąd w życiu zaczęła grać „role" przestała je grać w teatrze".*

Pisze Henryk Rogowski omawiając rolę Charlotty:

„Na dobrą sprawę bawi się tym wszystkim i bawi się szampańsko swoją własną grą. Potrzebuje rzucić sobie do stóp pana von Stein. O wynik gry jest spokojna. Rozkoszuje się jej przebiegiem".

Pisze Barbara Osterloff:

„Śląska podjęła się reżyserii i zagrania jedynej roli. Wyczyn karkołomny. Nietrudno zrozumieć tę decyzję, bo skala trudności tekstu godna była jej talentu, a portret Charlotty — jakby dla niej stworzony. Monodram Hacksa skusił zapewne Śląską nie tylko możliwością popisu aktorstwa, lecz również stworzenia teatru wedle oryginalnych reguł. Pozostawił artystce wielką swobodę. Umiała z niej skorzystać".

— **Reżyserować samą siebie** to bardzo trudne zadanie, czy nie było innej kandydatki do roli Charlotty von Stein?

— *Proszę skreślić to pytanie.*

— Koledzy—aktorzy z teatru „Ateneum" uskarżali się, że przez trzy miesiące zajmowała pani dużą scenę na próby jednoosobowego spektaklu uniemożliwiając im próby do innych przedstawień?

— ...

— **Znam jeszcze inną skargę na panią.** Otóż pewna zdolna studentka warszawskiej PWST użalała się, że nie dawała jej pani szans na własną interpretację etiudy, bo chciała, aby zademonstrowała ją dokładnie tak, jak to pokazała pani profesor Śląska. Czy pamięta pani ten incydent?

— ***Ciekawa jestem, którą to studentkę ma pan na myśli?***

— **Ale sama wciąż szuka pani nowych inspiracji, nowych środków wyrazu?**

Mówi Aleksandra Śląska („Ślad znaczony dziś" — „Scena"):

— *„Gdybyśmy potrafili odpowiedzieć na pytanie, co to jest talent, nie musielibyśmy wikłać się w ocenę składającą się na niego drobnych elementów. Uniknęlibyśmy też wielu tragicznych pomyłek. Ponieważ jednak nie umiemy zdefiniować talentu, mówimy o rzemiośle aktorskim, o technice, o intelekcie i intuicji. W początkowej fazie pracy nad rolą aktor intelektualnie opanowuje materiał. Później często odwołuje się do intuicji. Intuicja naprowadza go na właściwe ujęcie, odpowiedni środek wyrazu. Niekiedy jakiś wybór podyktowany intuicją wydaje się niesłuszny, z punktu widzenia logiki, ale wykonawca pociągnięty wewnętrznym przekonaniem poddaje się mu i po jakimś czasie stwierdza, że postąpił słusznie. Trudno być jednak bardzo ostrożnym w ocenie intuicji. Nie wszystko co intuicja dyktuje w generalnym rozrachunku okazuje się słuszne i właściwe. To sprawa delikatna".*

— **Gra pani kobiety niezwykłe, o skomplikowanej psychice.** I kto by się mógł po pani spodziewać: gdy jeszcze jako uczennica Studium Aktorskiego przy Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie grała Rózię w „Opowieści o Bartoszu Głowackim" Wandy Wasilewskiej, albo galopowała w „fornalce" archiwisty Ciuciumkiewicza w „Domu otwartym" Bałuckiego?

Mówi Aleksandra Śląska („Panie i panowie teatru"):

— *„Start miałam niezwykły. Jako uczennica szkoły dramatycznej wyszłam ze szkoły mistrzów, którzy wtedy, po wojnie, tam się właśnie zgromadzili. Od razu zostałam wciągnięta do repertuaru Teatru Słowackiego. Pamiętam jak Zelwerowicz powiedział, że w „Panu Damazym" muszę się śmiać, tak prawdziwie, zaraźliwie i głośno. Więc się śmiałam całymi dniami, lejąc rzęsiste łzy... Kto dzisiaj tak uczy zawodu, powiedzmy, nie w szkole, ale w zespole...?".*

— W filmie „Autobus odjeżdża 6.20", grając fryzjerkę, która zostaje sprzątaczką, a później z awansu spawaczem, agitowała pani polskie robotnice do wykonywania zawodów męskich. Oglądałem ten film w TV i stwierdziłem, że robiła to pani dość przekonywająco. Ciekawy jestem — czy siebie też przekonała do głoszonych haseł i ideałów?

Mówi Aleksandra Śląska („Panie i panowie teatru"):

— *„Po prostu zapalam się do roli i oddaję się jej w tym sensie, że przymierzam do każdej postaci i ją przymierzam do siebie. Myślę, że każdą rolę z dobrego repertuaru da się przypasować do spraw dzisiejszego świata".*

— Kiedyś powiedziała pani: *„Aktorstwo uważam w równym stopniu za rzemiosło jak i powołanie. I życiowe, i codzienne, coraz to poważniejsze".* Czy teraz to może pani potwierdzić?

Pisze Maria Czanerle:

— *„Zasada perfekcjonizmu dotyczy każdej dziedziny jej wielostronnej twórczości. Żądając tak wiele od siebie — żąda także od innych".*

— Najbardziej lubi pani grać hrabiny, księżne i królowe...

Pisze Krystyna Kostaszuk („Scena"):

— *„Śląska nie dlatego gra królowe, że ma królewski głos z zaśpiewem w paru rejestrach. Ani dlatego, że jej naturalna godność dobrze się prezentuje w monarszych szatach. Aktorka potrafi wielką kreację carycy Katarzyny w „Polonezie", pani życia i śmierci milionów ludzi, światowej damy nasycić ledwie uchwytnym, ale przecież wyczuwalnym zapaszkiem stajni i wojskowego garnizonu z dalekiej guberni. Czymś trywialnym i silnym. Tak jak potrafi w renesansową Bonę tchnąć prostotę powszednich zajęć i trosk".*

Aleksandra Śląska od dawna ma kłopoty z głosem, może dlatego, że posługiwała się nim zawsze szczodrze, balansując na granicy histerii, już nie krzyku lecz wrzaskliwej furii. Podczas naszych dwuletnich rozmów (z przerwami) ustalających coraz to nowe terminy spotkań, aktorka miewała niepokojące stany chrypnięcia lub w ogóle nie mogła mówić. Nie wytrzymywała trzech aktów „Poloneza" w teatrze „Ateneum" i zdarzało się, że caryca Katarzyna mówiła resztkami głosu. Od tego czasu Śląska gra mniej, nawet w rodzimym teatrze, w którym mogłaby grać najwięcej i same wspaniałe role, wybrane przez siebie.

Jej gościnne występy w „Tańcu śmierci" na scenie łódzkiego Teatru im. S. Jaracza zostały przerwane (nagła choroba Jana Świderskiego), rozmawiając z gwiazdą tuż po tym zdarzeniu zorientowałem się, że jest w fatalnej formie psychicznej (zaskoczenie chorobą partnera) i nasza rozmowa nie mogła być i tym razem sfinalizowana.

Próba szkicu do portretu Aleksandry Śląskiej jest na tyle pełna, na ile pozwalają na to zgromadzone materiały. Tak niewiele ukazało się wywiadów (dwa!) i szkiców (cztery) na temat tej wybitnej aktorki odchodzącej już, niestety, do historii polskiego aktorstwa teatralnego, przechodzącej do grona aktorskich legend. A przecież Aleksandra Śląska wciąż intryguje nie tylko wielbicieli swego oryginalnego talentu ale i tych, którzy spotykają się z jej sztuką.

Aleksandra Śląska nie chce mówić o sobie. Wydawało mi się, że sprawia to jej nie tyle trudność, co obawę, czy zostanie właściwie zrozumiana. Prywatnie woli się schować niżli odsłonić, w czym również jest mistrzynią nie lada.

Coraz mniej mamy okazji do spotkań ze sztuką aktorską Aleksandry Śląskiej. Różne są tego powody. Ale nie burzmy mitu gwiazdy.

Obecnie „najzimniejsza z aktorek" występuje w roli Raniewskiej w „Wiśniowym sadzie" Czechowa w reż. Janusza Warmińskiego na scenie Teatru „Ateneum" w Warszawie. Recenzenci piszą, że Śląska dała rolę precyzyjnie zbudowaną, przedstawienie odbierane jest z uczuciem chłodu i obojętności. Dla Aleksandry Śląskiej nie ma nic gorszego nad obojętność dla tego co robi...

BOHDAN GADOMSKI

Frank Sinatra na wszystkie sposoby próbował przeszkodzić wydaniu swej biografii, napisanej przez Ketty Kelley. Nadaremnie. Sądy oddaliły jego skargę. Cała Ameryka mogła więc czytać prawdę o jego małżeństwach, rozwodach, rozróbach i powiązaniu z mafią. Książka ta wychodzi obecnie w wersji francuskiej w „Presses de le Cité" pod tytułem „Frank Sinatra, biografia nieautoryzowana". Publikujemy za „Paris Match" fragmenty rozdziału, który opowiada o jednym z momentów najbardziej dramatycznych w życiu Sinatry. Właśnie poślubił Avę Gardner, aktorkę u szczytu sławy.

Miłość, nienawiść i marzenie

KETTY KELLEY

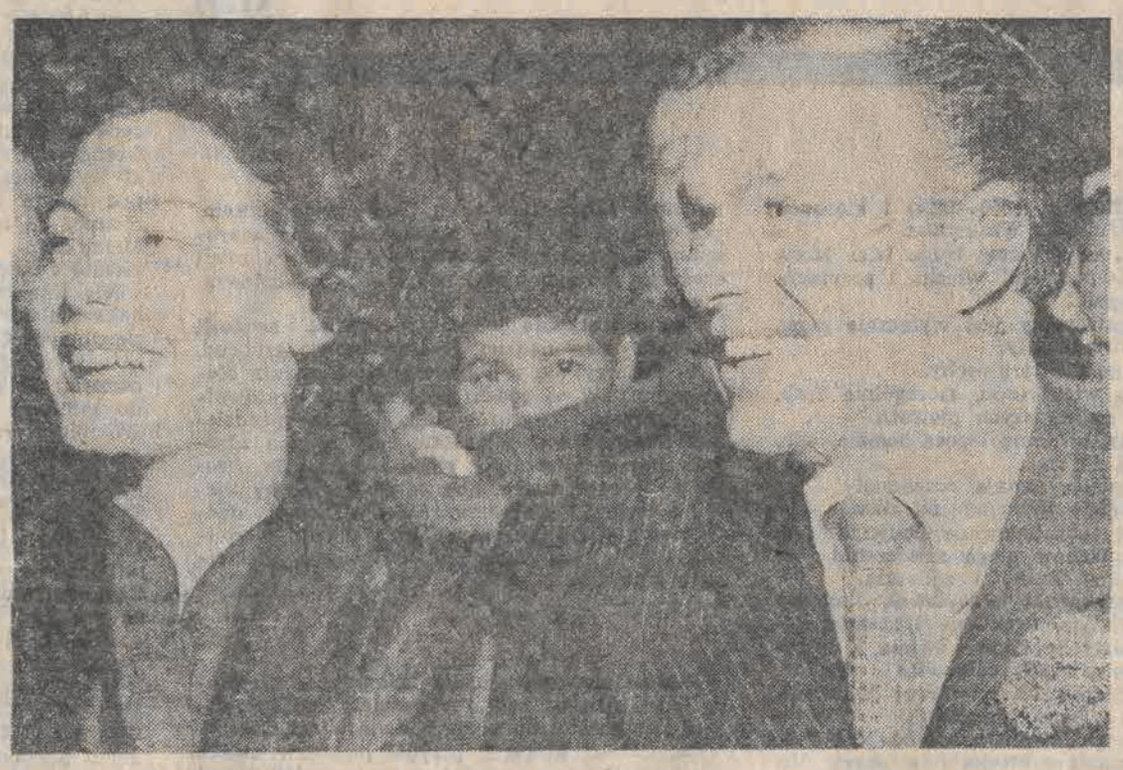

Ava Gardner i Frank Sinatra

DWANAŚCIE LAT MAŁŻEŃSTWA Z NANCY

przebiegało według tradycyjnego schematu: on przynosił pieniądze, ona prowadziła dom. Związek z Avą był zupełnie inny Kariera żony była bardziej błyskotliwa niż jego. Męska przewaga została zachwiana. Cierpiała na głębokie poczucie niepewności. *„Obawiała się, że jest niezdolną do zatrzymania przy sobie mężczyzny"* — określił to Hank Sanicola. A mimo tego mogła się czasami wydawać tak agresywną, że autor piosenek — Jimmy Van Hansen nazwał ją *„mężczyzną"* w tym stadle małżeńskim. Frank zależał finansowo od Avy, której pobory w MGM regulowały większość rachunków. Gdy wytwórnia wysłała ją do Afryki na kręcenie „Mogambo", Frank, bezczynny, towarzyszył jej nosząc walizki jak dobry mąż.

— *Ava kochała Franka, lecz nie w taki sam sposób jak on* — opowiadał Hank Samicola. — *Dwa razy towarzyszył jej do Afryki, ze szkodą dla swej kariery. Musi być kochanym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Frank już taki jest; potrzeba mu tłumu dokoła siebie.*

Ava nie rozumiała nigdy tej potrzeby ciągłego otaczania się ludźmi, w większości Włochami. Gdy ich ojcowie i wujowie zbierali się na karty, aby wymknąć się na chwilę swym żonom — Frank znajdował tam audytorium, które prawdopodobnie pomagało mu potwierdzić swą męskość. Wymówki Avy, która nie znosiła obecności jego przyjaciół, irytowały go: — *Gdy mąż przyprowadza do domu przyjaciół* — mawiał — *włoska dobra żona tylko przygotowuje spaghetti.*

— *Nie było żadnych problemów w sypialni* — opowiadała Ava. — *W łóżku rozumieliśmy się bardzo dobrze. Kłopoty zaczynały się, gdy przekraczaliśmy próg łazienki.*

— *Istniał między nimi bardzo silny pociąg fizyczny* — wyjaśniała jedna z przyjaciółek Avy. — *Lecz nie mogli porozumieć się co do reszty. Ni jedno ni drugie nie było w stanie ustąpić, chociaż Frank czynił w tym więcej wysiłków. Ava jest wielką egoistką.*

— *Problem Avy* — mówiła inna przyjaciółka — *jest taki, że jej wizja życia pochodzi bezpośrednio z ilustrowanych magazynów. Rano schodziła wesoła jak szczygiełek, wkładała plisowany fartuszek i przygotowywała śniadanie. Potem przywoływała Franka, który schodził nie ogolony, skacowany. „Chcę tylko soku pomarańczowego" — mamrotał. — I dziewięć razy na dziesięć wylewała mu go prosto w twarz.*

W pierwszym okresie ich małżeństwa Frank pozostawał prawie bez pracy. Jeszcze w 1944 roku „Paramount" był sceną jego największych tryumfów: tysiące fanów oblegało sale. Pięć lat później pustką świeciły nawet pierwsze rzędy.

CHCIAŁ MIEĆ TUZIN DZIECI

Nazajutrz po premierze filmu „Meet Danny Wilson" w „New York World Telegram and Sun" ukazał się brutalny tytuł: *„Frankie wchodzi na scenę w 42 a schodzi w 52"*. Artykuł Muriela Fischera był listem otwartym do piosenkarza:

„Przyszedłem posłuchać pana wczoraj, lecz nie poczułem tego dreszczu, jak dawniej. Siedziałem na balkonie i czułem się samotny. Sala była prawie pusta. Bileterka powiedziała mi, że na drugim balkonie jest siedemset pięćdziesiąt miejsc, w tym siedemset czterdzieści dziewięć wolnych. Potem przeszedłem do wejścia dla artystów. Oczekiwało tam z dziesięć osób. Trzy dziewczyny powtarzały stłumionym głosem: „Frankie, Frankie". Zapytałem je: „Jak znajdujecie Frankie'go?". A one odpowiedziały mi: „Frankie Laine, on jest cudowny". „I nagle, panie Sinatra, poczułem się strasznie stary".

W „Chez Paree", kabarecie w Chicago, liczącym tysiąc dwieście miejsc siedzących, Frank produkował się przed około stu pięćdziesięcioma stałymi gośćmi. Wytwórnia płyt „Columbia" nie przedłużyła mu kontraktu, a kluby fanów rozpadły się.

Tymczasem kariera Avy nabierała rozpędu. Złożyła odciski swych stóp i rąk w świeżym betonie przed teatrem Chińskim, co jest uhonorowaniem Hollywoodu zarezerwowanym dla swych największych gwiazd. A na co Frank musiał czekać jeszcze trzynaście lat. MGM zaproponowało Avie nowy kontrakt na dwanaście filmów w okresie dziesięciu lat, po sto tysięcy dolarów za film. Nalegała, aby Frank otrzymał główną rolę w co najmniej jednym z nich. Po klęsce finansowej „Meet Danny Wilson", „Uniwersal" zrezygnował ze współpracy z Frankiem.

Ava prowadziła również batalię prawną, aby zabezpieczyć się przed skutkami ciąży, która przeszkadzałaby jej w wypełnieniu zobowiązań. Oboje oznajmili już publicznie, że chcą mieć dziecko.

— *Chcę mieć tuzin dzieci* — mawiał Frank.

Ava była przekonana, że niepowodzenia jej męża były wynikiem złych stosunków z prasą. Błagała więc go, aby nie znieważał i nie bił reporterów.

— *Dziennikarze zniszczyli moje małżeństwo, moją rodzinę* — mawiał. — *Oni zmarnowali mi życie.*

W 1952 roku jego kariera była w martwym punkcie, był gotów na wszystko dla odzyskania sławy. Ava obiecała popierać go w tym przedsięwzięciu. Zerwała z MGM i towarzyszyła Frankowi w kabarecie w Honolulu. Podpisywała swe zdjęcia „Ava Sinatra".

— *Frankie jest wielkim artystą niezrozumianym* — zwierzała się Sheilah Graham, dziennikarce w Hollywood. — *Przyznaję, że ma temperament raczej żywy, lecz jeśli prasa, a w szczególności fotografowie przestaną go dręczyć, nie będzie miał tyle problemów. Wystarczy, aby jakiś dziennikarz wyciągnął coś przeciwko niemu i inni również rzucali się na niego. Wiedzą, że Frank łatwo wpada w złość, i oni z tego korzystają.*

Wiele lat później Ava zastanawiała się nad tą drogą donikąd, którą podążał jej mąż.

— *Był naprawdę postawiony pod murem w tym czasie* — mówiła w 1982 roku. — *Publiczność stroniła od niego, jego głos był drżący, agentom z największymi trudnościami udawało się otrzymać angaże w modnych kabaretach. Obecnie wydaje się to niewiarygodnym, lecz Frank musiał występować w barach, w jakich powinni występować ludzie mający mniej talentu od niego.*

Pewnego razu produkował się w „Rivierze" w New Jersey. Ava siedziała przy stoliku w pierwszym rzędzie, gdy dostrzegła wchodzącą Marylin Maxwell. Gdy Frank rozpoczął kolejną piosenkę, ubzdurała sobie, że śpiewa jedynie dla swej byłej przyjaciółki. Opuściła klub, trzaskając drzwiami i odleciała samolotem do Hollywood. Odesłała Frankowi ślubną obrączkę, z cierpkim listem. Sammy Davis Jr. spotkał Franka wałęsającego się samotnie po ulicach New Yorku.

— *Jestem w tarapatach* — powiedział Frank na ulicy w Nowym Jorku. — *Otóż to się zdarza, gdy człowiek zakocha się w amantce.*

Zwierzał się Earlowi Wilsonowi:

— ***Nie podniosłem nawet oczu na żadną dziewczynę, odkąd poznałem Avę. Zwariowałem na jej punkcie. Nie mogę uwierzyć, że między nami wszystko skończone, lecz jest to cholerny układ.***

Dziennikarzom oświadczył, że jest to jedynie banalna sprzeczka.

— ***Za kilka dni spotkam się z żoną w Hollywood. Wszystko się ułoży.***

Spotkał się rzeczywiście.

WYMARZONA ROLA

Frank i Ava ogłosili o swym wyjeździe do Nairobi, gdzie aktorka miała grać u boku Clarka Gable w „Mogambo". Frank pozostający bez angażu, zgodził się towarzyszyć swojej żonie, ale zostawił polecenie swym agentom, by powiadomili go, gdy rozpocznie się obsadzenie ról w filmie „Stąd do wieczności", który zamierzała kręcić „Columbia". Frank czytał powieść Jamesa Jonesa — *„powieść przygodową, jakie lubię"* — i bardzo chciałby się zobaczyć w drugoplanowej roli Maggio. Przed ich wyjazdem do Afryki Ava zadzwoniła do żony Harry'ego Cohna, prezydenta „Columbii". Joan Cohn leżała w łóżku z grypą, lecz Ava nalegała, by ją przyjęła.

— *Nic nie mogło jej powstrzymać* — opowiadała Joan Cohn. — *Odwiedziła mnie sama, tegoż wieczoru. Od razu uprzedziła, że Frank nigdy nie może dowiedzieć się o tym spotkaniu. Wiedziałyśmy obie, do jakiego stopnia Frank jest przewrażliwiony na tym punkcie. Zsunęła swe pantofle i położyła nogi na niskim stoliczku. Byłam zdumiona, że ma tak maleńkie stopy, jak na kobietę jej wzrostu. Promieniała pięknością, lecz nie mogłam się powstrzymać by jej nie zapytać, jak może się utrzymać na tak mikroskopijnych stopach. Zaproponowałam jej coś do picia, i ku memu wielkiemu zaskoczeniu, Ava poprosiła o wódkę.*

Popiła z kieliszka i przystąpiła do rzeczy: — Joan, przyszłam cię prosić o wielką przysługę, chciałabym, abyś nakłoniła Harry'ego, aby obsadził Franka w roli Maggio. Wziął sobie to tak do serca, że jeśli to się nie stanie, obawiam się, że może skończyć ze sobą. Bardzo proszę, obiecaj, że mi pomożesz. Zrobię wszystko, aby tak się stało. Daj mu szansę, Joan. Będzie to ostatnia próba.

Zdarzyło się po raz pierwszy, że małżonką jakiegoś gwiazdora przybyła błagać żonę dyrektora studia, i co więcej, żonę Harry'ego Cohna, który w Hollywood miał reputację najbardziej wstrętnego faceta.

— *Frank był zatem już na dnie, nikt go nie chciał, a szczególnie do tej roli* — wyjaśniała Joan Cohn. — *Frank mówił już o niej Harry'emu, lecz mój mąż wysłał go do diabła. Uważał Franka nie za piosenkarza, lecz za skończonego płaczka. Wzruszył mnie gest Avy i obiecałam jej zrobić, co będzie możliwe. Gdy tylko mogłam opuścić łóżko, zaczęłam urabiać mego męża.*

Frank utożsamiał się całkowicie z Angelo Maggio, dzielnym żołnierzem, który w przeddzień Pearl Harbor, wolał raczej umrzeć niż dać się złamać brutalności.

— *Czułem to, byłem tego pewien, miałem tym nabitą głowę* — mawiał. — *Jeśli będzie się kręcić adaptację tej książki, byłem jedynym mogącym zagrać Maggio, tego włoskiego Amerykanina, jednocześnie śmiesznego i rozgoryczonego. Miałem wrażenie, że go znam: rosłem razem z nim w Hoboken, biłem się tak jak on. Sam mógłbym być Maggio...*

Kiedy dowiedziałem się, że „Columbia" zakupiła prawa do powieści, zatelefonowałem do Harry'ego Cohna i zaprosiłem go na obiad. Po posiłku, powiedziałem mu:

— *Harry, znamy się od dawna: zrób coś dla mnie.*

Harry rzekł: — Chcesz zagrać Wszechmocnego Pana.

— *Nie, nie — odpowiedziałem — chcę zagrać Maggio.*

Spojrzał na mnie rozbawiony:

— *Słuchaj Frank, jest to rola wymagająca prawdziwej sztuki, zajęcie dla aktora teatralnego, ty jesteś jedynie cholernym rzępołą.*

Frank próżno bronił swej sprawy przez ponad godzinę. Dla Harry'ego Cohna rzecz była przesądzona.

— *Proszę cię, Harry. Zapłacę ci za tę rolę.*

— *No właśnie, Frank* — zauważył Harry, który doskonale wiedział, że jego rozmówca zalega z podatkami na sto dziewięć tysięcy dolarów. — *No właśnie.*

— *Jestem poważny, jeśli chodzi o pieniądze Harry. Posłuchaj, otrzymuję sto pięćdziesiąt tysięcy za film.*

— *Otrzymywałeś sto pięćdziesiąt tysięcy. Ale nie teraz.*

— *Tak jest, otrzymywałem... Lecz ja nie żądam tyle za Maggio.*

— *Nie jestem kupcem* — zauważył Cohn. — *Lecz, z ciekawości, podaj swą cenę.*

— *Zagram Maggio za tysiąc dolarów na tydzień.*

— *Mój Boże! Aż tak ci na tym zależy? No dobrze, zobaczymy. Mam na uwadze innych aktorów.*

Frank zadzwonił do Abe Lastfogela i Sama Weisbroda, swych nowych agentów u Williama Morrisa, i poprosił ich, aby zrobili wszystko, żeby dostał tę rolę.

— *Zagram ją za darmo, lecz potrzebuję jej* — powiedział.

— *Nazwisko Sinatra pachniało przegraną w tym czasie* — mówił Abe Lastfogel — *lecz obiecałem pomówić o nim z Fredem Zinnemanem, który był naszym klientem i który został wybrany do kierowania „Stąd do wieczności". Lecz Fred nie chciał Franka: obawiał się, że oskarżą go o wypaczenie powieści, pociągając film w kierunku musicalu. Widział w tej roli Eliego Wallacha, aktora z Broadwayu.*

Frank zadzwonił do Buddy Adlera, który produkował ten film dla Columbii.

— *Ależ Frank, jest to rola wymagająca prawdziwej sztuki.*

— *To jestem ja: Maggio, to jestem ja* — nie ustępował.

Joan Cohn skorzystała z okazji, by dotrzymać swej obietnicy.

— *Dlaczego w końcu nie Frank?* — zapytała swego męża. — *Jest Włochem, jest drobny, będzie doskonały w scenie, gdzie mały Maggio musi stawić czoła strasznemu sierżantowi „Podwójnemu grubasowi" Judsonowi.*

— *A więc ty także, co? Według mnie, to nie wyjdzie. Jednakże trzeba by go poddać małej próbie. Wiesz dobrze, że ten pan nie zechce nigdy zniżyć się do tego.*

— *Jestem przekonana, że wprost przeciwnie. Założę się o co tylko zechcesz. Niewielka próba nie zobowiązuje cię do niczego Harry. Potem, zadecydujesz jak będziesz uważał.*

Harry Cohn wezwał Franka. Uprzedził go, żeby nie robił sobie zbyt dużo złudzeń, lecz jeśli zechce poddać się testowi, Columbia może rozważyć jego kandydaturę. Frank był w siódmym niebie, oczekiwał tygodniami na nowy kontakt, lecz nadaremnie. Gdy zjawił się w wytwórni, by dowiedzieć się, co się dzieje, otrzymał odpowiedź, że nic jeszcze nie jest postanowione. A potem przeczytał w gazecie, że Harry Cohn i Fred Zinneman interesują się Eli Wallachem. W stanie rozpaczy wyjechał z Avą do Afryki.

WYPRAWA DO AFRYKI

Odlecieli do Nairobi 7 listopada 1952 roku. Pierwszą rocznicę ślubu obchodzili w samolocie, jakieś szesnaście tysięcy kilometrów od ich domu.

— *Mieliśmy nieco smutne miny* — pisał Frank w liście — *lecz wymieniliśmy prezenty, potem otworzyliśmy butelkę nieco ciepłego szampana, by wznieść toast za ten pierwszy etap.*

Frank ofiarował Avie pierścionek z diamentami, który obciążył konto jego żony. Sam otrzymał elegancki platynowy zegarek.

— *Dla mnie była to śmieszna uroczystość* — mówiła później Ava. — *Byłam już zamężna dwa razy, lecz nigdy w czasie pełnego roku.*

W Nairobi powitał ich Clark Gable i zawiózł do obozowiska w buszu. Ulokowali się w dużym namiocie, gdzie oczekiwali nań służący i nosiciele wody.

Od pierwszego dnia kręcenia „Magambo" napotykano na nie kończące się trudności: temperatura podniosła się do pięćdziesięciu pięciu stopni w nocy. Na tych wyschniętych terenach, zniszczonych słońcem, wycie hien i ryki hipopotamów nie pozwalały zasnąć ekipie. Ava, będąca w ciąży, miała straszne sny i bez przerwy robiła awantury Frankowi. On nudził się śmiertelnie. Nie czuł się dobrze w roli bezrobotnego męża gwiazdy. Myślał tylko o roli Maggio.

Pogorszyły się stosunki między Avą i Johnem Fordem, który traktował ją szorstko, zapominając o względach należnych królowej ekranu. Pewnego razu postawiła go w kłopotliwej sytuacji, gdy przedstawił ją gubernatorowi brytyjskiemu i jego żonie.

— *Ava, dlaczego nie wyjaśnisz gubernatorowi, co ci się tak podoba u tego sześćdziesięciokilowego karzełka, którego poślubiłaś?*

— *To bardzo proste* — odpowiedziała — *pięć kilo Franka i pięćdziesiąt pięć kilo seksu.*

Ford chciał ją udusić, lecz gubernator i jego żona wybuchnęli śmiechem.

Kilka epizodów w podobnym nastroju zbliżyło powoli Avę i Forda, którzy stali się wkrótce doskonałymi przyjaciółmi.

— *Była prawdziwą entuzjastką* — stwierdził John Ford — *Frank stwarzał jej ciężkie życie, a ona harowała jak gdyby nigdy nic.*

Grace Kelly, druga gwiazda tego filmu, była zaszokowana całkowitym brakiem wstydu u Avy, jej często sprośnym językiem i sposobem w jaki Frank i ona okazywali wzajemną nienawiść w obecności innych osób.

— *Ava jest źródłem nieustannych komplikacji* — pisała do jednej ze swych przyjaciółek. — *Musiano jej przygotować inny namiot, gdyż nie lubiła pierwszego, który uważała za zbyt zniszczony. Jej namiot jest tuż obok mojego i musiałam wysłuchiwać wszystkich ich kłótni.*

Pięć dni po ich przybyciu Frank otrzymał depeszę od Buddy Adlera, producenta przewidzianego do „Stąd do wieczności", wzywającą go na próbne zdjęcia. Wziął bilet na konto Avy i poleciał natychmiast do Hollywoodu.

Buddy Adler był zdziwiony, gdy zobaczył Franka po niecałych trzydziestu sześciu godzinach od swej depeszy.

— *Wręczyłem mu skrypt sceny, lecz odsunął go.*

— *Nie potrzebuję* — powiedział — *czytałem to pięćdziesiąt razy.*

— *Wiedząc, że ma niewiele szans, stwierdziłem: — Dobrze, jak chcesz.*

— *Fred Zinneman wezwał mnie: „Lepiej będzie, jak się tu zjawisz. Mam go już na taśmie. Mówię ci, że jeśli zagra podobnie w filmie, ma zapewnionego Oscara".*

Ale potrzebowaliśmy zielonego światła od Harry'ego Cohna dla obsadzenia tej roli, a Harry był w podróży. Wobec tego Frank wrócił do Afryki.

Tłumaczył:
WACŁAW L. KOBIELA

C.D.N.

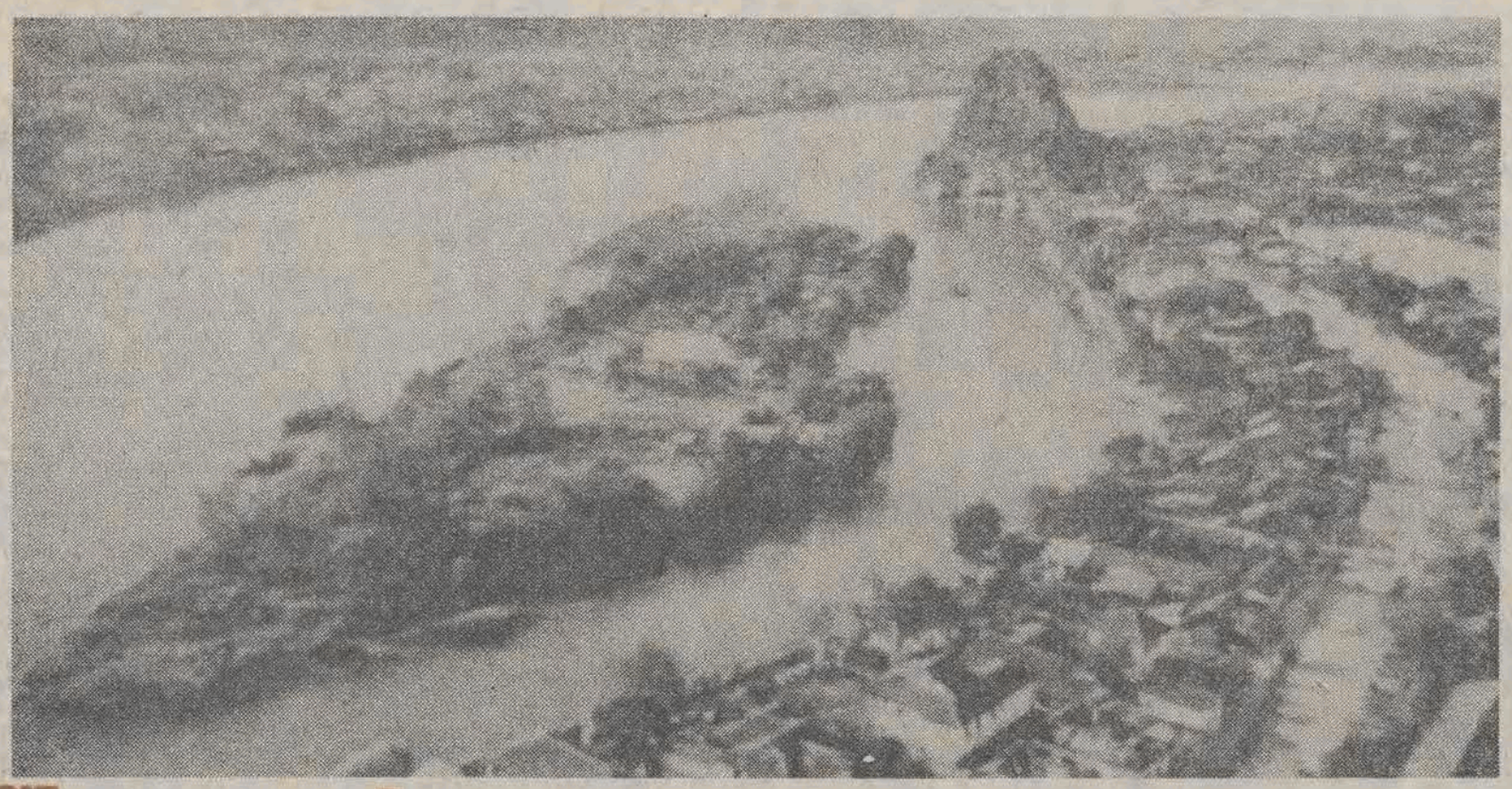

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku - zakończenie) **(15)**

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

A więc nazajutrz po apokalipsie, w piątek 20 września 1985 roku o godzinie 19.43, raz jeszcze zadrżały fundamenty pod stolicą. Znowu waliły się gmachy i domy, grzebiąc wiernych i niewiernych, bogatych i biednych, młodych i starych.

Ludzie przestali wierzyć w cuda. Meksyk musi zginąć. Rtęć w grzechomierzu dziejów przekroczyła stan krytyczny. Matka Boska poszła na spacer. Jezus Chrystus udał się z wizytą przyjaźni do innego wszechświata. Duch Święty był na urlopie, a Bóg Ojciec, jako się rzekło, chorował, bolejąc skądinąd nad upadkiem człowieczego rodu.

Ten wszelako, jak powtórzył za pisarzem reporter, da się zabić, ale nie da się pokonać.

Drugi wstrząs był słabszy.

Ludzie okrzepli w tragedii.

Akcja ratunkowa rozgorzała na nowo.

Czas biegł cichym krokiem szakala, truchtem hieny. Meksyk spędził kolejną noc w parkach i na ulicach. Naród bał się wrócić do domu albo nie miał już domu. Człowiek szukał ciepła u człowieka. Wyły poy, ujadały wozy policyjne, zawodziły karetki pogotowia. Biła w niebo łuna niedogasłych pożarów. Kobiety modliły się ramię przy ramieniu. Santa Maria, Madre de Dios, reza por nosotros pecadores ahora y en la hora de nuestra muerte, amen!'

Nazajutrz wszędzie pojawiły się trumny: ze złoconym ornamentem i mosiężnymi uchwytami oraz proste, zbite z nieheblowanych desek. Chowano indywidualnie, ale chowano również w zbiorowych, bezimiennych mogiłach. Palono zwłoki. Wyznaczono punkty, gdzie można było podjąć próbę rozpoznania zmarłych — zwożono ich między innymi do baseballowego parku sportowego ubezpieczeń społecznych. Jedni mieli szczęście i padały na nich pożegnalne łzy, drudzy opuszczali świat samotnie. Pod gruzem wciąż ważyły się losy zaginionych.

Nie wisiały nad stolicą bombowce i nie kruszyły ulic czołgi, ale Dystrykt przypominał miasto w stanie oblężenia — pisał meksykański dziennikarz.

Mówiono ze zgrozą, iż wiele budynków osunęło się tylko dlatego, iż magistrat nie wyremontował ich w porę, aczkolwiek były wytykane palcem przez laureata nagrody państwowej, inżyniera Manuela Gonzalesa Floresa. Mówiono z podziwem, że ostało się dużo wieżowców wzniesionych przez Amerykanów i Japończyków metodą antywstrząsową, z fundamentami sięgającymi trzydziestu—czterdziestu metrów w głąb ziemi i z amortyzacją wodną sprawiającą, iż z niektórych dwudziestopiętrowych kolosów nie wyleciała nawet jedna szyba. Mówiono z pogardą o mieszkańcach najbogatszej dzielnicy Lomas, której nie tknęło nieszczęście, stoi bowiem na twardym, skalistym podłożu, podczas gdy centrum leży na dnie byłego wulkanicznego jeziora i łatwiej ulega zawałom. Kiedy centrum przeżywało swoją hekatombę, panowie z Lomas kaprysili, iż brak im wody i światła, i domagali się natychmiastowej interwencji ekip technicznych.

Mówiono z nienawiścią o Meksykanach, którzy odmawiali szalejącym z rozpaczy rodakom pomocy i opuszczali stolicę. Przeklinano rabusiów, którzy korzystając z zamieszania uprawiali swój haniebny proceder na rumowiskach zawalonych sklepów i domów.

Były to jednak wyjątki. Ogół zjednoczył się i walczył z żelaznym hartem ducha o przetrwanie.

2.

Trzęsienia ziemi mierzy się w dziesięciopunktowej skali Richtera lub w dwunastopunktowej skali Mercallego. Obydwu nazwisk nie znalazłem w trzech polskich encyklopediach. Charles F. Richter, Amerykanin, urodził się w 1900 roku w Ohio i był profesorem w Sejsmologicznym Instytucie Kalifornijskim. Mercalli pochodził z Mediolanu (1850—1914) i kierował Obserwatorium Wulkanu Wezuwiusz.

Reporter La Prensy, Victor Hugo Islas Montes, odwołuje się do podziałki Włocha i przytacza ją stopień po stopniu:

1. Wstrząs rejestrowany jest wyłącznie przez specjalistyczne instrumenty.
2. Wyczuwają go niektóre osoby.
3. Odczuwa go wiele osób, szczególnie tych, które mieszkają na wyższych piętrach.
4. Prawie każdy, w domu i poza domem, wie, że ziemia zaczęła dygotać.
5. Budzą się śpiący, padają przedmioty.
6. Przerażeni ludzie wybiegają na ulice.
7. Walą się źle skonstruowane budynki.
8. Większość gmachów ulega zniszczeniu.
9. Panika totalna. Ruiny i zgliszcza.

Dramat meksykański oscylował między ósmym a dziewiątym stopniem. Dziesiąty, jedenasty i dwunasty to koniec świata z zawaleniem się mostów i gór; całkowita zagłada, piekło, które chłonie ofiary nawet wówczas, gdy znajdują się w szczerym polu.

W udzielonym niedawno wywiadzie dla Polskiego Radia Zbigniew Piecha oświadczył, iż wedle bardziej precyzyjnej skali Richtera meksykańskie trzęsienie osiągnęło 8,3 stopnia. Było więc największym tego typu dramatem obok trzęsienia ziemi w San Francisco: 8,25, Chile: 8,8 i na Alasce: 8,5.

Jednakże liczba ofiar w San Francisco, Chile i na Alasce była mniejsza niż w Dystrykcie Federalnym ze względu na niższy wskaźnik zaludnienia. Aby nie odstraszać turystów oficjalne źródła meksykańskie mówiły o dziesięciu tysiącach zabitych. Źródła nieoficjalne szacowały dramat na pięćdziesiąt tysięcy zabitych. Są tacy, co twierdzą uparcie, że było ich dużo, dużo więcej. Ciudad de Mexico, to miasto indocumentados (nigdzie nie rejestrowanych obywateli bez papierów), przybywających tu ze wszystkich zakątków kraju. Ginęli anonimowo: nikt nie wiedział o ich istnieniu, nikt ich nie szukał. Jeden z kierowców Ambasady PRL, Alejandro Santana, pracuje wieczorami w szpitalu „Adolfo Lopez Mateos". W trakcie tragedii był na posterunku. Woził zabitych i rannych. Widział na każdym kroku stosy zwłok. To, co powiedział mi opierając się na szeptanej opinii stołecznej służby zdrowia, brzmi nieprawdopodobnie i nie śmiem tego powtórzyć.

Pozostaje fakt: energia szczytowych wstrząsów jest przeszło dziesięć razy większa od energii bomby atomowej rzuconej na Hiroszimę. W Meksyku uszkodzonych zostało (padły lub nadają się tylko do rozbiórki) tysiąc wielkich budynków i kilka tysięcy domów. W substancji miejskiej Dystrykt Federalny zubożał o stukilkudziesięciotysięczną dzielnicę. Mówi się o żywiole ognia, powietrza i wody zapominając, że ziemia również potrafi być straszna.

3.

Coatlicue, Madre Tierra (Matka Ziemia), była azteckią boginią życia i śmierci. To ona w chwilach gniewu potrząsała światem. Co 52 lata (tyle liczył wiek według kalendarza Azteków) życie domagało się odnowy. Indianie zapalali wówczas ogień, padali na kolana, całowali Matkę Ziemię i błagali ją o odroczenie kataklizmu.

Coatlicue miewała humory. Potrafiła być wspaniałomyślna: kwitła, rodziła zboże i owoce, tryskała wodą, ale kiedy trapił ją głód, drżała, wypluwała lawę i pożerała wszystko z łapczywością bestii siejącej dokoła śmierć i zniszczenie.

Rzeźba Matki Coatlicue posiada wiele rąk, co świadczy, iż bogini jest bardzo potężna. Opasujący ją u podnóża, wężowaty tren uosabia rzeki i góry. Trupia czaszka stanowi symbol znany całemu światu. W relacji LOS SEPULTADOS: LOS QUE SE SALVARON (POGRZEBANI I URATOWANI) Victor Hugo Islas Montes twierdzi z całą powagą, że katastrofa z czwartku 19 września 1985 roku była niczym innym, jak okrutną zemstą La Madre Tierra na wiarołomnych potomkach Azteków, którzy mieli czelność ją zapomnieć i uchybili jej w hołdach, kiedy nadszedł po temu czas.

Bogini zostawiła jednak wielkiemu narodowi Metysów cień nadziei. Symbolem tego jest cud, jaki wydarzył się w Państwowym Centrum Medycznym. W 48 godzin po trzęsieniu ratownicy wygrzebali z gruzów tego ośrodka pięćdziesiąt noworodków. Wszystkie były żywe i zdrowe, choć wrzeszczały z głodu i oburzenia. Urodziły się raz jeszcze, aby odkupić grzechy matek i ojców, i przypomnieć im w porę o obowiązkach wobec Coatlicue, która karmi cierpliwie i poi, lecz obrażona — wybucha piekielnym gniewem.

4.

Wbrew obawom konsula Meksykanie przedłużyli mi wizę od ręki i bez opłaty. Podróżowałem autobusami po kraju. Odwiedziłem Cuernavacę, miasto, któremu przydał najpierw blasku Malcolm Lowry w swojej głośnej powieści „Pod wulkanem", a potem zdetronizowany szach Iranu, rezydujący tu w luksusowym, warownym siedliszczu.

W 1530 roku Hernano Cortes, zdobywca i władca azteckiego imperium, zbudował w Cuernavace na wieczną rzeczy pamiątkę okazały zamek z kamienia, który pozostał do dzisiaj w dobrym stanie: służy jako muzeum i galeria sztuki; jeden z obszernych, zewnętrznych tarasów przyozdobiony jest muralami sławnego Diego Rivery, na dole zaś czynna była akurat ekspozycja meksykańskiego ptactwa. Ogromny lecz wypchany orzeł, godło narodu, spoglądał na ludzi z wyrzutem. Zabrali mu niebo. Rzadko rozpościera swe potężne skrzydła nad zatrutymi smogiem miastami.

Wspomniałem już o Queretaro i Puebli, pięknych, kolonialnych, nadspodziewanie czystych miastach, gdzie czas płynie wolniej niż w zdyszanej i zagonionej stolicy, a urok ich głęboko zapada w serce. W obydwu są mundialowe stadiony, dużo kościołów i uliczki, na których rzadko tylko spotkasz turystów.

W 1979 roku odbył się w Puebli synod biskupów Ameryki Łacińskiej z udziałem Jana Pawła II. W tutejszym, jedynym zresztą teatrze występowała niegdyś znakomita polska śpiewaczka, Delfina Ambroziak.

Przesiedziałem dzień w wiosce nie opodal San Juan del Rio. Nie było tam domów, tylko ułożone z głazów mury i ulepiony z trzciny, wsparty na czterech palach daszek, pod którym Indianki smażyły na blaszanych płytach tortille. Gromada dzieciaków tapiała się w zawiesistej kałuży, którą można by od bidy nazwać stawem w krainie liliputów. W pewnej chwili, ku własnemu zaskoczeniu, chłopiec wyciągnął z bajora rybę.

Ozada wrzasnęła triumfalnie. Będzie z czego ukręcić tacos!

Wsparty plecami o mur, w szerokoskrzydłym, słomkowym kapeluszu i wygniecionych spodniach, co, wszystko razem, pozwalało traktować mnie jak ubogiego włóczykija, paliłem znakomite, polskie, wypchane od niechcenia sianem papierosy, za które ich twórca powinien dostać w mordę, a ja powinienem trafić do więzienia, i patrzyłem godzinami na dwie chude krowy, trzy wyleniałe owce i konia o tragicznie zapadniętych bokach, wokół którego zgromadzili się mężczyźni.

Dyskutowali, jak to Indianie, przy pomocy oszczędnych gestów i niewielkiej ilości słów. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Kościsty Don Kichot o miedzianej twarzy i zarzuconej na ramiona derce rozsupłał postronek, którym koń przywiązany był do belki i odjechał na oklep.

Byłem przekonany, że kupił wierzchowca, wrócił jednak kilkanaście minut później z kieszeniami wyładowanymi wódką.

Pili, każdy ze swojej butelki, i ślepili w milczeniu, każdy w swoje niebo.

Wstałem i powlokłem się do szosy.

5.

We wtorek 19 sierpnia 1986 r. przy Calle James Sullivan spotkałem znajomego pucybuta. Musiał mieć kiepski dzień (popadywało) gdy łypnął z oskomą na moje białe, skandynawskie drewniaki.

— *Lecimy?*

— Nie wygłupiaj się — powiedziałem. — Jak będę wyjeżdżał, to ci je zostawię.

— *Po co?*

— Pomalujesz sobie na czerwono.

Cisnął do góry szczotkę, złapał ją w locie i oświadczył:

— *U nas nie chodzi się w takich, panie szefie. Znalazł pan narzeczoną?*

— Znalazłem.

— *Na placu Garibaldiego?*

— Tak.

— *Wspaniale!* — Zmrużył powiekę w ów niepokojący, zagadkowy, dający wiele do myślenia sposób i mruknął: — *Po tych szczudłach wszyscy pana poznają.*

— Nie szkodzi.

— *Ano, chyba nie... Wypytywał o pana jeden gość.*

— Kiedy?

— *Dziś w południe i wczoraj wieczorem.*

— Polak?

— *Meksykanin.*

— I co mu powiedziałeś?

— *Chciałem powiedzieć, że mieszka pan w hotelu przy Serapio Rendon, ale powstrzymałem się w ostatnim momencie.*

— Czemu?

— *Żeby panu nie szkodzić. Facet ma podłą sławę. Siedział.*

— Jesteś nie tylko prawdziwym mężczyzną, chico. Jesteś przyjacielem, którego mózg pracuje we właściwym kierunku.

Był autentycznie wzruszony. Ja też. Nie wziął tym razem pieniędzy. Uścisnąłem go i pocałowałem w obydwa usmolone, wilgotne od deszczu policzki.

— Adios, amigo!

— *Que le vaya bien y cuidado con los tiburones* — odpalił. — *Adios!*

Gra z kojotem mogła mnie drogo kosztować. Zmieniłem w hotelu buty i chodziłem po ulicach ostrożnie. Byłem na kolacji u Janusza Grendysa, dyrektora wytwórni licencyjnej wódki Wyborowej, ale napiszę o tym innym razem, pod innym tytułem i w innej formie. Wrócę również do kwestii wymiany handlowej między Meksykiem a Polską, nie mieszczącej się w formułce chwytów odwetowych.

Nie interes, lecz zwykła ludzka wdzięczność nakazuje mi pochylić w zakończeniu czoło przed cierpliwym Czytelnikiem i przed osobami, dzięki którym wyjechałem do Meksyku, aby zebrać materiał do niniejszej relacji. Słowa te kieruję do ministra handlu zagranicznego, Andrzeja Wójcika, dyrektora generalnego „Metalexportu", dr Zbigniewa Pawlika, dyrektora Piotra Sagana z Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego i szefa „Odgłosów", Lucjusza Włodkowskiego.

Byłbym człowiekiem małego serca, gdybym zapomniał kiedykolwiek o życzliwości okazanej mi przez dyrektora gabinetu ministra w MHZ, Tadeusza Ruzika, rzecznika prasowego w tymże resorcie, Elżbietę Bodio oraz specjalistę od spraw handlu z Ameryką Łacińską, Krzysztofa Węgrzeckiego.

W równym stopniu zobowiązany jestem magistrowi Piotrowi Obniskiemu i pani Leonardzie Biegas z „Metalexportu" oraz warszawskim władzom prasowym, które od dawna zdają się doceniać mój nader skromny, ale niewątpliwie płodny talent.

Dziękuję wreszcie naszym dyplomotycznym i handlowym placówkom w Ciudad de Mexico, bez których pomocy ten stukilkudziesięciostronicowy tekst nigdy by się nie ukazał.

Nawiasem mówiąc: kiedy w sobotę 23 sierpnia 1986 r. opuszczałem po trzytygodniowym pobycie Dystrykt Federalny, nie czułem się osamotniony, gdyż towarzyszył mi na lotnisku „Benito Juarez", Jan Szerszeń i konsul Jerzy Kwiatkowski.

Przeszli ze mną punkty kontrolne (odprawy celnej nie było) i czekali, aż zawołają mnie na pokład. Konsul tłumaczył, gdzie powinienem stanąć w rękawie autokaru, aby znaleźć się w samolocie jako pierwszy.

Postąpiłem wedle jego wskazówek, wcześniej jednak postanowiłem wypić pożegnalną butelkę coca-coli. Ruszyłem w tym celu do barierki dzielącej pasażerów od ich przyjaciół i rodzin. Obydwie strony wymachiwały rękami i wykrzykiwały słowa, których nie sposób było zrozumieć.

Kioskarz odkapslował flaszkę, włożył do środka plastykową słomkę i podał mi jedno z drugim poprzez szklaną ścianę bariery, co zapewne było drobnym wykroczeniem, ale niech tam!

Pociągnąłem łyk paskudztwa, które nigdy nie przemawiało do moich brodawek smakowych, choć polska i meksykańska reklama twierdzą zgodnie: TO JEST TO!

Skrzywiłem się lekko.

— *Nie smakuje?* — zapytał kioskarz.

— Smakuje, ale boli mnie noga.

Uwięziony w szwedzkim trepie palec rwał jak stado dzikich koni. Oj, przydałby się tasak! — pomyślałem zapominając jednocześnie o dolegliwości, bowiem daleko, w poczekalni dworcowej, pośród tłumu tych, którzy nie mieli tego dnia odlecieć i tych, którzy niedawno przylecieli, dojrzałem znajomego kojota.

No, no! Jeszcze nigdy reportaż nie spuentował mi się tak precyzyjnie. Ale do diabła z reportażem! Jaka puenta czeka ludzi, z którymi Don Coyote peroruje na boku, łowiąc ich w swoją pajęczą sieć?

Może nie byli Polakami? Jednak ubiór i toporne zachowanie gromadki otaczającej szakala w skórzanym bezrękawniku sugerowały taką możliwość. Sugerował ją również rozkład sobotnich przylotów.

Postanowiłem zastosować chwyt odwetowy.

Oddałem nie dopitą, wciętą w talii butelkę, podszedłem do konsula i szepnąłem:

— W haliu Suwałki i Łomża! Nie wiem, może się mylę, ale wygląda na to, że czeka pana ciężki tydzień.

Na południe od Czernobyla (1)

Sześć miesięcy później

ROMAN KUBIAK

Za kwadrans samolot będzie podchodził do lądowania i znowu ktoś głośno pyta, jak tam jest. Tam, to znaczy na dole, w wielkim ponad dwumilionowym mieście w pobliżu jądrowego wulkanu. W Kijowie. Takie pytania rodzą się z potoku mocnych, szczodrze wypowiadanych słów: atomowa katastrofa, tragedia, zagłada. Wiele ich padło z głośników i pierwszych stron gazet. Takie słowa muszą budzić wyobraźnię. I lęk. Zawsze im więcej pada mocnych słów, tym mniej zostaje nadziei.

Lecimy nad Ukrainą. Wyobraźnia mimowolnie szkicuje straszliwy jej obraz: połacie skażonej ziemi, zatrute powietrze, napromieniowani ludzie, cicha bezlitosna śmierć... Nie trzeba potępiać człowieka za to, że gniecie go bagaż wyobraźni. Szczególnie na kwadrans przed dotknięciem tej nieznanej, owianej grozą ziemi. Wtedy wyobraźnia kreśli surowy obraz apokalipsy, a rozum uparcie pyta, jak tam jest naprawdę.

— *Normalnie* — odpowiada stewardesa. — *Tak samo jak w Warszawie, czy Berlinie. Normalnie żyją ludzie, pracują, chodzą na zakupy, bawią się. Daję słowo.*

Tu dziewczyna posyła delikatny uśmiech, który powinien koić lęk. Ale w tym miejscu i w tym czasie jeden uśmiech, to zbyt mało, by ostudzić emocje. Bo właśnie gdzieś pod nami, kilka tysięcy metrów niżej leży Czernobyl. Niewielkie ukraińskie miasteczko, którego nazwa od miesięcy nie schodziła z ust. Jest odmieniana we wszystkich językach świata i brzmi tak samo trwożnie. Czernobyl. Miejsce największego dramatu w dziejach jądrowej energetyki. Strefa skażeń radioaktywnych, w której nie może żyć człowiek. Gdzieś pod nami stygnie atomowy reaktor, który wymknął się spod ludzkiej kontroli. Tam trwa nieustanna walka o przyszłość pokoleń. A dalej, sto trzydzieści kilometrów na południe leży wielki Kijów. Dwa i pół miliona ludzi żyje w pobliżu wulkanu. Więc jak tam jest naprawdę.

BAGAŻOWY Z LOTNISKA BORISPOL

ma kamienną twarz. Daszek służbowej czapki kładzie cień na oczach, które niczemu się nie dziwią. Te oczy widziały już ludzi, którzy oddychali przez zmoczone chusteczki. Bojaźliwie wysiadali z samolotu i chusteczką zakrywali usta. A potem stąpali wolnym, niepewnym krokiem, jakby dotykali ciemnej strony Księżyca. Wielu w spoconych dłoniach dźwigało bagaż zapuszkowanego jedzenia. Na dziś, na jutro, na gwarancję nieskażonego przeżycia.

Cały świat mówił wtedy o strasznej radioaktywnej chmurze. O zabójczych, niewidocznych gołym okiem drobinkach jodu, cezu, strontu i plutonu, które czają się w ziemi, wodzie i powietrzu, niosąc potworną chorobę — raka. Więc żeby jakoś przetrwać, nie należy jeść sałaty, szpinaku, mięsa, nie należy pić wody, soków, mleka. Nie wolno jeść, nie wolno pić, nie wolno oddychać... Tak mówili specjaliści na wszystkich kontynentach. Teoretycy. Spekulowali, tworzyli wizje beznadziejności. I to był dramat. Bo to odkrywało jak słaby i bezbronny jest człowiek wobec jądrowego spustoszenia. Mały człowiek z tą swoją mokrą chusteczką i z tygodniowym zapasem konserw.

„Izotop jodu-131 jest aktywny przez kilka tygodni, izotop cezu przez trzydzieści lat, pluton promieniuje dwadzieścia cztery tysiące lat, izotop jodu-129 rozpada się po szesnastu milionach lat" — powtarzali fizycy.

Więc jak długo można markować oddychanie, jeść konserwy, drżeć przy każdym łyku wody...

— Jakie były pierwsze słowa tych ludzi z chusteczkami — pytam bagażowego, który niczemu się nie dziwi.

— *Czy tutaj można żyć?*

Bagażowy z lotniska Borispol opowiada o podróżnych, którzy

PRZYWOZILI WŁASNE DOZYMETRY.

Niewielkie liczniki Geigera zawieszone na piersiach. One dawały wiarę. Miały cudowną moc przekonywania, że tutaj można żyć. Ci ludzie nieśli swe dozymetry tak, jak nosi się relikwie: z namaszczeniem. Szli wsłuchani w piękną ciszę aparatów, które nie kłamią. Wtedy prosty geigerowski licznik znaczył więcej niż wszystkie mądre słowa. Bo to jest tak, że można wylać potok słów, bardzo szczerych i najbardziej prawdziwych, ale ludzi przekonują fakty. O faktach nie dyskutuje się.

Dozymetry wskazywały, że tutaj, w pobliżu atomowego wulkanu mimo wszystko jest bezpiecznie. Że nad głowami nie wisi zabójcze promieniowanie, że można oddychać. To były fakty. Jasne, jednoznaczne fakty, które pozwalają wierzyć słowom. A słowa brzmiały tak: po wybuchu w elektrowni powstała radioaktywna chmura. Wiatr wiał tę chmurę na północ, daleko, daleko od Kijowa. Dopiero po pięciu dniach wiatr zmienił kierunek, ale krater uszkodzonego reaktora już nie zionął przenikliwą śmiercią. Dlatego wielkie ukraińskie miasto, choć leżące sto trzydzieści kilometrów od piekła, mogło cieszyć się czystym niebem. W tamtych pierwszych, najcięższych i najbardziej niepewnych dniach, poziom napromieniowania kijowskiego powietrza trzydziestokrotnie przewyższał normalny stan, lecz nigdy nie przekroczył granicy bezpieczeństwa.

Obsługa międzynarodowego lotniska, to ludzie stąd. Z tej owianej grozą ziemi. Kiedy opuszcza się samolot bardzo trzeba takiego widoku. Widoku normalnych ludzi z krwi i kości. Takich, którzy nie mają w oczach lęku i nie piorunują cynicznym uśmiechem. Bo najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Ono albo prostuje plecy, albo ugina kolana. Na Borispolu, chyba jak na żadnym innym lotnisku świata, bardzo chce się zobaczyć zwyczajnych ludzi stąd. I oni są. Bez lęku w oczach i bez cynicznego uśmieszku na wargach. Nigdzie indziej nie widziałem, żeby z powodu normalnej sprawy, tak szybko kruszały lody, znikały bariery językowe i zapory obcości. Żeby obcy człowiek tak gorąco ściskał dłoń obcego człowieka.

— *Dzień dobry* — mówi przyjezdny i pilnie baczy, czy odpowiedź będzie równie piękna i czy padnie to drugie słowo.

W pierwszej powietrznej przystani na południe od Czernobyla zadaje się tysiące pytań. To są pytania zasadnicze. Nie ma w nich miejsca na pustą kurtuazję i kwieciste zwroty. Bo to są pytania o życie. Obsługa lotniska Borispol musi odpowiadać na te tysiące pytań. Mechanik i celnik, bagażowy i bufetowa, dyspozytor i kasjerka — wszyscy ludzie stąd uczą się anielskiej cierpliwości. Powtarzają trudne terminy, nazwy i liczby, które jeszcze wczoraj były domeną naukowców:

— *Radioaktywność spada o pięć procent dziennie.*

— *Mamy do czynienia z izotopem jodu-131 o krótkim czasie połowicznego rozpadu.*

— *Nie, to nieprawda, że w powietrzu jest rozsiany radioaktywny pluton.*

— *Ryzyko? Takie samo, jakie ponosi nałogowy palacz.*

Dla tych, którzy nie ufają słowom, dyżurują stanowiska kontroli dozymetrycznej. Są na wszystkich dworcach, w hotelach, szpitalach. Każdy może tam podejść, by sprawdzić, czym oddycha, co zjada i czy nie osiadł na nim radioaktywny pył. Były takie chwile, gdy technik dozymetra znaczył więcej niż dobry lekarz. Zabijał lęk. Teraz, pół roku po czernobylskim dramacie, strach zmrużył swe wielkie oczy.

Z lotniska do miasta jedzie się szeroką arterią pośród pól i lasów. Czarna, tłusta niczym masło ziemia spoczywa w jesiennej drzemce. Próbki tej ziemi trafiały do laboratoriów i były badane podobnie wnikliwie jak żywe organizmy. Rzecz w tym, iż promieniotwórczy opad może na długie lata położyć glebę odłogiem, aby skażone pola nie rodziły skażonego zboża. Ale obecnie wiadomo już, że na południu Ukrainy ziemia jest czysta i może rodzić zdrowy chleb.

Dalej droga wiedzie przez osiedla nowego Kijowa i most na Dnieprze. Rzeką płyną pasażerskie stateczki. Biorą kurs na północ, na sztuczny zbiornik wodny nazywany „kijowskim morzem". Zalew ma ponad dziewięćset kilometrów kwadratowych powierzchni, a jego zielone brzegi jeszcze w ubiegłym roku były wspaniałym terenem rekreacyjnym dla kijowian, mieszkańców Moskwy i Leningradu. Przyjeżdżali tu całymi rodzinami, mieszkali w małych drewnianych daczach, kąpali się, łowili ryby. Tego lata malownicze brzegi „morza" były ciche i bezludne.

Z pokładu statku widać ujście rzeki Irpień. Nieco wyżej do Dniepru wpada Teterew i Prypeć. Dla Kijowa życiodajny jest Dniepr. Dorzecze Dniepru przypomina krwionośny układ, który niemal cudem uniknął zakażenia. A właściwie nie cudem, tylko heroiczną walką setek ludzi pracujących w niebywałych wręcz warunkach. Ludzi w maskach i ochronnych skafandrach, których posłaniem było ratowanie Prypeci. Bo właśnie na prawym brzegu Prypeci leży Czernobyl. Brzeg jest spadzisty i gdyby deszczowa woda spłukała radioaktywne pyły spod elektrowni, wtedy do Kijowa popłynęłaby śmiercionośna fala. Ale fala nie popłynęła. Wzdłuż brzegów zagrożonej rzeki stanęły ochronne wały z piasku, betonu i folii.

KIJÓW ODETCHNĄŁ.

Dziś jeszcze przy ujściu Prypeci laboranci analizują próbki jej wód, a główny lekarz sanitarny basenu dnieprowskiego ogłasza aktualne komunikaty: woda z Dniepru jest bezpieczna dla ludzi i zwierząt.

Jadąc ulicami Kijowa podświadomie szuka się jakichś śladów nienormalności. Czegoś, co uderzy swą odmiennością i dowiedzie, że w pobliżu atomowej katastrofy jednak żyje się inaczej. Jak? Tego nie sposób wyłożyć. Ludzkość nie doświadczyła jeszcze wypadku o podobnym charakterze. Cała podręcznikowa wiedza o radiacji nagle zetknęła się z brutalną rzeczywistością. Lekarze po raz pierwszy w życiu zobaczyli chorych z porażenim popromiennym, naukowcy porzucili gabinetowe teorie, może paru polityków otrzeźwiało z pokusy jądrowych wojen.

Więc natrętnie szuka się tych śladów nienormalności: na placach, na ulicach, w parkach. Uważnie obserwuje się przechodniów, ich twarze, ruchy, gesty. Podsłuchuje się rozmowy. O czym mówią tutejsi, czy uśmiechają się. Tak, uśmiechają się. Ulica tętni swoim rytmem, ktoś wchodzi do kawiarni, ktoś wychodzi ze sklepu. Tłum wlewa się do stacji metra, kursują cichutkie trolejbusy.

Tylko te wszędobylskie polewaczki.. Stada zielonych ciężarówek marki „Ził" z pomarańczowymi beczkami. Jadą tyralierą rzęsiście spłukując asfalt i chodniki. Jeżdżą dniem i nocą, przy pogodzie i gdy pada deszcz. Trochę wygląda to dziwacznie, kiedy sznur polewaczek w strugach deszczu mknie głównym prospektem miasta. Na ich widok karnie zastyga uliczny ruch. Piesi wchodzą do bram, samochody zjeżdżają do krawężników, tak jak ustępuje się drogi karetce pogotowia. Bo kijowskie polewaczki mają specjalną misję. Toczą bój z atomowym pyłem.

Pierwszym wrogiem rozległego miasta jest kurz. Lekarze twierdzą, że kurz to najbardziej aktywny nośnik radioaktywności. Atomowy pył, który spadł na miasto, przemieszał się z drobinkami zwykłego brudu i wiruje gdzieś w powietrzu wzniecany najlżejszym podmuchem wiatru. Przylepia się do skóry, do ubrań, zatyka nos, zgrzyta między zębami. Najtrudniej jest walczyć z takim wrogiem, którego nie widać, który nie ma zapachu, barwy ani smaku. Ludzka świadomość z trudem przyswaja fakt, że ów niewidzialny wróg czyha na każdym kroku. Nie ujawnia się, ale na pewno jest i na pewno trzeba się go strzec, by z łykiem kawy, kromką chleba, czy oddechem nie przeniknął do ciała. Bo to osłabia organizm, wywołuje infekcje, może sprowokować groźną chorobę. Dlatego z kurzem trzeba walczyć. Prostymi, najskuteczniejszymi metodami — wodą.

Po Kijowie spaceruje się mokrymi ulicami. Wodą ociekają trotuary, schody i drzewa. Woda tryska z gumowych węży, skapuje z dachów. Nocą za oknami słychać jednostajny szum. Dozorcy starannie spłukują trawniki i podwórza, polewaczki wjeżdżają na chodniki i wolno suną tocząc przed sobą falę brudu. Rankiem miasto znowu lśni bezprzykładną czystością, ale gigantyczny trud tysięcy ludzi nie ustanie tak długo, aż radioaktywny pył będzie zepchnięty z powierzchni wielkiego Kijowa.

Na ulicy Kujbyszewskiej tankują pomarańczowe cysterny. Pośpiesznie napełniają zbiorniki wodą tryskającą z rzędu wysokich kranów. Lubię obserwować to miejsce. Tutaj widać, czym dla miasta są polewaczki. Przechodnie przyjaźnie pozdrawiają kierowców, jakaś kobieta niesie im dzbanek gorącej herbaty.

Polewaczki uwijają się na Placu Zwycięstwa. Przed okrągłym gmachem cyrku i potężnym domem towarowym „Ukraina". Wszędzie tam, gdzie stąpają tysiące nóg, unosi się kurz. Do „Ukrainy" zachodzi codziennie ćwierć miliona ludzi. Pół miliona butów roznosi niewidzialny pył. Ten pył zbierają mechaniczne szczotki. Potem rusza kawalkada polewaczek. Robią rundę wokół kolosa, biorą nową porcję wody i znowu wyruszają w bój.

Na rogu ulic Darwina i Liebknechta zatrzymuje mnie starszy człowiek. Pyta, czemu nie noszę czapki.

— Przecież jesień mamy ciepłą — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— *Nie trzeba żartować* — obrusza się starszy pan. — *Z radiacją nie ma żartów. Lepiej czymś nakryć głowę — tak zalecają lekarze. To świństwo spada jak zegarowa bomba: dziś ląduje cichutko, a jutro może wybuchnąć. Czort jeden wie.*

— Lekarze mają skłonność do przesadzania...

— *A człowiek ma jedną głowę i głupio ją stracić bez walki. Jeszcze się przyda.*

Mój rozmówca głębiej nasuwa popielaty kapelusz i wolno oddala się. Popielaty kapelusz z szerokim rondem... Sądziłem, że to przejaw tutejszej mody: ci młodzi chłopcy i ci stateczni panowie w kapeluszach z szerokimi rondami, te kobiety w pastelowych czapeczkach. Myślałem, że taka moda...

Wracam do hotelu i starannie myję włosy. Czasem sugestia wyczynia z człowiekem przedziwne rzeczy. Szczególnie jeśli powodem jest coś niewidzialnego, czego nie słychać i co nie świeci. Pielęgniarka z kijowskiego szpitala opowiada, że po komunikatach o czernobylskiej awarii do lekarzy zgłaszały się tłumy. Ludzie skarżyli się na bóle głowy, kaszel, kłopoty z oddychaniem. Skrupulatnie przebadano prawie dwadzieścia tysięcy osób i u nikogo nie wykryto objawów popromiennej choroby. Tylko zwykły psychologiczny stres.

Gość z sąsiedniego pokoju wytrwale pierze ubranie, trzy razy dziennie kąpie się. Sprawdza czy pokojowa domknęła okno i czy dobrze odkurzyła dywan.

— *Niech pan nie wychodzi tak często* — ostrzega. — *Na dworze jest dziesięć razy więcej promieni.*

— Jestem tu zaledwie czwarty dzień, a ludzie w gorszych warunkach żyją od pół roku.

— *Nie wie pan, gdzie można kupić gumowce? Podobno te atomy paraliżują nogi.*

DRUGIM WROGIEM MIASTA JEST PLOTKA

Plotka mknie lotem błyskawicy i rodzi panikę. Zwykle mówi się, że w każdej plotce jest odrobina prawdy. Ale są takie dramatyczne chwile, kiedy nie miejsce i nie czas, by od prawdy odsiewać wierutny fałsz. Wtedy górę biorą emocje. W Kijowie emocje pognały ludzi ku dworcom. Jeszcze nie znano dokładnych rozmiarów jądrowej awarii, jeszcze nie wiedziano, że radioaktywna chmura oddala się od miasta, a już pierwsi szturmowali dworcowe kasy. Więc otwarto więcej kas, podstawiono więcej pociągów, samolotów i autobusów. Dla każdego, kto chciał opuścić miasto. A ludzie stali w kolejkach i słuchali komunikatów z Czernobyla. Im pilniej słuchali, tym wcześniej wracali do domów.

Bo najlepszym lekarstwem na plotkę jest informacja. Szybka, rzetelna informacja poparta świeżym obrazem. Oglądam archiwalne już relacje z tamtych kwietniowych i majowych dni. Pokazywał je telewizyjny dziennik „Wremia". To są gorące reporterskie migawki z przedpola dramatu: zniszczony budynek czwartego reaktora, helikoptery zrzucające piasek, ołów i bor, szpital, w którym przebywają ranni. Nerwowe rozmowy z ratownikami, lekarzami, świadkami wypadku. Na ekranie pojawiają się twarze naukowców. Autorytety objaśniają, co należy zrobić i jak się w tej sytuacji zachować. Czuje się powagę chwili.

Dziś, sześć miesięcy później, Czernobyl nadal nie schodzi z ekranów. Kiedy nastaje pora przekazu aktualnych wieści, pustoszeją ulice ukraińskich miast. Na szybach miarowo pulsuje blask telewizorów. Kamera pokazuje ciężkie sterowane radiem maszyny. One wykonują pracę tam, gdzie z powodu silnego promieniowania nie może wejść człowiek. Ludzie są w głębi ziemi, sześć metrów niżej. Drążą tunel pod fundamentami zniszczonego reaktora. Tym tunelem popłynie rzeka betonu. Powstanie betonowy „sarkofag", w którym na zawsze spocznie rozpruty wybuchem reaktor.

Spychacze zdejmują warstwę skażonej czernobylskiej ziemi. Ta ziemia już nigdy nie urodzi chleba. Będzie w szczelnych metalowych skrzyniach pochowana w kamiennym grobowcu.

C.D.N.

Foto: Grzegorz Galasiński

Sąsiedni magazyn z towarami przemysłowymi pod wysokim przypominającym koronę płomieniem zdawało się, rozhuśtał się i skrzypi, próbując się oderwać — i oderwać się nie może, przytrzymywany z drugiej strony wspólną ścianą do dalszych zabudowań. Do rzeczy czy od rzeczy przypomniało się Alonie, jak opowiadano, że pod Ust'-Ilimem w dół Angary podnosiły się z dna i pływały po wodzie zatopione razem z lasem wyspy, które potem bombardowano z samolotów. W najbliższym magazynie spożywczym jakieś słodkie łrukty nie paliły się, lecz świeciły — jak elektryczność. Jasne teraz było, że ani jednego magazynu już nie uratują.

Alona stała do chwili, kiedy natknął się na nią Iwan Pietrowicz. Przestraszony jej nieruchomością, gdy wokół wszystko biegało i krzyczało, podkradł się do niej cichymi krokami i zaszedł ją od przodu.

— Oj, Iwanie, no popatrz — ożywiła się nie wiedząc, co powiedzieć. — No popatrz! Pokazała na wijącą się na prawo, dość daleko, ale i tak dobrze oświetloną postać, która, zrzuciwszy kurtkę pośpiesznie coś na siebie naciągała. Był to któryś z archarowców, Iwan Pietrowicz poznawał ich po krótkich, szarpanych ruchach.

— Co to się wyrabia, Iwanie? Co się wyrabia? Wszyscy kradną. Kławka Strigunowa całe kieszenie wypchała małymi pudełeczkami. A w nich czy to jakieś żelazka, czy co inne... Pod spód kładą, za pazuchę... A butelek, co butelek...

— A ty nie próbuj czego wziąć — wymówił te słowa, żeby wypchnąć z piersi zbitą tam grudę czadu.

Nie, tu żaden stary Misza Champo nie pomoże. Champo pilnuje, żeby nie wynieśli czegoś dużego, co zwraca uwagę, a tu taka sprawa...

— No co ty, Iwan! Co ty? — bez gniewu, widząc, że on to nie na serio, zaczęła szybko gadać Alona. — A mnie to na co? Dużo ci nakradłam, odkąd żyjemy razem? Okropnie dużo?

Czort z nimi, niech się udławią.

Nie poszedł szarpać się z tą archarowską figurą.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pożar (5)

WALENTIN RASPUTIN

13.

Dwa lata temu minęło trzydzieści lat, odkąd Iwan Pietrowicz żył z Aloną. A świętowali to tak: wzięli razem urlop i objechali dorosłe dzieci, wszystkie już opuściły rodzinny dom. A wszystkich ich było — dwie córki i syn. Jechali najpierw tam, gdzie bliżej, potem coraz dalej; najpierw do córki w siedzibie rejonu, gdzie pracowała w szkole, ucząc młodsze klasy; potem do drugiej, starszej córki, do Irkucka, gdzie o mało co nie utknęli, gdy dopiero tam, w Irkucku, dowiedzieli się, że córka leży w szpitalu. Jej rodzinie dali mieszkanie w ośmiopiętrowym bloku, na samej górze, a windy nie uruchomili, no i nosząc przy przeprowadzce różne ciężkie i nieciężkie rzeczy, naderwała się tak, że zaraz po oblewaniu mieszkania znalazła się w szpitalu. W matkę się wrodziła — tak samo miary nie zna. Oczywiście, nie wypadało wyjeżdżać w takim układzie, ale Tania, miejskie dziecko, nalegała, żeby jechali. Przy tym Iwan Pietrowicz, człowiek do różnych rzeczy przywykły i wcale nie słaby, dziesięć razy przeszedłszy się na ósme piętro, gdy mu się na koniec ręce i nogi plątały, wyraźnie miał już dosyć i niejedno brzydkie słowo cisnęło mu się na usta, tak więc i on chciał wyjechać byle dalej od tych miejskich wygód, wywołujących zezwierzęcenie obywateli.

A winda, jak pisze córka, do tej pory nie działa, a nawet ktoś wpadł do szybu przez wyłamane drzwi i się zabił. Co gdzie indziej jest zabronione, w Irkucku jest dozwolone.

I tylko u syna, do którego lecieli samolotem, Iwan Pietrowicz czuł się dobrze. Syn Bor'ka czekał na nich w Chabarowsku — rosły, jak wszyscy teraz dobrze odżywiony, wydorośląły, w mundurze, podkreślającym jego męską figurę i maskującym kościstość, po matce. Nawet już nie Bor'ka, a Boris Iwanycz. Po szkole lotniczej pracował jako technik na niewielkim lotnisku, i na ziemi, co uspokajało Alonę. Tego samego dnia innym, małym samolotem przybyli tam — do ładnej i dostatniej osady, całej w zieleni i kwiatach. Prawda, czas był dobry — suchy wrzesień. Boris mieszkał oddzielnie w domu, który oddali mu teściowie, pobudowawszy się na drugiej ulicy, a przy domu był sad z drzewami owocowymi, O tym wszystkim Boris i pisał, i opowiadał, ale Iwan Pietrowicz, dopóki nie zobaczył na własne oczy, odnosił się do tego wszystkiego jak do namalowanego. Spróbował jabłka prosto z drzewa, obszedł osadę, popatrzył na twarze ludzi, nie skażone przez powszechne pijaństwo, pojechał na ryby, zdziwiwszy się, że w małej rzeczce są większe jak w Angarze, i cieszył się z Bor'ki. Wszędzie, powiadają, dobrze, gdzie nas nie ma, ale tu naprawdę było nieźle. Nie chodziło o jabłko i o ciepło, własny klimat własnym klimatem, ale życie nie było tu przygnębiające, więcej było porządku i porządek ten nie był utrzymywany krzykami i karami, ale od dawna istniejącym prawem wspólnoty. Na tym rzecz polegała. I nawet jeśli przesadzał Iwan Pietrowicz, a wydawało mu się, że wcale nie przesadzał, to i tak nie miało to porównania z Sosnowką.

Syn z synową nalegali: przeprowadźcie się. Zawtórowali im teść z teściową, Iwan Pietrowicz z Aloną pasowaliby do nich, spodobały się ich szczere charaktery. Powoli wypatrzymy dom, dobijemy targu, wielki sowchoz pod ręką, robota się znajdzie. Wy będziecie z nami, a my z wami, tak czy inaczej trzeba się do kogoś przytulić. W Sosnowce nikt was za ogon nie trzyma.

Nikt za ogon nie trzyma, a sama Sosnowka? A ziemia, której życie poświęcono? I to życie dawne, starego ładu? Zostawić to wszystko archarowcom, którzy, wracając z pracy, skręcają po drodze na cmentarz, żeby się załatwić, na czym ich przyłapał kiedyś Iwan Pietrowicz? Czy ma ktoś tu zostać na straży czy też nie? Z obcym wrogiem walczyliśmy i wytrwamy w walce; swój wróg, jak i swój złodziej, zawsze straszniejszy.

I z tym pogodził się Iwan Pietrowicz, wróciwszy od syna i wprzęgnąwszy się na powrót w niewesołe jarzmo sosnowskiego życia. Ale teraz wiedział, że nie wszędzie żyje się jednakowo i że jest gdzie zwrócić się o wsparcie. I z tym pracował, dalej obracał swój kierat zwycięzcy zawodów, chociaż o żadnych zawodach nikt nie mówił, po prostu — pracujesz albo nie, albo urodziłeś się oraczem, albo tylko gadać potrafisz. Więc wtrącał się, narażał, i serce nie raz i nie dwa skakało w piersi jak oszalałe — z jedną myślą: nie wszędzie tylko tak: mowa-trawa. I otrząsnął się z przygnębienia, i innych kształtował, kto tylko nie chciał się zeń tak samo otrząsnąć, zbudowawszy z rozpaczy ścianę, za którą... niech się co chce pali niebieskim płomieniem.

Wszystko z tą myślą.

Jednak od roku zrobiło się całkiem nie do wytrzymania — od tej pory, kiedy przyjechała i umocniła się teraźniejsza brygada archarowców. Wcześniej było tych brygad — od metra. Pomieszkają, pohałasują, pokażą miejscowym, na co ich stać — i w drogę, dalej wyzywać niespokojny swój los. I już na cmentarzu z dziesiątką ichnich grobów, co przypadkiem je tu znaleźli i przycumowali na zawsze. Różni przyjeżdżali, ale takich, jak teraźniejsi, nie było. Pojawili się tu od razu jako zorganizowana siła, ze swoimi prawami i hierarchią. Próbowano ich rozbić — nie udało się. Chciano ich wysłać na wyrąb za Angarę — nie. Zostali w centralnej składnicy manipulacyjno-spedycyjnej przy rozdziale i przewozie, gdzie potrzeba zręcznych rąk. Ale oni mieli ręce zręczne do czego innego. I tak poszło-poleciało. Wszystko dookoła zawalone drewnem, że podjechać nie można, kloce razem ze zrywkami, spala się odpady razem z dłużycą. Stoi się samochodem po pół godziny, dopóki samemu się nie pomoże w usunięciu zwału. Nie wytrzyma człowiek — nawymyśla, ale guzik z tego ma, tamci tylko się śmieją i jeszcze przygryzają, zakrzyczy potem człowiek na Borisa Timofieicza, a on dłużny nie będzie. Do pracy zaczął wyjeżdżać jak na katorgę.

To samo w osadzie. W klubie bilard na pieniądze, w sklepie dla wszystkich kolejka, dla nich — pierwszeństwo. A powiedzieć coś — odpalą tak, że przez tydzień nie można się pozbierać. Ludzie, zetknąwszy się z taką nieznaną a skonsolidowaną siłą, dla której oparciem jest nie to, co najlepsze, ale to, co najgorsze w człowieku, pogubili się i starali się trzymać od archarowców jak najdalej. Setki ludzi w osadzie, a rządzi dziesięciu — tego właśnie nie mógł zrozumieć Iwan Pietrowicz. Ale kiedy o tym rozmyślał, dochodził do wniosku, że ludzie rozeszli się do swoich spraw już wcześniej, i że archarowcy wzięli tylko to, co walało się bezpańsko. Przypuszczał, a nawet wierzył, że w obliczu jakiegoś wspólnego wielkiego nieszczęścia w archarowcach mogli obudzić się ludzie — nie są jeszcze całkiem straceni, ale przy takim rozluźnieniu, kiedy wszystko jest byle jakie, zbiera ich razem i wywyższa w rozwydrzeniu, bezrząd, który wyczuwają, zlatując się doń za wyostrzonym po zwierzęcemu węchem. Nie bez powodu tak się zadomowili w Sosnowce; w Syrnikach, gdzie mieszka syn, nie zadomowiliby się. A stąd przez rok wyjechało dwóch tylko: jeden, wyglądało, że z Kaukazu, który z początku trzymał u nich rządy, został, najwidoczniej, pokonany i wyrzucony przez nich, po czym na pierwszy plan wysunął się Saszka Dziewiąty; drugi, porżnięty w pijackiej bójce, nie wrócił po szpitalu. I jeszcze jeden, nazywał się Somow, zerwał z nimi i żył z Nadią Pocziwałową, której mąż utonął.

W grudniu jechał Iwan Pietrowicz ze spedycji do osady po pracy, gdy w połowie drogi zatrzymał go Saszka Dziewiąty, idący z kimś ze swoich. Iwan Pietrowicz zahamował. Saszka wsiadł, a ten drugi został, chociaż było jeszcze miejsce w kabinie. Przystojny był chłopak z tego Saszki — wysoki, muskularny, o gładkiej twarzy z jasnymi brwiami i rzęsami, ale tę urodę jakby coś toczyło. Z początku nie można się poznać, na czym ten numer polega. Jakby podsycha od środka, marszczy się, jakby tylko po wierzchu wszystko jakoś się trzymało.

Do samej osady jechali w milczeniu. Ale, wysiadając koło hotelu, Saszka odezwał się z niedbałym uśmiechem:

— Obywatelu prawniku, bohaterze walki i pracy, jedno sobie zapamiętaj... My sobie, a ty sobie. A będziesz czego u nas węszyć — to my do ciebie przyjdziemy powęszyć.

Niedługo jakoś w sklepie skończyła się wódka. Skończyła się — i cześć, ani w lewo nad Angarą nie ma, ani w prawo. No i archarowcy, wypościwszy się, wysłali z plecaczkiem swojego kumpla, Sonię, do miasta. Przez tydzień, gdy latał samolotami albo koczował na lotniskach w niepogody, robili za „tamtego chłopca", ukrywając jego nieobecność. A tu drewno, tu plan roczny, dzień i noc w nerwach. Każde ręce na wagę złota. A jak Sonia się zjawił z towarem, archarowcy przerzedzili się o połowę. Iwan Pietrowicz przywiózł dyrektora i pokazał: niech widzi, co się dzieje. Ten zdjął brygadę ze spedycji. Potem Boris Timofieicz przywrócił ich, i tak w końcu ktoś musiał pracować, a na opuszczone archarowskie miejsce, niebezpieczne, jeszcze przez samo to, że jest archarowskie, nikt się nie kwapił.

W styczniu, w któryś wietrzny i śnieżny dzień, kiedy na dwa kroki ni cholery nie widać, podjechał Iwan Pietrowicz na spedycję i stanął do rozładunku. Podeszła wyładowarka, załapała hakiem drewno i zrzuciła na pochylnię. Za jednym razem się nie zwali, znowu zaczepiła resztę i znowu pociągnęła do siebie. Nie tracąc czasu, Iwan Pietrowicz zaczął podnosić podpory. Każda ma wagę nie na żarty, z głupia frant się podnieść nie da. Podciągnął do góry pierwszą i zatrzymał się, żeby złapać oddech. I zdążył zrobić krok, zdążył tylko wychylić spod niej głowę, kiedy ciężka metalowa podpora się urwała. Wzięła i urwała się, chociaż, umocowana i pochylona do środka, nie powinna pójść z powrotem i nigdy się to nie zdarzyło. Z tej strony, gdzie wyładowali drewno kręcili się archarowcy — dwóch. Iwan Pietrowicz postał koło nich, popatrzył, pomyślał i nic nie powiedział. A co miał powiedzieć? I pojechał, rozmyślając nad zrządzeniami losu

Na zebraniu, na którym omawiano wyniki za cały rok, Iwana Pietrowicza nagrodzono talonem na dywan. Na to wstał i odmówił przyjęcia talonu, spaskudziwszy uroczyste nabożeństwo; dywan nie był mu potrzebny. Ani nagrody, ani honory nie były mu potrzebne, a potrzebna była taka praca, której z drugiego końca nie podpierają, żeby ją powstrzymać, i takie życie, które by się obeszło bez podstawiania nóg. Tak powiedział. A powiedział w nerwach, prawie ze łzami, dociekając, dlaczego się udaje, że wszystko jest ładnie, a nawet pięknie, jeśli wykonujemy plan, i dokąd będzie się planem zasłaniać i usprawiedliwiać wszystko, co się dzieje pod osłoną planu. Oburzenie Iwana Pietrowicza nie na archarowców było skierowane — czego od takich wymagać? — a na swoich, pogodzonych i usuwających się na bok, wierzących, że każda zmiana wyjdzie na dobre. Iwan Pietrowicz, gorączkując się zachłysnął się tym, co uwierało go w plecy podczas nocnych rozmyślań: czyżby tylko on jeden widział i rozumiał, i nikt więcej nie widział i nie rozumiał? A jeżeli tylko on, to dlaczego? Dlaczego ma widzieć i rozumieć? Czy to jest słuszne widzenie i rozumienie? Czy on sam nie skrzywił się od tego, że zbytnio się upiera, żeby utrzymać się na prostej?

Ogrodzenie przed domem rozwalili całkiem niedawno, już po tym jak Iwan Pietrowicz napisał podanie o zwolnienie. Najprędzej to załatwił ktoś ze swoich w pijanym widzie. Jeśliby się popytać, nietrudno byłoby dojść, czyja to robota. Ale nie chciało mu się pytać. Alona też milczała, a jej to już musowo donieśli. Oburzenie na ludzi, winnych i niewinnych, zlało się w nim w złość tylko na samego siebie.

Ratunek był jeden: wyjazd.

14.

Od pewnego czasu Iwan Pietrowicz zaczął się uważniej przypatrywać Alonie. Nawet nie przypatrywać się, ale przysłuchiwać się temu miejscu, które zajmowała obok niego. Każdy mężczyzna, zdaje się, ma przed sobą dwa obrazy żony — taka, jaka jest i taka, jaką by chciał, żeby była. Albo zgadzają się ze sobą, albo się nie zgadzają, to mówią jednym głosem, to różnymi. Nawet i w twarzach ich są drobne różnice, i nieraz same między sobą nie mogą się pogodzić. Mężczyzna jasna sprawa, rozpoznaje bezbłędnie, kiedy podchodzi do niego jedna, a kiedy druga, ale ona też wie, gdzie która w niej jest, i czuje w sobie niezjednoczenie człowieka i żony. Oczywiście, to samo można powiedzieć o mężczyźnie, ale teraz nie o nim jest mowa.

A właśnie jego Alona, nie wiedzieć od jakiego czasu, stopiła się w jedną istotę. W największe zakłopotanie wprawiło Iwana Pietrowicza to, że nie zauważył, kiedy to nastąpiło, kiedy przestał dzielić ją na Alonę dla niej samej i Alonę dla niego. Przeżywszy trzydzieści, do tego z hakiem, latek, jasne, że wiele przekazali sobie nawzajem i już przez to stali się sobie bliżsi, bo każdemu z nich dwojga przybyło cech tego drugiego, których nie może nie ciągnąć do swojego pierwotnego miejsca. Takie to wszystko jest, i wszystko to powinno odnosić się do wszystkich, dziesiątki lat kładących się do jednej pościeli. Ale z Aloną stało się coś specyficznego. Zmienił się jej głos. Jakby to nie ona mówiła, a przez nią mówiła jedyna kobieta świata, matka wszystkich kobiet. Głos zrobił się głębszy, soczystszy, i niósł się przez środek dźwięków, nie przybijając do suchych brzegów. Nie mówiła już dużo i szybko, umiała znaleźć najtrafniejsze słowo: przedtem używała ogromnej ilości słów, zanim wydobyła to najważniejsze, dla którego zaczynała rozmowę, teraz znajdowała je szybciej, bez przygotowania artyleryjskiego, jak lubił żartować, i było precyzyjne.

Alona niezauważenie zajęła miejsce, na które nie starczało jej w młodości i które można określić tak: pełna kobiecość. To znaczy, że Alony było równo tyle, ile potrzeba — nie mniej i nie więcej. Może trochę więcej, ale niewielki nadmiar zawsze jest do wyrównania. Czy był w domu, czy poza domem, zawsze czuł w sobie Alonę, pełniącą swą nieustającą wachtę. Kiedy trzeba było, dodawała mu lub ujmowała siły charakteru, wyszukiwała w nim cierpliwość i prowadziła do domu. W długich kursach nierzadko rozmawiał z nią u siebie w samochodzie, wiedząc, co mu odpowie, i porozmawiawszy, poradziwszy się, podejmował jakąś decyzję. Schludny i miękki świat ten, który był Aloną, z latami nie tylko nie wystygł, ale wzrósł w zrozumieniu i cieple. Mężczyzna, w którym nie brzmi głos żony: „poczekaj, Wania czy Stiopa", szybciutko oswobadza się z życia, i, nawet żyjąc, chodzi w nim jak w koszuli z cudzego grzbietu.

Maleńka, zgrabna, o dziewczęcej figurze, nie chodziła, lecz przenosiła się i fruwała. I tak do tej pory, chociaż czas by jej się pozbyć tej ruchliwości. Patrząc na nią Iwan Pietrowicz nie raz przerywał w sobie straszną, a może i wieszczą myśl, że tacy ludzie jak Alona, spieszący się, jakby nakręcani, padają w jednej chwili, bez skarg i powolnego stygnięcia. W swoim czasie, kiedy, namordowawszy się i jako normistka, i jako kalkulatorka, nasłuchawszy się wyrazów i namarznąwszy na mrozie, oznajmiła, że chce pracować jako bibliotekarka, Iwan Pietrowicz zaśmiał się: „I co ty tam będziesz robić? W okna się tłuc jak motyl?", nie wyobrażając sobie jej siedzącej, jak tego wymagała praca z książkami. Ale ona nie siedziała. Nawet fiszki wypisywała na stojąco, lekko pochylona nad stołem albo parapetem. I po rewirach, po osadach, podsuwając książki nawet tym, kto nie wiedział, z którego końca się otwierają. A ile on, Iwan Pietrowicz, książek naprawił! — koło setki — najpierw które czytał, potem pozostałe, i nie raz, a ona ciągle podkładała i podkładała.

Teraz, znaczy, jej też przyjdzie rzucić pracę, którą lubiła.

Dzisiaj nie ma zwyczaju chwalić żon, ale co zrobić, jeżeli Iwan Pietrowicz nawet Panu Bogu nic złego o Alonie powiedzieć nie może. I jak sobie przypomni: biegnie, biegnie wieczorem do domu niecierpliwa i zagoniona, żeby go prędzej zobaczyć, jeszcze w biegu wykrzykuje coś przepraszającego urywanym głosem — i od razu dusza odpręża się, uspokaja. Siedzą we dwoje przy herbacie, on milczy, ona mówi za niego i za siebie, i on nie wie, gdzie są czyje słowa, a wie tylko to, że nagadali się z pożytkiem i do upojenia.

Żona — to coś oddzielnego. Występującego w ogólnym życiu, ale oddzielnego. Niektórzy cały wiek docierają się ze sobą i nie mogą się dotrzeć. Alona była dla Iwana czymś więcej niż żoną. W tej małej obrotnej postaci, jak w Trójcy jedynej zlało się wszystko, czym może być kobieta. Zwykle takich, które całe życie, dzień w dzień ścielą i pluskają, nie ceni się, przyjmując za coś obowiązkowego, jak powietrze i wodę, takie starania, żądając jeszcze czegoś, nie wiadomo czego. Rosjanin nie przywykł żyć z kobietą dusza w duszę. Ale u Alony wszystko to było bez wysiłku i ofiar, a wynikało z istoty jej natury i uschłaby na pniu, jeśliby nie miała o kogo się troszczyć i przy kim się krzątać. Wszystko do ostatniej kropli wniosła do wspólnego życia, nie pozostawiając nic dla siebie samej i kiedy się tak opróżniła, kiedy jej ulżyło, kiedy schudła na twarzy i na ciele, tak szczęśliwie i błogo się uśmiechając, kładła się spać, żeby przez noc nabrać nowych sił, że żaden przebiegły domysł nie pozwalał zwątpić, że jest inaczej.

Każdy chyba mężczyzna zachowuje w pamięci jakiś jeden wypadek, który wszystko może powiedzieć o jego żonie. Dawno temu, jeszcze mieszkali w Jegorowce, Iwan Pietrowicz dłubał coś w samochodzie, leżąc pod nim; silnik był włączony. Samochód był stary, „ZIS-150". Potem dopiero znalazł miejsce, w którym przeciekało, a przedtem nie wiedział, gdzie — nagle zapalił się silnik. Rozłożony na ziemi i skołowany, Iwan Pietrowicz zamarł. Wyskoczył, kiedy coś się posypało na niego. W rogu przed spiżarnią stał kosz z piaskiem, przygotowanym na zimę. Alona jednym ruchem chwyciła go i cisnęła na ogień. Potem, gdy znowu napełniali kosz, Iwan Pietrowicz z wielkim trudem ledwie go oderwał od ziemi. Alona nawet nie miała co próbować.

C.D.N.

Przekład:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Komputer w redakcji

Szef wezwał mnie nagle, z zaskoczenia: nawet nie zdążyłem sobie przypomnieć, co tam mam ostatnio na sumieniu. (Nic nie miałem! Co ja wygaduję...) Przyjął mnie nad podziw życzliwie (kawka? herbatka? może papieroska?) i rzekł:

— Jesteś człowiekiem pomysłowym, utalentowanym itd. Niby na co dzień tego jakby nie widać, a już zwłaszcza w tych dyrdymałach, które ostatnio wypisujesz. Ale ja w ciebie wierzę, już taki jestem, że wierzę w człowieka, nawet w takie różne cymbalskie kreatury czasem też... I ja otóż chcę ci okazać, że kierownictwo redakcji nie uważa cię za ostatniego gląba, przeciwnie, znamy gorszych i dlatego spotyka cię wyróżnienie. Mianowicie powierzam ci zadanie specjalne.

Tu przerwał i popatrzył mi głęboko w oczy, prawdopodobnie dlatego, że malował się w nich bezgraniczny zachwyt — tylu komplementów naraz w życiu nie słyszałem. Szef ciągnął:

— Zadanie specjalne polega na tym, że napiszesz taki specjalny kawałek. S p e c j a l n y! Rozumiesz? Nie jakiś tam głupkowaty felieton o naturystach albo o błędach językowych czy handlu uspołecznionym. To ma być bomba absolutna, to ma być literatura — co ja mówię — to ma być poezja! A to dlatego, że będziemy mieć tysiąc pięćsetny numer! I to akurat w święta Bożego Narodzenia. Czytelnik na nas liczy, czytelnik się spodziewa przeczytać coś ekstra...

— Tysiąc pięćset numerów? W jakim czasie? — zapytałem.

— No, tego.. (tu naczelny posłużył się komputerem, który ostatnio przydzielił nam wydawca. Jest to komputer dość prosty, jak słyszałem. Ja tam się na komputerach nie znam, więc wyjaśniam jak laik: składa się z drewnianej ramki, dziesięciu metalowych prętów i czarnych oraz białych paciorków. Szef postukał w komputer). No, będzie prawie 29 lat!

Do księgi rekordów to ten wynik nie trafi — szepnąłem nieśmiało — 1500 numerów w 29 lat trudno uznać za sukces...

— Nie chodzi o sukces — przerwał — ale jest to jakiś jubileusz, bądź co bądź. Do roboty! Tekst ma być jubileuszowy, świąteczny. Wzruszający, a jednocześnie dowcipny, obrazujący naszą drogę do... no, wicie rozumicie, tego tam. I trzeba to solidnie wypracować, nie tam nabazgrać byle co. Trzeba to wypieścić, wycyzelować. Masz nad tym siedzieć tak długo, aż dostaniesz odcisków na dupie. Jazda! Za dziesięć dni chcę widzieć to arcydzieło!

Wyszedłem zastanawiając się, czy Szef zechce, a jeśli tak, to jaką metodą — sprawdzić czy dostałem odcisków?

Położyłem przed sobą egzemplarz „Odgłosów". I nic. Pismo, jak pismo. No, na piętnastej kolumnie rzeczywiście wspaniały tekst pod nagłówkiem „Nagłe zastępstwo". A poza tym? Normalka, artykuły, reportaże, wywiady. Nic nadzwyczajnego. I tytuł jakiś taki, niezbyt zręczny. Odgłosy... jakie odgłosy? Odgłosy czego? I dlaczego w liczbie mnogiej? Nie wystarczyłby jeden „Odgłos"? A tak, to się człowiek zastanawia: ile tych odgłosów jest? I tu olśnił mnie pierwszy pomysł: od nowego roku i numeru 1501 ukazujemy się pod nowym tytułem!

Tylko jakim? Do rozwiązania tej kwestii powołałem komisję. *Jednoosobową. Po naradzie komisja rozpisała konkurs zamknięty.* Powołałem jednoosobowe jury i zgłosiłem się do konkursu. Więcej zgłoszeń nie wpłynęło, mimo iż czekałem 24 godziny. Następnie propozycje tytułu złożyłem w zalakowanej kopercie. Z godłem, żebym jako juror nie wiedział, kto jest autorem. Kilka propozycji odrzuciłem z punktu, jako nieoryginalne. Takie np. jak „Harper's Magazin", „Izwiestia", „Granma", „Newsweek" i „Rude Pravo". Z podobnych przyczyn odrzuciłem tytuły: „Skamander", „Kamena", „Tajny detektyw" i „Przyjaciółka". Chwilę zastanawiałem się nad „Expressem". No cóż, jak się wychodzi raz na tydzień, z dziesięciodniowym cyklem produkcyjnym... Chociaż np. „Express Ilustrowany" też nie jest taki znowu ekspres — wychodzi akurat najpóźniej spośród łódzkich gazet.

— A może „Reporter Łódzki"? Nie, przestaną nas czytać poza Łodzią... A jak się taki tytuł spodoba szefowi, to wyleje z redakcji felietonistów, zostawi tylko reporterów.

Przeleciałem wzrokiem stopkę redakcyjną. Gdyby tak uznać kogoś z kolegów za „wiodące pióro" i zrobić tytuł pod niego? Np. felietonistka Agata... mam! „Kulisy handlowe" albo Malaga: „Przegląd higieniczny i obyczajowy". Tandem reporterski Paweł Tomaszewski i Roman Kubiak: „Woda czysta i trawa zielona". Albo Eugeniusz Iwanicki i Ryszard Binkowski: „Wiadomości sądowe", Andrzej Makowiecki: „Globtroter polski — na szerokim świecie". Po głębokim namyśle jury doszło do jedynie słusznego wniosku: zostawiamy tytuł! „Odgłosy" — to słowo mieniące się różnymi barwami znaczeń, ma w sobie coś z zagadki — niedopowiedzenia... Bardzo dobry tytuł!

No dobrze. Ale o czym ma być s p e c j a l n y, świąteczny i jubileuszowy felieton? Przecież nie o świętach. Czytelnicy prasy wiedzą od lat, że nie należy się w święta obżerać i żłopać wódę ponad wytrzymałość organizmu, że trzeba iść na spacer z dziećmi i poczytać coś wartościowego, choćby jubileuszowy numer „Odgłosów".

Już wiem! Z minionego dziesięciolecia zapamiętałem takie statystyczne wyliczanki: jak np. fabryka wagonów wykonała plan, to koledzy wypisywali, że wyprodukowanymi wagonami można opasać kulę ziemską itp. Żeby więc uprzytomnić czytelnikowi nasze wiekopomne osiągnięcia i unaocznić nasz trud i mozół napiszę tak: Gdyby te tysiąc pięćset numerów w ich łącznym nakładzie poukładać jeden na drugim, to byłaby kupa że ho, ho, albo jeszcze większa. Zresztą to jest fizycznie niemożliwe i ten stos by się przewrócił, a wówczas rozrzucone egzemplarze mogłyby pokryć ogromną powierzchnię, choćby całe województwo suwalskie (i bardzo dobrze...). Gdyby tak całym nakładem palić w piecu, to można by mieć ciepło w domu do końca naszego wieku albo jeszcze dłużej. Poczytne tygodniki służą częstokroć do owijania śledzi — gdyby tak użyć do tego całego nakładu „Odgłosów" śledzi w Morzu Północnym zabraknie i jeszcze zostanie papier do owijania dorszy bałtyckich. Z równikiem też żaden problem: ma on zaledwie taką długość, że wystarczy niewiele więcej niż 71 milionów egzemplarzy (złożonych!) żeby obłożyć cały równik... no, przy założeniu, że średni nakład naszego pisma za wszystkie lata wynosi nieco więcej niż 20 tys. egzemplarzy to trochę braknie... Gdyby jednak egzemplarze rozłożyć to wystarczy z okładem!

A gdyby tak czytać bez przerwy „Odgłosy", 1500 numerów raz za razem, to lektura zajęłaby dwieście pięćdziesiąt dni i nocy, zakładając, że jedną stronę czyta się tylko kwadrans! Bądź łaskaw, drogi Czytelniku, wyobrazić sobie ile czasu zajęło Twoim wiernym sługom, pracownikom i współpracownikom tygodnika, zapisanie tej ilości papieru? Życia nie starczy! Cud prawdziwy, że zdążyliśmy...

ANDRZEJ KAROL

PS. Nie przyjmuję pełnej odpowiedzialności za dane liczbowe, użyte w tym tekście. Z arytmetyki byłem słaby w szkołach, a i nie doszedłem jeszcze do perfekcji w obsłudze redakcyjnego komputera.

1

Przepraszam, że nie na wesoło

Mój przyjaciel Marek O. którejś soboty zmuszony był wyjść z domu i wyjechać z Łodzi. Wrócił wieczorem i zobaczył Łódź po ciemku. Był wstrząśnięty. Miasto — bądź co bądź drugie co do wielkości w Polsce — ukazało mu się ciemne, ponure i puste. A jest to przecież duże miasto europejskie. Nie tylko centrum przemysłu lekkiego, ale też i nauki z tym przemysłem związanej, nauki w ogóle, kultury i sztuki. To przecież w Łodzi jest studium języka polskiego dla obcokrajowców, jest tu szkoła filmowa znana nie tylko w Warszawie, która chętnie zresztą ją by przygarnęła, jest tu równie znana w świecie uczelnia artystyczna — szkoła plastyczna, Muzeum Sztuki, o którym też w świecie sporo wiadomo i wreszcie równie znane Muzeum Włókiennictwa. Poza tym są centrale handlu zagranicznego. I w przyszłym roku mają być tu międzynarodowe targi włókiennicze. Jeśli już nie dla nas, to dla cudzoziemców — co jest przecież takie polskie: „Zastaw się, a postaw się!". — powinniśmy zadbać o piękno miasta również w nocy. Więcej światła! — chciałoby się krzyknąć. Ale przecież rzecz nie tylko w neonach i lampach ulicznych.

Na początku grudnia musiałem pojechać na Retkinię. Jest tam taki plac, na którym stoją powszechnie znane bociany. To był piękny pomysł z tymi rzeźbami. Ale przestaliśmy dbać o stare rzeźby — sam widziałem konie w parku im. Władysława Reymonta przy ul. Piotrkowskiej leżące na trawie i długo nikt nie chciał ich podnieść — i nie stawia się już nowych. Ten plac na Retkini, który wydawał mi się centralnym, przedstawiał sobą ponury wygląd. Rozkopany, zarośnięty, brudny. Nieprzyjemnie! A przecież można jakoś zadbać o czystość. Dużo przyjemniej jest w czystym otoczeniu.

Zdaję sobie sprawę, że tradycja nakazuje, aby w świątecznym felietonie, w numerze 1500 zresztą, poruszać tematy lekkie i przyjemne. A ja o ciemnych ulicach i brudnym placu. Ale wiem z praktyki, że tradycja też nakazuje, aby przy suto zastawionym stole w świąteczne dni pogwarzyć sobie, a nawet posprzeczać się na aktualne tematy. W te dni wielu z nas będzie niewątpliwie prezentować swoje recepty na szczęście, przyszłość i prawidłowy rozwój. Teoretykami to my bywamy dobrymi. Gorzej z praktyką. Otóż, postanowiłem sobie podrzucić tym teoretykom kilka tematów pod rozwagę. Jako konspekt świątecznych rozmów.

Oczywiście wielu z nas będzie o wszystko obwiniało kryzys. Jest kryzys, brakuje energii elektrycznej, to i oszczędza się na oświetleniu ulic. No, dobrze, a na sprzątaniu też się oszczędza?

Nasz kryzys wynika z rozdźwięku między szeroko rozbudzonymi potrzebami a daleko pozostającymi za nimi możliwościami ich zaspokojenia. Proszę wziąć do ręki kolumny z ogłoszeniami w każdej gazecie. Co się przede wszystkim rzuca w oczy? Oferty pracy. Wydawałoby się, że w kryzysie ludzie poszukują pracy, a jest przecież odwrotnie: to fabryki, instytucje, urzędy, restauracje, hotele, a także rzemieślnicze warsztaty poszukują ludzi do pracy. Proszę teraz spojrzeć na ogłoszenia o sprzedaży i kupnie, co się tam oferuje, czego się poszukuje: samochodów, urządzeń do produkcji rzemieślniczej, luksusowych mebli. Oto kilka przykładów: „pianino nowe kupię", „piękny komplet wypoczynkowy sprzedam", „kredensy kuchenne lakierowane, tanio... sprzedam", „antyczne fotele i złocone lustro sprzedam". Nie będę już powtarzał listy luksusowych willi i innych domów oferowanych do sprzedaży. Te oferty nie są adresowane do nikogo. Znajdują się chętni do kupna. Poza tym, czyż w kraju, w którym ludzie są biedni samochody sprzedawane na giełdzie, w tym stare, używane, mogą mieć ceny wyższe od urzędowych?

Owszem, mamy kryzys, tak jak też mamy ludzi rzeczywiście biednych. Ale nie oni nadają ton życiu. Natomiast kryzys, jaki przeżywamy, to nie kryzys nadprodukcji, to kryzys wartości, w tym nie tylko materialnych, moralnych i społecznych przede wszystkim. Skąd się taki kryzys wziął, skoro ludzie mają do wyboru zestaw wartości oferowanych im przez socjalizm i katolicyzm? No, właśnie, to jest temat do dyskusji. Można na ten temat całe rozprawy napisać. Ale i przy świątecznym stole podyskutować. Bo przecież — jeśli tak sobie szczerze spojrzymy w oczy — to faktycznie odrzuca się u nas obie oferty. Religijność jest w zasadzie powierzchowna, zwyczajowa bardziej niż wynikająca z poszukiwania wartości, wzorców życia. Podobnie i z drugiej strony: słowa często rozmijają się z czynami i wzorce, które wydawałoby się są godne naśladowania, tracą swoją moc i znaczenie.

Jakim zatem wartościom hołdujemy? Popatrzmy uważnie wokół siebie. Nawet na stół obficie zastawiony warto spojrzeć. I co? Jakie nasuwają się wnioski?

Wszystkiego dobrego! Pomyślności! I żeby to nie była tylko nasza pomyślność, indywidualna, ale powszechna! Żebyśmy byli nie zbiorowością jednostek a narodem!

ZENON POROWATY

2

Spojrzenie znad szachownicy

O pożytkach z wiary w wampiry

Wcale nie mam zamiaru nikogo straszyć, a gdyby nawet, zawsze mogę powołać się na chwalebny przykład Dickensa, który swoje „opowieści z dreszczykiem" pisywał właśnie do świątecznych wydań londyńskich gazet. W istocie chciałbym jedynie metodą łagodnej perswazji przekonać Czytelników, iż pożytki z wiary w wampiry są — mówiąc między nami — ogromne, natomiast z wiary w UFO żadne, lub tyle co żadne.

Przedstawię tę myśl skrótowo, na prawach wstępnego doniesienia, które w przyszłości — ho, ho — rozrośnie się być może do pięknej dysertacji z obfitą bibliografią i mnóstwem ślicznych przypisów.

2.

Jest tak: wampirów, jak wiadomo, nie było i nie ma. Nie ma w tym sensie, w jakim nie ma również UFO, nikt bowiem nigdy wampira, czy UFO nie złapał za łokieć by przywlec przed oblicze uczonej komisji, która by jedno z drugim dziwadło zatestowała, zewidencjonowała i wprowadziła do podręczników szkolnych.

Wiara jest wszelako sprawą prywatną każdego obywatela i nikomu nie wolno mieszać się w tę naszą prywatność. Kto chce tedy wierzyć w wampiry — niech wierzy. Kto woli UFO — proszę uprzejmie. Nawet człowiek wierzący, że samochód z przedpłaty otrzyma jeszcze w tym dziesięcioleciu, nie może być w żaden sposób dyskredytowany, choć nieuchronnie naraża się na śmieszność.

Czy jednak, zapytajmy, z wiary w UFO wynika coś konstruktywnego? Czy ktoś na tę intencję opanował język migowy, przypomniał sobie coś z geometrii bądź zabrał się do porządkowania zaśmieconego podwórka w nadziei, iż tu właśnie, na tym podwórku, odbędzie się być może bliskie spotkanie trzeciego rodzaju?

Przyciskałem do muru znajomych UFO-logów, nic z tych rzeczy. Owszem, powiadają, UFO lata, świeci, trochę straszy, czasami wyłażą z niego rozmaite stworki i przyzwoitym ludziom mierzą, dajmy na to, głowy, ale żeby potem taki pomierzony miał głowę do posprzątania (po sobie bądź po kosmitach — obojętne), to już nie bardzo.

3.

Teraz o wampirach. W czasach, gdy egzystowały, zdawały się wcale groźne, a to przez skłonność do wysysania, rzekłbym do krwi ostatniej. Nadto — rzecz ciekawa — mimo najczęściej arystokratycznego pochodzenia wysysały demokratycznie: a to żonę hrabiankę napoczną, a to prostą dziewczynę z ludu, a to znów byle parobka, nie bacząc na wiek, płeć i urodzenie.

Wszelako jeżeli przed UFO ratuje jedynie ucieczka w krzaki, co nie jest szczególnie honorowe, wampiry zwalczać można było czynnie, głównie za pomocą osinowego kołka, bądź biernie, żrąc czosnek i wieszając go gdzie popadnie. Owa czosnkowa zapora czystym przypadkiem okazała się również skuteczną przeciw grypom, infekcjom, katarom i diabli wiedzą czemu jeszcze, choć nieuświadomiony naród wcale o tym nie wiedział i myślał, że jeżeli nie smarcze w rękaw, to ot tak sobie, z ogólnej krzepy.

Potem nastał postęp i w ramach postępu wampiry odstawiono w jeden kąt, a czosnek ciśnięto w drugi. Jeszcze później ktoś wymyślił mikroskop, inny ktoś wypatrzył pod nim mikroby, a jeszcze inny — z nudów najpewniej — zaczął traktować te całe bakterie czym popadnie. A gdy doszedł do czosnku okazało się, że taka poczosnkowana bakteria zdycha szybciej niż zdąży krzyknąć „A niech to wciurności!"

4.

Niestety czosnek ma pewne wady — cenę i zapach. O cenę mniejsza, zdrowie jest bezcenne, jednak człowiek pachnący czosnkiem gorzej jest traktowany w towarzystwie niż zagrypiony, choć powinno być odwrotnie.

Radę widzę taką: wprowadzić modę na czosnkowy zapach (najlepiej, gdyby przyszła z Paryża, moda z Paryża może pachnieć czym tylko zechce!), a opornych postraszyć. I tu właśnie otwiera się szerokie pole do działania dla wampirzyc i wampirów, których my, żurnaliści, możemy zresztą w razie potrzeby unaukowić. Istnieje mianowicie, gdyby ktoś był ciekaw, niezwykle rzadka choroba zwana porfirią, która objawia się zniekształceniami twarzy, specyficznym układem zębów, swoistym „głodem krwi", a także lękiem przed światłem i silnym uczuleniem na niektóre rośliny, w tym na czosnek!

Gdyby takich chorych było na świecie dwóch tylko, możemy przecież w różnych środkach przekazu wspomnieć o nich pięćset tysięcy razy (przemilczając, iż dziś leczy się ich transfuzjami), co da milion osobników gotowych na wszystko. Drugi milion wampirów powołamy pod broń z rezerwy, to jest wydobędziemy z archiwów, zresztą ku uciesze niewiernych mężów mających nazbyt ogniste kochanki...

5.

I tak ludzkość zawędruje do szumiącej łanami czosnku Arkadii bez kataru i grypy. Zgodnie będziemy jeść czosnek, chodzić w wiankach czosnku na głowach, obrzucać czosnkiem młode pary, płacić czosnkiem i w czosnku wydawać resztę.

A na granicy tej przedziwnej krainy stanie posąg tragicznego i szlachetnego wampira, cichego patrona medycznego cudu. Nie obrażę się, gdyby był choć trochę do mnie podobny.

JERZY P.

3

Sport

Na łyżwy i sanki!

Zwykle pyta się starych górali: — jaka będzie zima? A oni popatrzywszy na szczyty gór, po chwilowej zadumie, odpowiadają z niezmienną pewnością: — o, sroga będzie zima — albo: — w tym roku zimę będziemy mieli łagodną. Zawsze zastanawiało mnie, skąd oni wiedzą, jak będzie. Ale jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy sprawdzić ich przepowiedni. Nie mam na to czasu.

W tym roku jesień nas zaskoczyła. Gdy piszę ten felieton — a muszę go napisać trochę wcześniej, bo tego wymaga cykl drukowania numerów świątecznych — mamy jeszcze pogodę prawie wiosenną i zupełnie nie wiadomo, jaka będzie ta zima. Niektórzy mówią, że łagodna, inni, że późna, ale sroga. Zobaczymy. Najbardziej martwią się dzieci, bo spodziewają się pod choinką znaleźć łyżwy, albo i narty.

Też kiedyś miałam łyżwy. Gwiazdkowy prezent na ogół zawsze kojarzy się z łyżwami, nartami, sankami. Z sankami to jeszcze pół biedy. Najlepiej je kupić latem. Zimą często trzeba na sanki poczekać, bo popyt jest duży, a z podażą różnie bywa. Wymyślono na przykład swego czasu sanki plastykowe dla dzieci, ale najczęściej dzieci z tych sanek lądowały w śniegu. Nie był to najlepszy pomysł.

Ruszyły już pierwsze lodowiska. Kto ma łyżwy, przypina je i biegnie ślizgać się na lód. Kto nie ma, czeka na gwiazdkę, mając nadzieję, że dostanie pod choinkę właśnie wymarzone łyżwy. Myślę, że niektórzy rozczarują się.

Dlaczego?

Rozczarują się z powodu ceny. Bo ceny na sprzęt sportowy są wysokie. W przypadku dziecinnych łyżew można sobie z tym jakoś jeszcze poradzić. Dziecku łyżwy kupuje się raz na jakiś czas. Byłyby one może i tańsze, gdyby nie były obłożone 20-procentowym podatkiem obrotowym. Niczym artykuły wysoce luksusowe. Pojęcie luksusu jest u nas co najmniej dość dziwne. Otóż pragnęłabym zwrócić uwagę naszym kochanym finansistom, że łyżwy dla dzieci to dziś żaden luksus, a po prostu konieczność. Jak się będą całe popołudnia zimowe ślizgali na lodzie, to im to tylko wyjdzie na zdrowie. A przecież chcielibyśmy, aby nasza młodzież była zdrowa. Czyż nie?

Gorzej przedstawia się sytuacja z nartami. Mało mamy własnego sprzętu i nie jest on najlepszej jakości. Ponoć kiedyś ludzie sami sobie strugali narty. Dziś jest to już niemożliwe. Dziś sprzęt narciarski robią wyspecjalizowane wytwórnie i jest on różnej klasy. Im lepszy tym droższy. Oto na przykład dziecięce narty Blizzarda kosztują... 42 tysiące złotych. Drobnostka, prawda?

Byłam świadkiem, kiedy pewien młodzian obejrzawszy narciarski sprzęt wystawiony do sprzedaży, westchnął głośno i żałośnie. Chciałby taki mieć, ale po prostu go na to nie stać. Niedawno „Sportowy Magazyn Expressu Ilustrowanego" poinformował, że aby mieć dziś dobry sprzęt narciarski potrzeba... 300 tysięcy złotych.

Związkowcy na swoim kongresie zwrócili na przykład uwagę, że od początku lat osiemdziesiątych zmniejszyła się liczba zakładowych ognisk TKKF o tysiąc, a o około 300 tysięcy mniej osób w nich trenuje. Mniej dzieci korzysta z kolonii i zimowisk, mniej ludzi jeździ na wczasy. Jak twierdzą związkowcy, w 1987 roku najtańsze wczasy będą kosztowały 25 tysięcy złotych, zimowiska, jeszcze w 1986 roku skalkulowano na 30 tysięcy złotych od dziecka. Znów mniej dzieci wyjedzie na kolonie i zimowiska. Dla tych, którzy zostaną w mieście, wypadałoby zorganizować różne zajęcia sportowe na śniegu czy lodzie. Jeśli śnieg będzie, bo lód na szczęście można wytworzyć sztucznie. Związkowcy zatem domagali się uchylenia podatków od tego wszystkiego, co służy dzieciom i ich zdrowiu. I trudno z takim postulatem się nie zgodzić.

Zima jest piękna, gdy spadnie świeży śnieg, gdy mróz szczypie policzki, gdy para bucha z ust. W Łodzi i pod Łodzią jest trochę miejsc, gdzie można pobiegać na nartach, pozjeżdżać z górki na sankach lub poślizgać się na łyżwach. Przyjemne to i zdrowe. I powinno być dla wszystkich dostępne, bo nic nie jest tak cenne, jak nasza dobra kondycja fizyczna. Abyśmy zatem zdrowi byli! A przede wszystkim nasze dzieci!

BOGDA MADEJ

„Odgłosy" 1500

ZESPÓŁ JAKI JEST KAŻDY WIDZI: siedzą na pierwszym planie od lewej: **Dariusz Dorożyński, Grzegorz Gałasiński, Andrzej Karolczak,** siedzą na drugim planie od lewej: **Teresa Jerzykowska, Czesława Kłos, Grażyna Olechnowicz, Bogda Madej, Jolanta Sawiuk, Bogumiła Fastudzin, Jolanta Wrońska, Mariola Knaga,** stoją w pierwszym rzędzie od lewej: **Andrzej Makowiecki, Eugeniusz Iwanicki, Grzegorz Gazda, Ryszard Binkowski, Janusz Kozłowski, Edmund Lewandowski, Janusz Szymański-Glanc;** stoją w drugim rzędzie od lewej: **Jerzy Kwieciński, Lucjusz Włodkowski, Roman Kubiak i Paweł Tomaszewski.**

W drodze z redakcji do drukarni **Katarzyna Tutak.** W drukarni nad kolejnym wydaniem „Odgłosów" pracują: od lewej w pierwszym rzędzie przy linotypie **Anna Knap;** łamie numer **Tadeusz Stachowicz,** obok **Zdzisław Gondorek;** w chemigrafii: **Jan Mróz i Ireneusz Piwoński;** od lewej w drugim rzędzie: przy kalandrze **Zdzisław Hartman;** w stereotypii **Andrzej Śmietański;** numer drukują **Jarosław Saletra i Wojciech Olejniczak.**

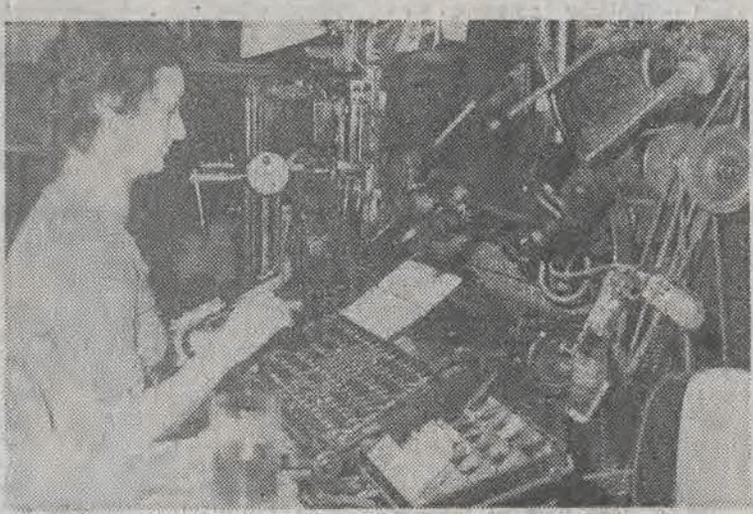

WBMDP im. J. P. w Łodzi